PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt VIII. Miesiąc Maj 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

PRZEGLĄD
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt VIII. Miesiąc Maj 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

GOŚCIE.

OBRAZEK Z ŻYCIA WIEJSKIEGO

w jednym akcie

przez

ARTHURA BARTHELSA.

OSOBY.

Pan Spokojnicki, obywatel wiejski, wdowiec.
Adela, jego córka.
Pani Szwendalska, jego siostra.
Zdzisław, jego wychowaniec i krewny.

Pan Jerzy, bogaty obywatel,	goście.
Kandyd, syn pana Jerzego,	
Rotmistrz,	
Arthur,	
Alfons,	
Emeryk,	

Rzecz dzieje się na wsi w domu pana Spokojnickiego, na Litwie.

Scena przedstawia salon — w głębi drzwi parapetowe prowadzące do ogrodu — na lewo drzwi do pokoju pana Spokojnickiego — na prawo drzwi do dalszych pokojów — między temi drzwiami a rampą stoi fortepian.

Scena 1.

PAN SPOKOJNICKI, w szlafroku.

Piękną jest wieś, nie przeczę, miłe na wsi życie,
Ale też i dokucza ludziom należycie!
Nie wspominam kłopotów, gospodarskich trudów,
Nie liczę klęsk rozlicznych, nie wspominam nudów
Siedmiomiesięcznej zimy, śniegów, zawieruchy,
Ni wiosennych potopów, ni letniej posuchy —
Wszystko to da się przenieść, jeśli człek niegłupi,
Lecz od czego się niczem w świecie nie okupi,
Czego nigdy nie strawi, to owych przeklętych,
Sąsiedzkiej gościnności obowiązków świętych.
W mieście, a zwłaszcza dużem, znam lub nie znam ludzi,
Znam tego, kto mię bawi, nie znam, kto mię nudzi;
Mam prawo nudziarzowi powiedzieć przez sługi,
Żem chory, lub żem wyszedł z domu na czas długi,
I choć wie, że tak nie jest — o, święta ustawa!
Zgwałcić mego spokoju nie nabiera prawa;
Na wsi nie ma już tego, tu stare przysłowie:
„Gość w domu, Pan Bóg w domu,“ u każdego w głowie
I sercu tak wyryte, że nudziarz zawzięty,
Równie jak gość najmilszy musi być przyjęty;
A zwłaszcza kiedy w domu córka na wydaniu
Przemyśliwać zaczyna zlekka o kochaniu!
Zrachujmy, ilu gośćmi przez te dwa tygodnie
Los mię ślepy obdarzył wcale niewygodnie —
Pierwszym był sędzia z żoną, córeczką, synkami,
Niemowlęciem przy matce i trzema sługami;
Musiałem parę godzin nudzić się niemało,
Nim się to wszystko w domu pomieścić udało,

Oddałem im pokoje gościnne, jadalny,
Salon i mój gabinet; został mi sypialny,
W którym się pomieściłem, jak w jakiem więzieniu,
Wszystko zresztą trzymali goście w oblężeniu,
Siedzieli pięć dni z rzędu, choćby miesiąc cały,
Jeszcze ich pobyt winien zdać mi się zamały,
Jeszcze musiałem, chociaż kością mi już siedli,
Choć mię już jak półgęsek wokoło objedli,
Jeszczem musiał — powtarzam — prosić, by zostali,
Żeby tak spiesznie domu mi nie opuszczali. . . .
Wyjechali nareszcie — rachujmy zysk z tego,
A naprzód pięć dni długich czasu straconego
Na rozmowie z sędziowstwem o dżdżu, o pogodzie,
O trudnym zbiorze siana, o krowach, ogrodzie,
O gęsiach, kurach, kaczkach, o złym urodzaju;
Innej rozmowy nie ma, tylko w tym rodzaju.
Zjedli mi trzy indyki, gęś i dwa cielęta,
Dwadzieścia ośm kurcząt i krowa zarznięta,
Głowę cukru, funt kawy, trzy funty herbaty,
Mnóstwo rodzynek, pieprzu, wanilii, cykaty,
Masła półtory faski, kilka wozów siana —
Oto jest gościnności jedyna wygrana.
Że zaś słaby był synek i córeczka chora,
Na swych koniach sprowadzać musiałem doktora,
Bo malcy używając prawa gościnności,
Obżerały się codzień aż do niestrawności.
W domu znalazłem wszystko w okropnym nieładzie,
Jak po jakim tatarskim lub szwedzkim napadzie,
Bo kochane, pieszczone, milutkie dziateczki,
Te wesołe chłopczyki, śliczne dziewczyneczki,
Istne raczej szatany, mówiąc między nami,
Przewróciły mi wszystko do góry nogami —
Połamane stoliki, posadzki zbłocone,
Meble poobdzierane, firanki zgniecone,
Podarte moje książki, porwane ryciny,
Pamiętnem mi uczynią miłe odwiedziny. . . .
Ledwiem ukończył czyścić, myć i porządkować,
Ledwiem zaczął coś robić, czemściś się zajmować —

Znów słyszę na dziedzińcu turkot, psów szczekanie
I nieznośne dla ucha butami szastanie:
Nowy mię sąsiad wita, a za tym sąsiadem
Poszły różne wizyty sypać się jak gradem,
A tak gęsto po sobie, że przez tydzień cały
Wytknąć mi pół godziny przysięgam nie dały. —
To ma być proszę życie człeka spokojnego,
Gospodarza, człowieka pracę lubiącego;
Czyż mógłby więcej stracić próżniak nałogowy
Tego drogiego czasu, jak ja człek gotowy
W każdej chwili do pracy — a wszystko przez gości!
Boże! dajże mi jeszcze trochę cierpliwości;
A jak wydam Adelę i z domu wyprawię,
Może się od tych wizyt przeklętych wybawię
I spocznę, po najdłuższem choć oczekiwaniu. . . .
Oj! ciężko to mieć w domu córkę na wydaniu! . . .

(Siada i wyjmuje z kieszeni szlafroka książkę, papier i ołówek).

Już temu dwa miesiące, z największym mozołem
Horacego „Beatus ille“ tłumaczyć zacząłem.
Cóżem dotąd napisał, ledwo wierszów cztery,
A i te, jestem pewny, nie są bez kozery. . . .
Odczytajmy:

(czyta)

Szczęśliwy, kto zdala od troski,
Jak ludzie dawnej daty, w zaciszu swej wioski,
Rodzinną swoją skibę, w każdej roku porze,
W spokojności zupełnej własnym wołem orze. . . .

(mówi)

Nie tęgo, nawet powiem, że źle; bez wątpienia
Tekst dużo przyjemniejszy jest od tłumaczenia.
Lecz Horacy gdy chwalił wiejskie przyjemności,
Pewnie na karku nie miał tyle co ja gości,
I nie dziw, że z pochwałą tego się oświadczał,
Czego sam dosyć łatwo codziennie doświadczał;
Nie miał córki dorosłej, i w cichej ustroni
Ustrzedz się widać umiał sąsiadów pogoni.
O, szczęśliwy Horacy! coś spokojność chwalił,
Jakżebyś się nad moją pozycyą użalił! . . .

(Siada i zaczyna rękopis ołówkiem poprawiać).
Może też nikt mię dzisiaj nie przyjedzie bawić . . .
Popracuję troszeczkę — trzeba to poprawić. . . .
Jak ludzie dawnej daty, wymażmy to spiesznie;
Jak ludzie staroświeccy, i to brzmi coś śmiesznie;
Jak ludzie . . .

(myśli).

Scena 2.

TENŻE i PANI SZWENDALSKA.

PANI SZWENDALSKA.

Cóż to znowu, mój bracie kochany,
Już godzina dwunasta, a tyś nieubrany. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

(na stronie).

Tam do licha już ona, potrzebna do wiersza.

(głośno)

Cóż z tego, że dwunasta, a choćby i pierwsza!

PANI SZWENDALSKA.

A goście! . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Jacy goście?

PANI SZWENDALSKA.

Ci, których sprosiłam. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Nic mi nie powiedziałaś. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Sto razy mówiłam,
Że będą. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Co wasani do licha wyrabia!
Ja mam gości po uszy, a ona ich zwabia!
Czyż nie dość tych, co sami mię tu najeżdżają,
Nudzą, nigdy chwileczki spokoju nie dają,
Jeszcze ty ich zapraszasz. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Masz się skarżyć o co,
A pocóż oni jeżdżą, wszak dobrze więsz poco,
Dla Adelki tu jeżdżą, która na wydaniu;
Przy takiem jak jest twoje troskliwem staraniu
Mogłaby w swem panieństwie całe życie zostać,
I męża na lekarstwo dalipan nie dostać;
Tybyś bowiem każdego, coby dla niej wzdychał,
Dla własnej spokojności za bramę wypychał...
Paskudny egoista!...

PAN SPOKOJNICKI.

Ależ moja droga!
Ja przecież nie wypycham za bramę nikogo....

PANI SZWENDALSKA.

Co mi tam moja droga, jesteś dziwak stary,
Gderacz, odludek, skąpiec i nudziarz bez miary;
Ile razy ci mówię: jedźmy do Warszawy —
Mówisz, że niepotrzebne dalekie wyprawy;
Chciałam Adelę zawieść na jarmark do Wilna,
Cóżeś mi odpowiedział: że to rzecz niepilna,
Że Adela zaczekać bardzo jeszcze może....

PAN SPOKOJNICKI.

Bo prawda, czyż to pannie cokolwiek pomoże,
Że ją jak towar jaki po jarmarkach włóczą;
Wolę niech mi już w domu ile chcą dokuczą,
Jak rozwozić po miastach jedyne me dziecię,
Które i tu los piękny spotkać może przecie;
Ma wyjść zamąż, to wyjdzie....

PANI SZWENDALSKA.

Wyjdzie — niekoniecznie,
Kiedy wszystkich odstraszasz od niej niedorzecznie,
A nie codzień do panny konkurent się zdarzy....

PAN SPOKOJNICKI.

Chciałbym wszystkich odstraszyć głupców i nudziarzy,
Którzy tutaj bywają; tylko to jest bieda,
Że się żaden odstraszyć nawet kijem nie da.
Ale co o tem gadać... więc znowu mam gości...
O Boże cierpliwości, daj mi cierpliwości!

Scena 3.

PANI SZWENDALSKA.

Głupiec, nudny, mantyka, że sam się nie bawi
I w zamknięciu jak ślimak całe życie trawi,
Zdaje mu się, że wszyscy, winni czy niewinni,
Takie nudne jak jego wieść życie powinni.
Mniejsza o jego córkę, jeszcze dla niej pora;
Ale ja, cóżto jestem czy stara, czy chora,
Żebym się wyrzec miała drugiego małżeństwa,
Wyjść zamąż nie ma dla mnie już niebezpieczeństwa;
Jestem panią mej woli, i serca, i ręki,
Dość przystojną i młodą jeszcze Bogu dzięki,
Zatem nie mam powodów uciekać od ludzi;
I czy to pana brata nudzi, czy nie nudzi,
Będę zapraszać gości, niech się z złości wścieka,
Niech gderze co się zmieści, niech z domu ucieka.
A gdy go ani jedno, ni drugie nie bawi,
Niechże nas do Warszawy z Adelcią wyprawi;
Jużeśmy ułożyły to wszystko z Adelcią,
A choć na to przystała z niezbyt wielką chęcią,
Lecz przystała, to główne — a tam lub w Krakowie,
Nie wiem co już z Adelcią, lecz ja męża złowię. . . .

Scena 4.

TAŻ, wchodzi ZDZISŁAW.

ZDZISŁAW, (który słyszał ostatnie słowa).

A że ja kuzyneczki zdanie całkiem dzielę,
Więc zapraszam się z góry skromnie na wesele,
Które winno być huczne — lecz ładna kuzyna
Pewnie sobie łaskawie o tem przypomina,
Że kazała mi sprosić gości co niemiara . . .

PANI SZWENDALSKA (z przekąsem).

Z których każdy o rączkę Adelki się stara. . . .

ZDZISŁAW.

Przepraszam, bo nie każdy, znam bowiem jednego,
Który pani chce złożyć ofiarę swojego
Serca, i prosić panią . . .

PANI SZWENDALSKA.

O co?

ZDZISŁAW.

O jej rękę. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Któż taki?

ZDZISŁAW.

Proszę zgadnąć. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Zdzisławie skróć mękę!
Jakże ja zgadnąć mogę, miej litości trocha. . . .

ZDZISŁAW.

A więc powiem, to Rotmistrz w kuzynce się kocha. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Rotmistrz! Rotmistrz?

ZDZISŁAW.

Najpewniej, sam to wczora wyznał.

PANI SZWENDALSKA.

Jakto! więc się on tobie do tego już przyznał?

ZDZISŁAW.

Naturalnie . . . i dzisiaj oświadczy się pani,
Wyznając, że od roku żyje tylko dla niej. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Dziś, co słyszę!

ZDZISŁAW.

Dziś jeszcze, kuzynko kochana!

PANI SZWENDALSKA.

Rotmistrz ma się oświadczyć, a ja tak ubrana . . .
Lecę prędzej się przebrać . . . włożę suknię białą . . .
I wianuszkiem z stokrótek osłonię skroń całą. . . .

(wybiega).

Scena 5.

ZDZISŁAW.

Kochana kuzyneczka, ani się jej zdaje,
Że to ja przedewszystkiem zamąż ją wydaję;
Bo Rotmistrz ani myśli . . lecz w tej głowie ciasnej
Tyle jest przekonania i miłości własnej,
Że ani wątpić będzie, jak mu tylko śmiało
Wmówię, że się dlań cioci na miłość zebrało . . .
Ale otóż Adelka.

Scena 6.

TENŻE i ADELA.

ADELA.

Zdzisławie kochany!
Cóż, jakiż skutek biorą mądre nasze plany?

ZDZISŁAW.

Przewyborny — dziś wszyscy twoi konkurenci,
A z przeproszeniem twojem, nudziarze zawzięci,
Wezwani przez twą ciotkę za moją poradą,
Męczyć twojego ojca i nudzić przyjadą;
A ja się już postaram, żeby tak znudzili;
Żeby go tak obsiedli i tak namęczyli,
Że od dalszych odwiedzin ochraniając siebie,
Zamiast zwlekać jak dotąd — odda mi już ciebie.
Jest to bowiem jedyny sposób zniewolenia
Ojca twego, do dania swego zezwolenia
Na pobranie się nasze . . . ciotunię zaś drogą
Za Rotmistrza dziś jeszcze wyswatam niebogą,
Żeby zajęta sobą, jak on nią zajęty,
Dała nam choć raz w życiu przecież pokój święty;
A że Rotmistrz uczciwy jest człowiek, choć głupi,
Ciotka w nim marzonego przez się męża kupi. . . .
Czyż nie dobrze Adelko? . . .

ADELA.

Ach dajże to Boże!
Żeby się to udało — ale jeśli może,
Rotmistrz nie zechce cioci, albo ciocia jego?...

ZDZISŁAW.

O! że ciocia go zechce, to nic pewniejszego;
Rotmistrz zaś pewnie lepiej wolałby Adelkę...
Ale od czegóż rozum — miej nadzieję wszelkę,
Że tak potrafię wmówić tę miłość w oboje,
Że dziś się pokochają, jak gołąbków dwoje...
Lecz słyszę, ktoś zajeżdża....

(patrzy przez okno)

To Rotmistrz kochany.
Patrz tylko, jaki piękny, wysztafirowany....
Odejdź na pół godziny, a ja w czoła pocie
Dokażę, że dziś jeszcze zdobędzie twą ciocię....

(Adela ucieka).

Scena 7.

ZDZISŁAW, ROTMISTRZ.

ZDZISŁAW.

Kochanego Rotmistrza!

ROTMISTRZ.

Ach! bonjour Zdzisławie!
Wiesz, że dziś przeskakałem trzydzieści wiorst prawie
Niespełna w dwie godziny — moja karennaja,
I ta druga, co z grzywą prawa prystjażnaja,
Ani kropelki potu, lewa już nie taka,
Nie zbieży się z tamtemi, gdzie jej do rysaka...

(prowadzi go do okna)

Patrz tylko, jakie nogi!...

ZDZISŁAW.

Widzę, dobre nogi....

ROTMISTRZ.

Ej, żebyś tylko widział jak idzie, mój drogi;

Kiedy go mój Aloszka poswojemu puści,
Nu szewielitieś! krzyknie, a lejce rozpuści,
Ściągnie *knutem* po grzbiecie z całego rozmachu,
Targną i *prystjażnyje* od samego strachu,
I potaszczą powózkę, *wo wieś duch* poniosą,
Myślisz, że cię już z ciałem i duszą rozniosą;
Wiatr dmie w *lichije* grzywy, lecą gdyby ptaki,
A tymczasem Aloszka to *maszennik* taki,
Tylko czasem przyświśnie: *Ech nu wy małyje,*
Zadumaliś rabiata sztoli lubieznyje!
To panie szkapy prą się aż warczą kopyty,
A pod krylcem prrru tylko — i stanął jak wryty,
Aż na duszy przyjemnie!

ZDZISŁAW.

Wierzę, bardzo wierzę...
Ale powiedz Rotmistrzu, zkąd się tobie bierze
Tyle szczęścia do koni...

(grożąc mu palcem)

i do kobiet trocha....
Pani Szwendalska w tobie...

ROTMISTRZ.

Cóż tam?

ZDZISŁAW.

Nazabój się kocha,
A kobieta bogata, ponętna i wolna,
Zwolna mógłbyś coś zrobić...

ROTMISTRZ.

Ja nie umiem zwolna,
U mnie po wojennemu; jak mi się podoba
Choćby generałowa, choć jaka osoba,
Choć żona korpuśnego, wraz do niej przystanę,
I nie puszczę, dopóki słowa nie dostanę,
Bo zwlekać nie ma czego....

ZDZISŁAW.

A zatem nie zwlekaj,
Chcesz to się zaraz oświadcz, nie chcesz to uciekaj;
Tylko o tem pamiętaj: lat trzydzieści cztery,
Twarz ładna, serce dobre, a charakter szczery,

Otwarty, miły, zgodny . . .
(na stronie)
okropnie skłamałem,
Bo i lat jej ująłem, i zalet dodałem. . . .

ROTMISTRZ.

Majątek?

ZDZISŁAW.

Czyściuteńki. . . .

ROTMISTRZ.

A ileż przeżywa?

ZDZISŁAW.

Pięć tysięcy rubelków. . . .

ROTMISTRZ.

Rzecz dosyć godziwa. . . .

ZDZISŁAW.

Lubi bardzo podróże, wesołość, zabawy. . . .

ROTMISTRZ.

Ja także — wraz pojedziem na rok do Warszawy . . .
Ale czy nie zazdrosna?

ZDZISŁAW.

Gdzie tam, ani trocha,
Albo może cokolwiek, jeśli bardzo kocha,
A ciebie kocha bardzo . . . kiedyś do Adelki
Mówiła: oj z Rotmistrza musi być łotr wielki,
Taki miły, przyjemny, w układzie swobodny,
Tak luby w towarzystwie, tak miłości godny,
Że się kobieta może zakochać szalenie
W tylu pięknych przymiotach. . . .

ROTMISTRZ.

No to ja się żenię,
Oświadczę dzisiaj jeszcze. . . .

ZDZISŁAW.

Oświadczaj się śmiało,
Takich, jak ty Rotmistrzu, ludzi u nas mało . . .
Przypuść atak dziś jeszcze. . . .

ROTMISTRZ.

Tak, pójdę w atakę,
Sabli won! rysiu marsz! po żoneczkę takę.

ZDZISŁAW.

Tęgo! ot tak cię lubię, mój Rotmistrzu drogi...
Ale słyszę, że idzie; więc ja sobie w nogi,
Ty zaś z chwili korzystaj....
(ucieka).

Scena 8.

ROTMISTRZ, SZWENDALSKA (wystrojona).

PANI SZWENDALSKA.

A — Rotmistrz zawczasu
Raczył do nas przyjechać.... O! widać, że czasu
Nie lubisz pan marnować, zwłaszcza gdy poprzedzie
Miłość go do Adelki szybkim krokiem wiedzie....
Wszakże prawda?

ROTMISTRZ.

Jest prawda, lecz tylko w połowie.
Nie do panny Adeli miłość w mojej głowie
I sercu, wierz mnie pani....

PANI SZWENDALSKA.

A dla kogóż, proszę,
Wszakże pan dla niej bywasz, jak z wszystkiego wnoszę.
Bo żadnej innej nie ma w tym domu piękności,
Któraby wzniecić mogła uczucie miłości
W takim jak pan człowieku....

ROTMISTRZ (z czułością).

A pani?

PANI SZWENDALSKA (z kokieteryą).

To żarty,
Choć znam go, żeś szlachetny, miły i otwarty;
Lecz widzę, że żartujesz....

ROTMISTRZ.

Nie żartuję zgoła...
Niechaj pani Zdzisława natychmiast przywoła
I zapyta... a pewnie zaręczy on pani,
Że ja życie poświęcić gotów jestem dla niej...
A wreszcie, cóż tam gadać, odstawkę przynoszę,
I formularny spisek, i o rękę proszę....

PANI SZWENDALSKA.

Na seryo?...

ROTMISTRZ.

Najseryoźniej....

PANI SZWENDALSKA (podając mu rękę).

Rotmistrzu, żartujesz!...
Zkądże tak nagła miłość, którą dla mnie czujesz?...
Żarciki, mówię, żarty....

ROTMISTRZ.

Et, jakie to żarty,
To przecie nie preferans, lub inna gra w karty,
I dlatego dziś jeszcze chcę wiedzieć dokładnie,
Jaki wyrok z ust pani na mą głowę spadnie...
Ja człowiek, tak, nic sobie; pani piękna, młoda —
Co tam nawet i myśleć... więc cóż, pani, zgoda?

PANI SZWENDALSKA (żywo).

A więc zgoda....

ROTMISTRZ (całując jej rękę).

Dziękuję....

Scena 9.

CIŻ i PAN SPOKOJNICKI (ubrany).

PANI SZWENDALSKA.

Mój bracie kochany!
Oto Rotmistrz przezemnie na męża wybrany,
Poleca się twym względom....

PAN SPOKOJNICKI.

(n. s.) A, winszuję szczerze.
Ma mi baba dokuczać, niech ją sobie bierze....
Będzie z was para piękna i dziwnie dobrana;
Ale powiedz mi proszę siostruniu kochana,
Kiedyżeście poznali, żeście sobie mili,
I to sobie wyznali....

PANI SZWENDALSKA.

Ot właśnie w tej chwili
Pan Rotmistrz, człek otwarty, przyznał się przedemną,
Że mię kocha, i dawno szczęścia pragnie ze mną.

A że nie mam najmniejszych powodów odmowy,
Przyjęłam, i gotowam . . .

ROTMISTRZ.

I ja też gotowy,
Bo tu nie ma co zwlekać . . . kiedyż pani każe
Stawić się na jej rozkaz, żebym ekwipaże
Mógł zawczasu wystroić, i sprawić mebl nowy . . .
Pani zapewne lubi mebl palisandrowy,
Sprowadzę ze stolicy. — Mam konie myszate,
Sześciórkę siwych w jabłka, dwa tarantowate,
I trzy, co mi służyli jeszcze w eskadronie,
A wszystko dobre konie, bardzo dobre konie,
Które pani dla siebie odebrać przykaże?

PANI SZWENDALSKA.

Nadto pan jesteś dobrym. . . .

ROTMISTRZ.

No — a ekwipaże
Jakie pani do gustu? . . . jest u mnie kocz nowy,
Z fordeklem i bronzami, ciemno-koryszniowy,
Jest fajeton — pralotki. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Nie masz pan karety?

ROTMISTRZ.

Nie, nie mam. . . .

PANI SZWENDALSKA.

Więc pan kupisz, bowiem dla kobiety
Nic bardziej potrzebnego; kupisz ją w Warszawie
U Rentla, tam powozy za bezcen są prawie.

ROTMISTRZ.

Podług rozkazu pani, natychmiast zakażę
U Rentla dwie karety; może pani każe
Co więcej, bo ja wszystko od jednego razu
Zakupię podług pani woli i rozkazu? . . .

PANI SZWENDALSKA.

Może sobie przypomnę z rzeczy dzisiaj w modzie. . . .
Ale chodźmy Rotmistrzu przejść się po ogrodzie . . .
Do widzenia braciszku. . . .

(bierze go pod rękę, wychodzą).

Scena 10.

PAN SPOKOJNICKI (po chwili).

Z przykazu, zakazu,
Z rozkazu, bez nakazu, lecz tylko odrazu . . .
Ruszajcie sobie razem — baba zwaryowała,
Szczęśliwa, że huzara sobie spolowała.
Myśli, że to z Szwendalskim nieboszczykiem sprawa,
Co siedział pod pantoflem. — Nie, to sztuka żwawa,
Nie poda się tak łatwo . . . a jak już jejmości
Naje się dobrze wdzięków i różnych czułości;
Na dowód, że jest tęgim do wszystkiego zuchem,
Gotów zapoznać babę z huzarskim cybuchem.
Bo to zwykła ich miłość, żonę kocha troszkę,
Rysaka kocha więcej, najwięcej Aloszkę. . . .
I nie minie lat kilku, jejmość w swej karecie
Przyjedzie sprezentować siniaki na grzbiecie.
Zwykła słabość kobieca! . . .
(dobywa Horacego i siadając czyta):
Własnym wołem orze . . .

Scena 11.

TENŻE i ADELA.

ADELA.

Ciekawam, w jakim papa dzisiaj jest humorze?
Dzień dobry, drogi papo.
(całuje go w rękę).

PAN SPOKOJNICKI (chowając książkę).

Masz tobie, znów druga. . . .
Czy i ty idziesz zamąż? . . .

ADELA.

Może nie zadługo . . .
Czyż nie czas . . . tylu chłopców na mnie tylko czeka,
A papa przez tę brzydką łacinę odwleka,
I nie robi wyboru. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

A w kimże go zrobię?
Z tych swoich kawalerów sama wybierz sobie,
Na Rotmistrza nie rachuj....

ADELA.

Mniejsza mi o niego.

PAN SPOKOJNICKI.

Więc Alfons?...

ADELA.

Nie chcę męża tak muzykalnego.

PAN SPOKOJNICKI.

Może Kandyd?...

ADELA.

Broń Boże — to taki niezdara,
On sam tego nie widzi, że się o mnie stara....

PAN SPOKOJNICKI.

Zatem chyba Emeryk?...

ADELA.

Ten pedant przeklęty!...

PAN SPOKOJNICKI.

Zostaje tylko Artur, poeta zawzięty....

ADELA (całując go z przymileniem).

Zostaje jeszcze jeden, dobry i poczciwy,
Znajomy nam od dziecka, sumienny, cnotliwy,
Który kocha cię bardzo....

PAN SPOKOJNICKI.

Mów sama o sobie;
On się we mnie nie kocha, tylko przecież w tobie.

ADELA.

Prawda... ale też zato on papę szanuje,
Jak dobrodzieja, ojca....

PAN SPOKOJNICKI.

Czuję ja to, czuję,
Że Zdzisław chłopiec dobry, do nas przywiązany.

ADELA.

Więc pozwól nam się pobrać papuńciu kochany...
(całuje go w rękę)
Pozwolisz?...

PAN SPOKOJNICKI.

Potem o tem, nic nie ma pilnego. . . .

ADELA.

Otóż masz, znowu papa wraca do swojego:
Potem o tem . . . doprawdy, czyż to pięknie zwlekać,
Co tak łatwo jest zrobić; kazać córce czekać
Na pozwolenie, które bez żadnej przyczyny
Już rok blizko wstrzymujesz dla swojej łaciny.
Kochasz mnie, kochasz jego jak własnego syna,
I cóż ci na przeszkodzie, nic, tylko łacina. —
Lecz nic z tego nie będzie, powiadam to z góry,
Zaraz się tutaj zjawią te nudne Arthury,
Alfonse, Emeryki, pan Kandyd, pan Jerzy,
Będziesz musiał ich bawić, niech mi papa wierzy.
Bo ciocia nie ma czasu, rotmistrzem zajęta,
A ja też milczeć będę, milczeć jak zaklęta. . . .
A kiedy postępujesz tak ze mną niegodnie,
Całą bandę zaproszę tu na dwa tygodnie. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Adelko! miejże litość. . . .

ADELA.

Nie — nie mam litości;
Nie chcesz mojego szczęścia, bawże sobie gości. . . .
(widząc wchodzącego Alfonsa)
Otóż i wchodzi jeden, jak gdyby wołany!

Scena 12.

CIŻ i ALFONS.

ADELA (biegnąc w podskokach naprzeciw niemu).

Ach przyjechał, przyjechał nasz muzyk kochany!
Ciąglem o nim myślała! . . .

ALFONS (n. s.).

Co słyszę, roskosze!

ADELA.

Zaśpiewaj nam natychmiast, bardzo pana proszę,

Ten piękny chór spiskowych z opery Verdego
Hernani!...

ALFONS.

Pani lubi bardzo Hernaniego?

ADELA.

Ach lubię, od dni czterech ciągle o nim marzę!

ALFONS (zdejmując rękawiczki powoli).

Zatem śpiewam, gdy piękna Adela tak każe....

(na stronie)

Nie ma nic nad muzykę, by miłość obudzić....

(siada do fortepianu).

ADELA (do ojca, pocichu).

A my siądźmy, słuchajmy, i będziem się nudzić!

PAN SPOKOJNICKI.

Czekaj mały szatanie....

ADELA (do Alfonsa hałasującego przy fortepianie).

Głośniej, to zacicho,
Najgłośniej ile można....

(Alfons drze się na całe gardło).

PAN SPOKOJNICKI.

Czekaj małe licho...

(zatyka uszy).

Boże mój, jakże wrzeszczy!

ADELA.

Nie szczędź pan klawiszy,
Pan nie wie, że mój papa trochę nie dosłyszy,
Zwłaszcza na lewe ucho....

(Alfons podwajając wrzaski).

PAN SPOKOJNICKI.

Czemuż nie na oba,
Ten meloman przeklęty, to moja choroba!

Scena 13.

CIŻ i ARTHUR.

ARTHUR (wchodzi, kłania się, przysłuchuje się przez chwilę muzyce; potem dobywa z kieszeni arkusz papieru, i klepiąc po ramieniu powoli Alfonsa, mówi do niego):

Ach cudnie! graj to samo, ale piano, piano,
Żeby każde słóweczko ust moich słyszano.
Zaczynaj . . .

(nuci, Alfons gra pocichu).

Co widzę, ach widzę te oczy,
Których blask uroczy
Dzień mroczy,
Ach, stanę sobie na uboczy! (bis)
Przez litość, ach zamknij twoje piękne oczy,
Czy, czy, czy, czy, czy, czy,
Czy nie wiesz, jak smutek mą duszę tłoczy!

(Przegrywka, w czasie której)

ADELA (udając zachwycenie).

Bravo, bravi, bravissimo — to jest śliczne, cudne,
Panie Arthurze więcej! . . .

PAN SPOKOJNICKI.

A to osły nudne!

ARTHUR (śpiewa).

Dziewico, ach skróć moje męki,
Raz zamień me jęki
Na dzięki,
Ach, znane mi są twoje wdzięki! (bis)
Niech uczuję uścisk twojej lubej ręki,
Ki, ki, ki, ki, ki, ki,
Kilkoma wyrazy skróć moje męki!

(do Adeli):

Ponieważ tak jej miła muzyka Verdego,
Niech pani przyjmie wiersze układu mojego,

Z myślą o niej stworzone, wiersz nadzwyczaj trudny,
Uważała to pani?...

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

O, to głupiec nudny!...

ADELA.

Uważałam, podziwiam, prześliczne wierszyki,
Jak pięknie brzmią z muzyką te czyczy i kiki,
I to jam je natchnęła?...

ARTHUR (z zapałem).

A któżby też inny!
Pani drugie wysłucha?...

ADELA.

Słucham....

ARTHUR (deklamując).

Wiek dziecinny,
Wzrok niewinny,
A postać anioła;
Głos słowiczy,
Wdzięk dziewiczy,
Pogoda wśród czoła!
Wszędzie byłem,
Dużo żyłem,
I widziałem wiele;
Sercem całem,
Pokochałem,
Ciebie mój aniele!
Ach niestety!
Ty poety,
Duszę cenić umiesz;
Ty go lubisz,
Przyhołubisz,
I pewnie zrozumiesz!
Przez burzany,
Uragany,
Przez step życia goły,
Z tobą pójdę,
Celu dojdę,
Szczęśliw i wesoły!

Lecz gdy zcicha,
Rozkołycha,
Wiatr młodą topolę;
Czemuż Boże,
Nikt nie może
Nagiąć twoją wolę!

ADELA.

To w stylu ukraińskim dumka bezwątpienia?...

ARTHUR.

Tak, to są w wierszu serca mojego marzenia.

PAN SPOKOJNICKI.

Marzenia dość niewinne, ze sto mil burzanu,
Wiatru o ile można, trochę uraganu,
Jedna tylko topola, ogromny step goły,
W istocie to krajobraz nadzwyczaj wesoły,
Warto go poznać bliżej, i po trudach wielu
Dojść nakoniec do tego co pan widzisz celu.
Jednak niechaj nikt sobie z podobnej podróży
Zbyt wielkich przyjemności, uprzedzam, nie wróży;
Bo i u nas na miejscu jest dość rzeczy gołych,
Jak ów step ukraiński, i równie wesołych.
(do wchodzącego p. Jerzego z Kandydem):
A, witam panie Jerzy! (n. s.) To boże skaranie,
Tylu nudziarzy naraz!...

Scena 14.

CIŻ SAMI, PAN JERZY, KANDYD.

PAN JERZY.

Me uszanowanie.
(do Kandyda)
Idźże synku do panny....
(Kandyd niezgrabnie kłania się i siada przy Adeli).
(do pana Spokojnickiego):
Cóż tam u wasana
Słychać?... widziałem, rola kiepsko poorana,

Bo z wasana literat, a to już w naturze,
Że źle idzie interes przy literaturze.
Ot, zobacz wasan u mnie, ja książek nie czytam,
Ale zato pieniążki za produkta chwytam,
I teraz wyprzedałem dwom żydom z pod Grodna
Trzysta beczek pszenicy. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

A cena?

PAN JERZY.

Dogodna,
Regularna, jak zwykle, kiedy ja przedaję;
Bo ja powiem asanu, że mnie każdy daje
Cenę lepszą jak innym, a od czego główka,
Postaram się, pomyślę, to i jest gotówka;
Mam jeszcze i wódeczki trochę przeszłorocznej,
Jest len, jest dwieście pudów wełny tegorocznej,
Jest owies, jest i jęczmień, a wszystko to sprzedam
Regularnie, zobaczysz, bo okpić się nie dam;
Będzie trochę grosiwa, to też mówię tobie,
Głupiec ten, kto w tym roku majątku nie zrobi. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

A więc mnie głupcem zostać jak widzę wypadnie.

PAN JERZY.

Pewnieś wszystko już sprzedał?

PAN SPOKOJNICKI.

Zgadłeś najdokładniej. . . .

PAN JERZY.

I kiepsko? . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Nie tak kiepsko, jak wszystkiego mało.

PAN JERZY.

To jest, tyle przedałeś, ile czego stało.
Ja tak panie nie robię, u mnie produkt leży
Dwa, trzy, i cztery lata, niech mi wasan wierzy,
Aż doczeka się ceny, ale regularnej;
To panie cały system jest mój gospodarny,
Zebrał, obliczył, zmłócił, przemierzył, wysuszył,
Zamknął porządnie na klucz, i póty nie ruszył,

Póki mi takiej ceny jak ja chcę nie dadzą;
To też ja i bez książek dobrze sobie radzę.
Co mi tam z tych Horacych, albo Wirgiliusza,
Kiedy na polu pustki, a w kieszeni susza.
U mnie tak,

(do Kandyda)

I to tobie daję w upominku,
Rób jak ja, a nie będziesz kpem nigdy mój synku,
Bo choć ty do romansów widzę nie najpierwszy,
I spiewać nic nie umiesz, i nie piszesz wierszy,
Wszędzie cię jednak przyjmą przyjaźnie i czule,
Jak widzą, że masz rozum w okutej szkatule,
Bo rozum w wielkiej zawsze ze szkatułą zgodzie....

(ogląda się)

Gdzież to pani Szwendalska?

ADELA.

Podobno w ogrodzie
Z Rotmistrzem się przechadza....

PAN JERZY.

Ot pójdziem panowie
Złożyć pani dzień dobry, ja też Rotmistrzowi
Mam parę słów powiedzieć.

(do Kandyda)

Ty na mnie zaczekaj.

(cicho)

A ośle oświadczenia swego nie odwlekaj.

(Wychodzą wszyscy, prócz Kandyda, który zostaje z Adelą i jej ojcem).

Scena 15.

PAN SPOKOJNICKI, ADELA, KANDYD.

ADELA (n. s.).

Teraz ciekawam bardzo, co pan Kandyd powie?

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

Co u tego cielęcia może też być w głowie?

Nigdym z niego jednego nie wydobył słowa;
Może dziś wydobędę. . . .
(głośno)
Gdzie się pan tak chowa,
Tak rzadko u nas bywa, przez te wszystkie czasy
Prawieś z domu nie ruszył? . . .

KANDYD.

Strzelałem bekasy. . . .

ADELA.

I cóż więcej? . . .

KANDYD.

Cietrzewie. . . .

ADELA.

A cóż jeszcze?

KANDYD.

Sarny. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Wielki z pana myśliwy. . . .

ADELA (n. s.).

Ależ szlamazarny!

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

Znowu przestał gadać. . . .
(głośno)
A lubi pan czytać? . . .

KANDYD.

Nie. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Towarzystwo?

KANDYD.

Nie wiem. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Cóż go będę pytać,
Kiedy mruk nic nie mówi. . . .
(głośno)
A jeść co pan lubi? . . .

KANDYD.

Kołduny. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

A pić?

KANDYD.

Piwo. . . .

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

Ten chłopak mię zgubi,
Ja umrę z tej rozmowy, to boże skaranie! . . .
(głośno)
A więcej co pan lubisz?

KANDYD.

Lubię polowanie. . . .

ADELA.

A kobiety?

KANDYD.

Ja nie wiem. . . .

ADELA.

Warto się dowiedzieć.
(na stronie)
Miły z niego konkurent, nie ma co powiedzieć. . . .
A chcesz się pan ożenić? . . .

KANDYD.

Chcę. . . .

ADELA.

A z kim i kiedy?

KANDYD.

Z panną Adelą, zaraz. . . .

ADELA (śmiejąc się).

Brakłoby tej biedy;
Czy pan się we mnie kochasz?...

KANDYD.

Nie....

ADELA.

Cóż to za gapa?
Na cóż się pan oświadczasz, któż mu każe? . . .

KANDYD.

Papa!...

ADELA.

Więc chciej pan swemu papie powiedzieć odemnie,
Że jakkolwiek to dla mnie byłoby przyjemnie
Zostać jego synową; lecz pora spóźniona,
Bo od dziś już innemu jestem zaręczona.

KANDYD.

Dobrze, powiem. . . .

ADELA (n. s.).

Ten pewnie w łeb sobie nie strzeli...

PAN SPOKOJNICKI.

Co ty pleciesz; chcesz, żeby wszyscy już wiedzieli. . . .

ADELA (przerywając).

O to jestem spokojna; nim on słówko powie,
Każdy wprzód o tem wszystkiem odemnie się dowie. . . .
Lecz otóż pan Emeryk . . . tego brakło właśnie. . . .

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

Najnudniejszy ze wszystkich, niech go piorun trzaśnie!

Scena 16.

CIŻ SAMI i EMERYK.

EMERYK (kłaniając się poważnie).

Witam pana mojego . . . i pannę Adelę . . .
I pan Kandyd tak blizko . . . to na niego wiele,
Rzadko mu się to zdarza. — Radbym wszakże wiedział,
Czy przez całą godzinę choć słówko powiedział. . . .

ADELA.

Owszem rozmawiał dużo. . . .

EMERYK.

O czem?

ADELA.

O miłości. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

I dał nawet dowody wielkiej w tem biegłości.

EMERYK.

Pan Kandyd o miłości! . . . doprawdy nie wierzę.

ADELA.

A jednakże tak było, mówię panu szczerze,
Mówił więcej i dłużej jak przez wszystkie czasy,
I oświadczył, że kocha . . .

EMERYK.

Panią?

ADELA.

Nie, bekasy. . . .

EMERYK.

A chyba, bo ten Nemrod, wzór obojętności,
Innej pewnie doświadczać nie zdoła miłości.

ADELA.

A pan czy ją doświadczał? . . .

EMERYK.

Powiem pani śmiało
Że dotąd doświadczyłem nadzwyczaj jej mało.
Wszakże, ja w miłość wierzę, może nie w ten sposób,
W jaki w nią wierzyć zwykła największa część osób;
Ale wierzę inaczej . . . biorę ją fizycznie,
Rozbiorowym sposobem i filozoficznie;
Jest miłość, nie zaprzeczam, jest ona w naturze,
Jest w ludziach, jest w zwierzętach, w kruszcach, jest
[w marmurze,
Jest w roślinach, a słowem wszędzie jest rozlana
Miłość powinowactwem w nauce nazwana.
Lecz się nam zastanowić i rozważyć trzeba,
Co tę miłość stanowi? . . . wzajemna potrzeba;
Wszystko bowiem przez związek potrzeby się łączy,
Jedno z drugiego życie ssie, a raczej sączy,
Jedno z drugiego ciągnie, co mu jest potrzebne. . . .
To jest miłość. . . .

ADELA.

To bardzo dla nas jest pochlebne
Zostać przedmiotem uczuć pojętych tak ściśle,
I tak zdefiniowanych po długim namyśle;
Ależ to samolubstwo. . . .

EMERYK.

Może samolubstwo,
Dysputować o wyraz, uważam za głupstwo,
Istotnie samolubem człowiek jest, gdy kocha,
Bo kocha, to dla siebie, dla drugich, tak, trocha;
Kocha nie dla zrobienia komu przyjemności,
Lecz raczej dla ulżenia nerwów drażliwości,

Które go mimowolnie zmuszają do tego;
Słowem, kocha poczuciem prawa wrodzonego,
Które jego instynktom zachowawczym służy . . .

PAN SPOKOJNICKI (n. s.).

A doprawdy wytrzymać niepodobna dłużej! . . .

EMERYK.

Naprzykład, samo słowo: kochać się, cóż znaczy?

ADELA.

Radabym bardzo wiedzieć, jak pan je tłumaczy?

EMERYK.

Najchętniej: ja się kocham, znaczy kocham siebie,
Nie zaś, ja kocham kogoś, albo kocham ciebie;
Tylko ponieważ tyle sam siebie szanuję,
Że nie mogę nic sobie odmówić, a czuję
Do kogoś jakiś pociąg, mówię tej osobie,
Że ją kocham, albowiem tem dogadzam sobie;
Z tem mi dobrze, tych kilku słów mi trzeba było,
Żeby w mym organizmie nic się nie zmieniło
Z owych fizyologicznych zasad równowagi,
Które w naturze ludzkiej wszechwładnej są wagi.
Gdybym tego nie zrobił, byłbym może chory,
Byłbym nudny, zły, kwaśny i do gniewu skory;
Słowem, jeżeli kocham, to tylko tak rzekę. . . .

ADELA (przerywając).

Jak się kocha lekarstwo, albo też aptekę,
A przedmiot ukochany, tylko jak doktora;
Szczęście, żem ja na miłość dla pana nie chora. . . .

EMERYK.

Pani! chociaż to może gniew twój na mnie ściągnąć. . . .

ADELA (przerywając).

Bynajmniej, bo pan ze mnie nie zdołasz wyciągnąć,
Pomimo całej pana nerwów drażliwości,
Ani powinowactwa, ani też miłości.

Scena 17.

CIŻ SAMI, wchodzą wszyscy goście, a także Pani Szwendalska, Rotmistrz i Zdzisław.

ADELA.

Ach ciociu, pan Emeryk jak nam opisuje
Miłość, którą niekiedy z drażliwości czuje;
Warto go nam posłuchać w towarzystwie całem.
Zdzisławie, słuchaj tylko. . . .

ZDZISŁAW.

Dużo już słyszałem
Filozoficznych rozpraw pana Emeryka;
Na szczęście, zbyt mię mało to wszystko dotyka.
Mam ja mą filozofię na życie powszednie,
I dla mnie bez użytku te uczone brednie;
Słucham serca, co czuje — głowy, która radzi,
Słucham zdania cudzego, bo i to nie wadzi;
Kocham, kto wart kochania — tego zaś szanuję,
Kto na to w przekonaniu mojem zasługuje;
Wierzę w uczciwość, przyjaźń, w Bogu mam nadzieję,
Szczerze uwielbiam rozum, a z głupstwa się śmieję.

EMERYK.

Rozum, uczciwość, przyjaźń, trzy wielkie negacye!

ZDZISŁAW.

Egoizmu i głupstwa, masz pan wielką racyę.

EMERYK.

Nie to chciałem powiedzieć; pytam się, czy wiecie,
Gdzie się to wszystko chowa na tym biednym świecie,
Bo ja coś tego nie znam. — Rozum, ta niewielka,
Która tu czasem błyśnie, wyższości kropelka,
Ażaliż dostateczny na nasze potrzeby?
Ciężko go nabywamy, pracujem, ażeby
Potem, po ciężkiej pracy, nabytym rozumem
Przekonać się, że mało — albo nic nie umiem.

ZDZISŁAW.

Na to zupełna zgoda. . . .

EMERYK.

A widzisz, że zgoda,
Widzisz, że na naukę lat i pracy szkoda;
A teraz weźmy przyjaźń, gdzież ona jest przecie,
Bo ja jej tu nie widzę na tym całym świecie,
Ludzi łączy potrzeba, tak jak wszystko łączy. . . .

ADELA.

Więc przyjaźń tak jak miłość, coś tam także sączy?

EMERYK.

Naturalnie — potrzeba własna mi dyktuje,
Do kogo mam się garnąć, a jak obrachuję
Ścisłym rachunkiem umu, wszystkie ztąd korzyście
Dla mnie i moich potrzeb, chwytam oczywiście
Sposobność zawiązania stosunków przyjaźni
Z tą osobą, i to jest tem uczuciem jaźni
Filozoficznie zwanem, czyli pospolicie
Uczuciem egoizmu, bo sami widzicie,
Że się wszystko obraca na tej głównej osi,
Która nazwę wzgardzoną egoizmu nosi;
A jest, nawet dyskusyi nie przypuszczam o to,
Nie wadą, lecz najwyższą wieku tego cnotą —
Czuję dla kogoś przyjaźń, jest temu przyczyna
Z mojem *ja* połączona. — Ten ma dobre wina,
Ten doskonale śpiewa francuzkie kuplety,
U tego robi kucharz przedziwne kotlety
Z sosem *à la soubise*, tamten ma wesoły
Humor, którym rozrywa powszednie mozoły
I nudy mego życia; ten ma psy, ten konie,
Ten ma gotową rękę ku mojej obronie,
Wreszcie ten ma pieniądze, lubi je użyczać,
Wolę zatem u niego, jak gdzieś tam pożyczać
U lichwiarza, co zedrze procenta bez miary;
Słowem tam tylko przyjaźń, kędy są ofiary
I pożytek z przyjaźni lub też z znajomości;
Innej nie ma przyjaźni w znanej mi ludzkości. . . .
Teraz trzecie, uczciwość. . . .

ZDZISŁAW (przerywając).

Tak ją pan rozbierze
Jak rozebrałeś tamto. — Lecz ja nie uwierzę,

Ażeby na tym świecie nie było miłości,
Przyjaźni bez obłudy, wreszcie uczciwości,
Która jest czemś tak łatwem, że tylko, mój Boże,
Chyba jej wielki głupiec zrozumieć nie może;
Mógłbym o tem rozprawiać także godzin kilka,
I dowieść, że jest wszędzie, lecz nie w panu tylko,
Bo człowiek, co tak świętych uczuć nie jest w stanie
Sercem swojem ocenić, jest złym człekiem panie.

EMERYK (z oburzeniem).

Co?

ZDZISŁAW.

Nie chciej pan przybierać ową postać gniewną,
Bo złym może nie jesteś, lecz nudziarzem pewno.

EMERYK (wybuchając).

Mości panie;

ZDZISŁAW.

Cóż dalej?

EMERYK (łagodząc się nagle).

Co dalej . . . nic wcale. . . .

ZDZISŁAW.

O, to jest jedno zdanie, które w panu chwalę.

PAN SPOKOJNICKI.

Zdzisławie, chodź, uściskam ciebie.

(całuje go).

(Wszyscy z sympatyą przybliżają się do niego, oprócz Emeryka)

ROTMISTRZ.

I ja także.

(całuje go).

Ja tej tam filozofii nie cierpię, a wszakże
Z brygadnym i pułkowym komandirem żyłem,
I rotmistrza się rangi w lat sześć dosłużyłem;
Lubili mię koledzy, i bez samochwalstwa,
Bardzo byłem lubiony od mego naczalstwa;
Bo też, słowo honoru, w żadnym eskadronie
Nie były tak jak w moim wypaszone konie,
A na dowód pokażę dwa błahowolenia
I formalny spisek, jakich bez wątpienia

Nikt w całym pułku nie ma . . .
(do Szwendalskiej)
Pani każe,
To ja zaraz przyniosę i wszystkim pokażę. . . .

(Pani Szwendalska daje znak, że nie potrzeba — Rotmistrz całuje ją w rękę).

PAN JERZY.

Prawda, ta filozofia, to głupstwo wierutne;
Ja panie, jak kontrakcik regularny utnę
Na pszenicę lub wełnę, a zadatek schwycę,
To się i filozofią najlepszą poszczycę;
Wziąść gotowe pieniądze, użyć gospodarnie,
Kupcowi oddać towar, w termin, regularnie,
Nie okpić na gatunku, na miarze, na wadze,
I podniesienie ceny zawsze mieć w uwadze,
To u mnie filozofia, nie głupia, jak sądzę. . . .
(do Kandyda)
Rób i ty tak, mój synku, będziesz miał pieniądze.

ARTHUR.

Tak . . . filozofia — tego . . . ztąd zawsze wynika . . .

ALFONS (wzdychając).

Że nie masz jak niemiecka lub włoska muzyka.

(Wszyscy odstępują w głąb sceny, rozmawiając z Zdzisławem).

PAN SPOKOJNICKI (do Adeli).

Boże, jakże mnie nudzą!

ADELA (cicho).

A, papę to nudzi,
A we mnie papa myśli, że to radość budzi,
Widzieć codzień i słyszeć tych głupców kolekcyę;
Zatem papo kochany za dzisiejszą lekcyę
Winieneś mi nagrodę,
(przymilając się)
Nagrodę malutką. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Wiem, wiem, do czego zmierzasz, niegodna filutko! . . .

ADELA.

A więc cóż?

PAN SPOKOJNICKI.

Zobaczymy. . . .

ADELA.

Nie, papciu kochany,
Już teraz to bądź sobie święcie przekonany,
Że lub moje z Zdzisławem małżeństwo ogłoszę,
Albo ich wszystkich jutro na obiad zaproszę.

(obracając się do gości)

Panowie, mam do panów malutką prośbeczkę!

WSZYSCY (zwracając się nagle ku niej).

Co pani nam rozkaże?

PAN SPOKOJNICKI (cicho z niespokojnością).

Poczekaj troszeczkę;
A to szatan ta mała. . . .

ADELA.

Papo, spiesz się, proszę. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Co tu robić . . .

ADELA.

Pozwolić, bo wszystkich zaproszę. . . .

PAN SPOKOJNICKI.

Rób, co chcesz. . . .

ADELA.

A więc zgoda?

PAN SPOKOJNICKI (całując ją z rozrzewnieniem).

Zgoda, Pan Bóg z wami.
Przynajmniej przy was obu odetchnę czasami.

(ociera łzę, ściskając córkę).

ADELA (uściskawszy ojca).

Dzięki, drogi papuńciu!

(do gości)

Łaskawi panowie,
Naprzód proszę was wypić mego papy zdrowie. . . .

(Dzwoni — wnoszą wino i kieliszki — Zdzisław rozlewa wino, wszyscy piją).

Teraz zdrowie Rotmistrza, pani Rotmistrzowej. . . .

(wszyscy piją).

I jeszcze jednej pary, lecz zupełnie nowej. . . .

Idzie do Zdzisława, bierze go za rękę, i przyprowadziwszy do ojca, mówi, przyklękając razem ze Zdzisławem):

I z tą łzą, co ci w oku tak anielsko świeci,
Pobłogosławże papo jeszcze twoje dzieci!

KONIEC.

KORESPONDENCYA

Kajetana Koźmiana z Franciszkiem Wężykiem

(między r. 1845 a 1856).

(Dokończenie).

W roku 1848, na którym stanęliśmy w ostatnim z zamieszczonych poprzednio listów, tok powyższej korespondencyi przerywa się zupełnie; odnawia się jednak za lat parę (z r. 1851). Obaj starzy przyjaciele z końcem tegoż roku przyrzekają sobie nawzajem przynajmniej raz w miesiąc do siebie pisywać, i swięcie tego dotrzymują, jak widzieć można z zachowanego kompletu listów Koźmiana, z których każdy jest odpowiedzią na poprzednią odezwę Wężyka. — Na nieszczęście jednak z tych ostatnich, od r. 1851 bardzo niewiele się dochowało, przez co niniejsza publikacya w drugiej części swojej traci jeden z najmilszych wdzięków: niczem niepowetowany urok ciągłej wymiany myśli obu nad grobem stojących klasyków. Niemniej jednak zajmujące są i same listy Koźmiana, będące niejako przyczynkiem do jego tak pouczających i cennych pamiętników, a dozwalające odtworzyć sobie w myśli po-

niekąd i to, co mógł pisać Wężyk, zwłaszcza że ostatnich kilka listów jego się znalazło, również jak i jeden z pierwszych z tej epoki, od którego tu właśnie zaczniemy:

Kraków, 25 Grudnia 1851.

W doroczny dzień Narodzenia Chrystusa Pana, biorę się do pisania, ażeby ci podziękować szanowny przyjacielu za twój list ostatni w dniu 15 b. m. skreślony. Wczoraj twój wnuk przyjął wraz z swym przewodnikiem u nas podział opłatka i skromny obiadek, bo go uważano za należącego do mojej rodziny przez powinowactwo serca i stosunki zadawnionej przyjaźni. Jest on zdrów, poznał się z świeżo przybyłym mym synem najmłodszym Teofilem i nagadaliśmy się do późnego wieczora, to o Piotrowicach, to o szanownej parze tamecznego gospodarstwa, to o rybołostwie które tak lubisz, to o patryarchalnych zwyczajach przodków naszych, które dni niniejsze wywoływały przed laty po całej Polsce, a które dziś już niestety poczynają wygasać, dzięki kolejom żelaznym, i bardziej jeszcze żelaznemu wiekowi. Za lat 50, już może nie będzie szopki, i wigilii, i tak pięknej kolendy z której nawet poważył się żartować ostatni polski arcybiskup Gnieźnieński, w słowach:

Żaki śpiewanie zaczynają w sieni,
Gospodarz z dziećmi dobrodzieja wita.
Kończy się kuflem pobożna wizyta,

nie kuflem ona kończyła się, ale posiłkiem: bo ksiądz pleban przybywszy o mil parę na sankach, mógł naziębnąć, a zawsze potrzebował jakiegoś uczczenia. Czy się to lepiej teraz odbywa herbatą, którą raz wymoczył i wypił chinczyk, a wysuszywszy sprzedał w kiachcie Kacapom, którzy z swej strony może podobną spełniwszy kolej, znowu nam lub naszym żydom sprzedają? Niechaj osądzą znawcy: ja nie jestem judex competens, bo nigdy i o żadnej porze nie pijam herbaty.

Obawę twoją o moją spokojność, z powodu listu wiadomego wierszami [1]), podnieciła przyjacielska troskliwość. Ja jej nie mam, ale milcząc przez lat 30, osądziłem za potrzebę odezwania się raz przed śmiercią, by ktoś nie wyrzekł, że żył pośród zgorszeń i literackiej herezyi, mógł coś w tej mie-

---

[1]) List ten znajdujemy w korespondencyi Z. Helcla z Fr. Wężykiem.

Pod dniem 13 maja napisał Z. A. Helcel humorystyczno-lokalne przywitanie Fr. Węż. za jego przybyciem na wieś, które się dlatego nie udziela, że wypadałoby wiele lokalnych dołączać objaśnień. Na to Fr. W. (jak wiadomo) odpisał z prośbą, aby mu nie odbierał chleba, ten zwłaszcza, który w prawno-historycznym zawodzie tak znakomicie pracuje.

Na to Helcel nadesłał mu swój wiersz, skreślony do J. I. Kraszewskiego, z powodu nadesłanego mu wiersza przez anonima z Warszawy, co w *Gazecie Warszawskiej* wydrukowane, powszechną obudziło uwagę. Nie pojmowano bowiem celu, jaki miał w tej publikacyi Kraszewski. Byli i tacy, którzy anonimowi przyznawali słuszność. Helcel osądził, że nie godziło się gniewać i wtajemniczać publiczność do tego nowego rodzaju literackich sporów. Dlatego przy końcu swego wiersza następujące domieścił strofy:

Grot prawdy w sercu swem czując utkwiony
Nie pyta mędrzec, z której wypadł strony,
Lecz silnym duchem zrywa zakres ciasny
Miłości własnej.
I ty pisarzu naukę życzliwą,
Danąć z Warszawy, przyjm z chęcią poczciwą;
Dla młodszych z dumą nie odpychaj prawdy,
Gdyż boska zawdy.

Potem rzekłszy, że W. Scott i Bulwer, chociaż wyżsi od naszych powieściopisarzy, a nie obrażali się krytyką sumienną, tak kończy:

Cnym nie przystoi zarozumność niska;
Czujesz błąd — popraw, a kraj na tem zyska,
I wdzięczneć będą za korzyść z nauki
Późne prawnuki.

rze napisać, i okrył się wygodnem milczeniem. Jeżeli się podoba tym panom podnieść rękawice rzuconą, to może znowu wystąpię, i nie oszczędzę imion dla miłości prawdy. Mam już

Na to odebrał od Fr. Wężyka następującą odpowiedź:

Sądziłem zrazu, że jak kuternoga,
Zdawszy rząd pól twych na ludzi i Boga,
Z żartuś wesołe zaczął składać śpiéwki,
Dla swej rozrywki.
Brawo! mówiłem, to roskosz prawdziwa
Statut Kaźmierza niby słowik śpiewa;
A w rym związany cale niekoszlawo
Przemawia prawo!
Lecz gdyś mi z Golczy drugi śpiew zagaił,
Stój zdrajco! rzekłem, coś się tak przyczaił
Pod skórę jura albo szpargalisty,
A tyś wieszcz czysty.
Tyś w nieobłudnej a dobitnej treści
Wyrąbał prawdę pisarzom powieści:
Ja chcę duchowej narodu ruiny
Dotknąć przyczyny.
Byliśmy wielcy!... Nie oręż zwycięzki
Zgniótł nas — Kannejskiej nie znieśliśmy klęski,
Lecz nam wydarły naddziadów nabytki,
Przekupstwa, zbytki!
Została pamięć cnót i obyczajów —
By tę wytępić z nieszczęśliwych krajów,
Pieniądz na niższy przeznaczony połów
Szedł do gryzmołów.
Niechby pisarzom, których czas ten powił,
Wolf lub Leszniowski jurgeltu odmówił,
Spryśliby z pola — bo ich dusznej nędzy
Trzeba pieniędzy.
Kto w płody pióra kraj przedtem bogacił,
Za druk i papier sam wydawcy płacił;
Dziś księgarz kupi na termin przestrony
Płód niezrodzony.
Więc jak kielichy na bogacza stypie,
Tysiąc powieści ze wszech stron się sypie,
A ich pisarzy rzesza rozhulana
Pije szampana.
I cóż my na to?... Stać-li w osłupieniu
I dać wstęp wolny zarazie — zgorszeniu?
Nie — strzegąc od nich domowego progu,
Ufajmy w Bogu.

w myśli gotowy nabój w liście 11, który ci z czasem nadeślę gdy przejdzie z głowy na papier. Jeżeli im wolno mieć o nas takie lub owakie mniemania, to i my powiedzieć możemy: hanc veniam damus etc. etc. Wszak to, w niczem nie tyka osobistych stosunków, wszak i tacy co sami o sobie wyrzekli, „Ja mistrz,“ mogli jak ludzie usunąć się w swoich mniemaniach i sądach, wszak nad wszystkiemi nami stoi sąd wyższy, to jest krajowa powszechność. To co piszesz o zebraniu kilku rodaków w twym domu, na których mój list przychylne zdziałał wrażenie, przeświadcza mię, że jest jeszcze u nas miłość dla poczciwości i cnoty: ona zawsze i wszędzie będzie przenosić prawdę nad malowidła powtórne i obudzające zgorszenie. Takie obrazy jak narodzenie bezimiennego w karczmie żydowskiej, jak śmierć kasztelanica w interesach familijnych, powinny być zakazane jak te ohydne malatury na tabakierkach francuzkich z wieku Ludwika XV, któremi stare libertyny przypominali sobie niecne sprawy występnej swej młodości. Lecz dosyć o tem, co do oburzeń na wiek dzisiejszy pobudza. Do raz to nowe ku temu nasuwają się żywioły; bo coraz to więcej zuchwalstw bez wstydu.

Kończy się rok stary, ten jak wiele innych przeszedł dla nas bez śladu lepszości. Przeciwnie pogrążył kraj nasz w niejeden smutek, i wydarł nam nie jedną bolesną ofiarę. Dosyć wspomnieć Antoniewicza właśnie otrzymałem od p. Jana K., list z dnia 17 b. m., w którym wynurza swą boleść nad tą stratą, a piękną myśl jego z uwielbieniem powtórzę:

„Cały kraj płacze za K. Autoniewiczem. Nie pamię„tają tutaj takiego powszechnego żalu za człowiekiem poje„dynczym. I dzieje się, że jak apostołował żyjąc, tak i apo„stołuje śmiercią.“

Bodajby nas Wszechmocny w roku następnym od podobnych klęsk uchronił. Bodajby zachował w całości dni tego sędziwe, bez którego jabym już tylko został jednostką; a gdy już przyjdzie dług ostatni człowieczeństwa wypłacić, bodajby nas nierozłączał od siebie.

Fr. Wężyk.

Piotrowice, 30 Grudnia 1851.

Szanowny i kochany mój dawny kolego i łaskawy Przyjacielu!

Jeżeli ci odezwa moja sprawiła przyjemność, czemu znając zacne twoje serce wierzę, ileż mnie staremu, wyrazy twoje niedały rozkoszy, czytając je, znalazłem się w moim żywiole jak ryba, którą zostawioną na błotnistym kale wpuszczono do źródlanej i czystej wody, możebym się nawet wbił w pychę — widząc jednego, ze mną zdania jednego i przekonania, i z pobłażaniem sądzącego o mnie Franciszka Wężyka, ale w moim wieku, już próżność za mną pozostała tak pisarza jak autora; a serce bije tylko dla rodziny dla przyjaciół. Z tej strony drogi przyjacielu, wyrazy twego listu były mi najdroższe były pocieszające, bo mi i z ręki twojej tak pięknie, tak wyraźnie tak niezmordowanie piszącej, i z świeżości umysłu i z jędrności znanego mi twego stylu przyniosły świadectwo o twojem zdrowiu i umysłowej potędze, która mnie już (prawda że znacznie od ciebie starszego) odstępować zaczyna, widzisz, że już krzywo piszę, drobno niewyraźnie i bez porządku. Już to drogi przyjacielu my się ani dla siebie ani w przekonaniu o wszystkiem co nas otacza nie zmienimy. Ja twoje zdanie zupełnie dzielę. Jesteśmy jednego wieku wychowańce, jednej szkoły uczniowie, jednego towarzystwa niegdyś członkowie, jednych spraw i wypadków świadkowie, jednych i może niejakich zasług wspólnicy. Wyobrażenia więc nasze, czucia, przekonania muszą być jedne i te same, a jako wyznawców jednych zasad w religii moralności i literaturze muszą być stałe i niezmienne; milczeć możemy na to wszystko co się dzieje, lecz ani wrzask ogłupiałych półgłówków, ani kacerskie nauki pseudo-filozofów nas nie stropią, nieodstraszą od naszego wyznania. Ja już lutnią potłukłem; z nałogu pisania a z głodu czytania, bo niema co wziąść do ręki, czasem rzucam na papier moje dawne wspomnienia, może za sto lat po mojej śmierci przydadzą się komu do historyi naszych czasów, ale jak mi wpadnie jaka powiastka

Korzeniowskiego, lub innego powieściobajacza w rękę, przez tydzień ze wstrętu niemogę wziąść pióra do ręki, radbym zapomnieć pisać, byleby tacy moraliści nie bazgrali, jak autor pana Tadeusza Bezimiennego, co za przewrót i obłąkanie mózgu, żeby ze śmieci zbierać cuchnącą zgniliznę, i wmawiać w ludzi że to pachnie, dla tego, że walterskotyzmem odziane; przed moim nieszczęściem, czasem jeszcze kleciłem wierszydła jak ten stary furman co kiedy powozić nie może bicze kręci, nikomu atoli tych lichych ramot nie powierzam, ale takiemu przyjacielowi co umie staremu wiekowi przebaczać, bierze mnie pokusa udzielić. — Synowica moja ma śliczną rękę w pisaniu, naparła się mego Czarnieckiego przepisać i prawie jak sztychem przepisuje, napisałem więc do niej podziękowanie [1]).

---

[1]) DO ZOSI PRZEWŁOCKIEJ,

przepisującej Czarnieckiego poemat.

Zosiu, ty z czułej ku stryjowi chęci
Starą ramotę ryjesz jak na miedzi;
Nie uratujesz jej od niepamięci,
Oko młodego rodu jej nie zwiedzi.

Im ją nadobniej ręka twoja kreśli,
Właśnie z tych zalet podpadniesz naganie,
Bazgractwo w modzie i z pióra i z myśli,
Z wrzaskiem na ciebie i na mnie powstanie.

Dla sztuk, dla nauk smutne przyszły czasy,
Z zepsutym smakiem zysk podły się zbracił,
Jak lubi brednie — polubi kulasy,
Nikt nie przeczyta, ale już zapłacił.

Stargała młodzież rozsądku wędzidła,
Zarozumiałość w szał pomysły wprawia;
Marzy, rozmnaża potwory, straszydła,
I jak cud wieku śpiewa głosem pawia.

Ochroń od zgubnej zarazy me wnuki,
Odwróć od bredni dubów i mamideł,
Nie ma w naukach piękności bez sztuki,
Nie ma sztuki bez prawideł.

Drugą lichotę rzuciłem na papier wiersz na Demagogów [1]) przejrzyj przeczytaj, spal jeżeli zachowania nie warte, a niech cię to zachęci, mnie stęsknionego do pięknych wierszy czem twojem obdarzyć.

Próżno obecne plemie się uwzięło
Przeczyć tej prawdzie i uporem błądzi;
Potomność powie prawdę, gdy osądzi
Piękniejsze twoje pismo niż me dzieło.

Znienawidzona stoi szkoła stara,
Próżno ją zwalić, głupota się kusi,
Póki nie schwyci pochodni Omara,
Czołgać się przed nią i wstydzić się musi.

My się na sądzie wieków nie omylim,
Szukajmy w wzorach dla pióra zapasów,
Chlubniej być głupcem z Homerem Wirgilim,
Niż geniuszem tych czasów.

---

[1]) DO DEMAGOGÓW.

Straszna choroba wyszła z zwierząt rodu,
Kto na nią spojrzał, okropność jej przyzna,
Pochodzi z żaru mózgu albo z głodu
I nazywa się wścieklizna.

Gdy psa wściekłego spotkasz w złej godzinie,
Ustępuj z drogi i uchodź zdaleka,
Śmierć ci on niesie w zębie, nawet w ślinie,
I w psa cię zmieni z człowieka.

Dotknie cię, już się na zdrój czysty wstrząsasz,
Pienisz się, wyjesz, zrywasz do napadu,
Szarpiesz swe ciało, własne plemie kąsasz;
Póki nie skonasz od jadu.

Wasz to jest obraz, bezbożni bazgracze,
Z waszego pióra jad śmiertelny ścieka,
Łyka go ludzkość — lecz wkrótce zapłacze,
Gdy uczuje, że się wścieka.

Rozumiem, że od nadzwyczajnych wydarzeń w Paryżu, już jesteś bez obawy aby kiedy socyalizm wziął górę, prawdziwie rzec można: digitus dei hic est; bo czyż to nie zadziwia, aby czego cała masa mądrości francuzkiej nietylko dokazać ale przedsięwziąść nie śmiała, to jeden drobny jak go nazywano Głupek w cichości ułożył, oszukał, uprzedził, odważył się i dokonał; nie powieszże: Sapientia hujus mundi est stultitia apud Deum; już sam wielki tylu zwycięztwami stryj jego gdy podobne dzieło przedsięwziął, w samem wykonaniu jego, zmięszał się, jąkał się, głowę stracił, i kto wie, co by się było z nim stało, gdyby był mu brat jego głowy nie pożyczył a grenadyerowie bagnetami nie wsparli, a mały Bonapartek niedawno więzień w Ham bez sztandarów z pod Arcoli, Lodi i piramid egipskich całe wojsko za sobą pociągnął i bez użycia bagnetów, wszystkich sokratesów mądrości, katonów, cyceronów, pompejuszów oszukał, uchwycił i zamknął, i tę hydrę stugłówną, której herkulesy rady dać nie mogli — on matnią złapał i łby jej po jednemu dusi. Nie jestże to ten mały Dawidek wybrany od Boga, co jednym kamyczkiem z procy trafił w czoło Goliata i zabił; nic dla mnie w tej sprawie nie jest bardziej pocieszającem jak to, że ów mądry gadacz a istotnie podły polityczny szachraj Thiers poszedł do kozy; ten jak go teraz nazywają zły geniusz czyli szatan francuzki, w historyi rewolucyi którą w niej ubóstwił, a zbrodnie jej fatalizmowi przypisał, i przezto rewolucye z rewolucyi namnożył, opisując dzień 18 brumaire, wyrzuca Napoleonowi

---

Nędzna ludzkości! myśl o twojem zdrowiu,
Póki cię wściekłość w ziemi nie zagrzebie,
Śmiej użyć ryglów, żelaza, ołowiu,
A uratujesz społeczność i siebie.

A ty motłochu ślepy na mamidła,
W swych podłych żądzach niechamowny, dziki,
Nie znasz w głupocie że jak trzoda bydła,
Idziesz do jatek za twemi rzeźniki.

Zważyć wypada, że było to pisane pod świeżem jeszcze wrażeniem wypadków 1846 i 1848 roku.

jako błąd, który mógł zawieść jego przedsięwzięcie że nie kazał wprzód sprzątnąć i zamknąć wszystkich naczelników stronnictw. Otóż synowiec korzystał z jego rady, i udało mu się wszystko, gubi się frant własną sztuką; jeżeli zaś w tej całej robocie przypuścimy rękę ludzką a może i obcą, to ręka ta pewnie była najpotężniejszą i najmędrszą. Już tedy z gazet iemy, że niezawodnie Ludwik Napoleon utrzyma się znaczną większością, a lubo wnosić można, że pójdzie we wszystkiem torem swojego stryja, czyli mu się to uda, jak się mu uda, próżno sobie głowę łamać, przyszłości przewidzieć trudno. Jabym się cieszył nadzieją dziesięcioletniego pokoju, gdyby mnie nie niepokoiła piekielna polityka Angielska a raczej Palmerstona, który dla interesów kupieckiej Angli, wiecznie będzie podburzał ludzi, zwodził, odstępował, siły monarchów zatrudniał dla pokupu towarów angielskich; ciekawy jestem czy prezydent utrzyma związki kardynalne z Anglią, wnoszę, że ona pierwsza go przyzna, a dla tego wszystkim burzycielom schronienia nie odmówi; jakkolwiek bądź przyznajmy, że Opatrzność czuwa nad światem.

Piszmy szanowny przyjacielu choć raz w miesiąc do siebie, szukam tego pokarmu starości mojej, u ciebie jako dawny stały i do grobu nieodmienny twój wielbiciel

i wierny przyjaciel
K. Koźmian.

Piotrowice, 28 Stycznia 1852.

. . . .

Cóż mówisz na nowego we Francyi prezydenta, dyktatora lub cesarza, cóż mniemasz czyli będzie Augustem lub Augustulem; z odezwy jego do ludu, przy nadanej konstytucyi, skoro ją sam pisał, trudno mu nie przyznać znakomitej zdolności i zręczności. Okazał śmiałość w pierwszym kroku, lecz dokazawszy swego — będzież się umiał utrzymać lub zatrzymać, zdaje mi się, że już czuje całą trudność swojego we-

wnętrznego i zewnętrznego położenia — i zaczyna robić koncesye i zawikła się w nie. Ciekawy jestem jak urządzi wolność druku, to jest najtrudniejsze do urządzenia we Francyi, gdzie prasa jest Kalifornią, a pióra i języki fabryką żywiącą tysiące rzemieślników. Jeżeli ścieśni zarobek, namnoży krocie proletaryuszów umysłowych, pozbawiwszy ich codziennego chleba; słabo ograniczy lub nieograniczy tej wolności, otworzy znowu źródło propagandy najszaleńszych systematów i ciągłych rewolucyi, zgoła jest to szkopuł, o który się rozbiją wszystkie najmędrsze urządzenia i ustawy jeżeli uporządkowanie jego utrafionem nie będzie. *Nec totam servitutem, nec totam libertatem, pati possunt* — to można powiedzieć o Francuzach a szczególniej w tej materyi. Oto masz znowu wypis z jednego z listów w roku jeszcze 1832 napisanych, przepisuję ci dość długi wyjątek, abym na podobną wzajemność zasłużył.

Lud w żądzach niewstrzymany — jakby trzoda bydła
Odwiecznie targa jarzmo i gryzie wędzidła,
Gdy je zerwie, szaleje, i w przepaście wpada,
Najpodlej wtedy służy, gdy mniema, że włada,
Złorzeczy zwodzicielom, gdy cierpieć przychodzi,
Kuglarz maskę odmienia, i znowu go zwodzi;
Jak swiat stary, i odkąd o swobodzie marzy,
Każdy wiek miał oszustów, każdy kraj kuglarzy;
Równość, ojczyzna, wolność są znane mamidła
Któremi głupich łudzą, ślepych wiodą w sidła,
Ażeby za pomocną zwiedzionych posługą
Mogli wznieść się nad pierwszą, mogli złupić drugą,
A że zręczny zwodziciel umie ujść przed karą,
Gmin to zbrodni narzędzie, zbrodni jest ofiarą.
Ta prawda z doświadczenia, nie jest w świecie nową
Czy ludzi pojedynczo weźmiem czy zbiorowo.
Żądza władzy wrodzoną jest ludzkiej naturze,
Ztąd demokrat na dole, despota jest w górze,
Sprzeczność czynów z słowami skrytość naszą zdradza,
Pragniem wolności, bo zbyt smakuje nam władza,
Wolność pierwsze do władzy uściela nam stopnie
Cała gra o to idzie, kto gry pierwszy dopnie,

Dopiętej człowiek, czy lud na dobre nie użył,
Tem sroższym był tyranem im wprzód podlej służył.
Mędrzec tylko swym żądzom umie miarę nadać,
Umie władnąć, podlegać, podlegając władać,
Lecz jak rzadkie na świecie takich władzców wzory,
Nie wracają do pługa nasze dyktatory,
Waszyngton co nam wznowił cnoty Cyncynnata,
Nowego dla wolności potrzebował świata,
W starym cnota szyderstwem, ubóstwo sromotą,
Rotszyld więc dyktatorem, bo Rotszyld ma złoto,
Stolice zmienił w giełdy; w izbach, w gabinecie,
Siedzą jego Meklery, i radzą o świecie,
Co dziś kupią, to jutro wraz z sobą sprzedadzą,
Gdzież cię nędzna ludzkości twe losy prowadzą?
Bakałarze, pismaki łakome na zyski,
Na dwusążniowych kartach czynią na cię spiski;
Nieśmiertelni gadacze wśród szkolnego wrzasku
Jak niedołężne dziecię wiodą cię na pasku,
Ich zazdrość, chciwość, próżność i ukryta pycha
By się dostać na górę, drugich z góry spycha;
Gdzie błyśnie złote runo, tłum majtków, sterników,
Chwyta z piór wiosła, żagle rozpuszcza z języków,
Prasa nawą, i na niej pędzą po grabieże,
Kto pierwszy zgładzi smoka, który runa strzeże.

Dosyć tego wypisu, aby cię zachęcić a nie znudzić. Ściskam cię szanowny drogi przyjacielu, niech ci twoje zacne serce przypomina tego, który cię zawsze uwielbiał, zasługi twoje w kraju i literaturze cenił i z tem uczuciem dotrwa do bliskiego zgonu.

Vale et me ama
Kajetan Koźmian.

Piotrowice, 1 Marca 1852.

Szanowny, łaskawy i kochany mój Przyjacielu!

Zaczynam według umowy między nami odezwę moję pierwszego dnia miesiąca, abym ci zostawił cały miesiąc do odpowiedzi, to mi może wyjedna dłuższy list i dłuższe wypisy i twojej teki, które są dla mnie miłym i pożywczym pokarmem i żywiołem — po kwasach, goryczach wykrzywiających usta, jakże jest miłym głaszczący smak sok, jest to ten stary tokaj, który razem zapachem i słodyczą dwom zmysłom czyn przyjemność.

Dziękuję ci serdecznie za te kilkadziesiąt pięknych wierszy, któremi mnie obdarzyłeś, a proszę o więcej; schowam je między moje pamiątki wraz z twemi listami, nie jest małą dla mnie chlubą poszczycić się przed rodziną, że miałem przyjacielem Franciszka Wężyka, że nasze czucia, nasze wyobrażenia były jedne i twory są i prace podobne. Jestem zupełnie twego zdania, w twoich wierszach wyrażonego. Dawniej może byłem zbyt ścisłym przestrzegaczem pewnych form w główniejszych przedmiotach literatury, teraz po tylu bredniach, wybrykach, niepojętych umysłowych szaleństwach, nie wymagam tylko zdrowego rozsądku i zrozumiałości, ale podobno ich od teraźniejszego plemienia, szczególniej w poezyi nie otrzymamy; złe będzie się jeszcze długo wałęsać póki, jak to mówi pospólstwo, o bożą mękę się nie rozbije. Masz zupełną racyą i ja z tobą trzymam, że kto ducha poezyi z nieba nie odebrał, te czcze wzywania natchnień nie wleją w niego daru, że krytyka i najzdrowsze rady i przygany ani ludziom bez talentu, zdolności nie użyczą, ani ich od pisania nie odstraszą. Że dla prawdziwych gieniuszów formy niepotrzebne, bo one nie szukają form ale je dają, że jak bohomazom częstochowskim złocone filgramową rzeźbą ramy nic nie dodadzą tak pędzlowi Raphaela nic nie ujmą proste i najskromniejsze, a że wymiar ich czy podługowaty, kwadratowy znajdzie się i w samym obrazie i z samego obrazu — jednak trudno nie przyznać, że w pewnych przypadkach i dla pewnych umysłów nie są szkodliwemi prawidła i szranki, bo one są niejako poręczą tego mostu,

który nietylko przebywać mają ludzie zdrowi i trzeźwi, lecz ciśnie się na niego i gawiedź ciemna a częstokroć pijana; tych przynajmniej taczających się po tem moście poręcz zatrzyma, aby na łeb nie wpadli — tych zaś co umyślnie w przepaść lecą, Horacyusz słusznie nie radzi ratować.

Sit jus liceatque perire Poetis
Jnvitum qui servat, idem facit occidenti.

Przypomnisz sobie owe czasy w Warszawie, w których Mickiewicz obrażony plotkami, które mu donosili jego przyjaciele, wystąpił z napaścią na Warszawę zarzucając jej, że w niej nigdy ani poezyi, ani smaku, ani żadnego dobrego pisarza nie było, chociaż w niej mieszkali: Osiński, Wężyk, Molski etc. Morawski uroił sobie wtedy jakiś młyn wietrzny, jakąś walkę klasyków z romantykami, która chociaż toczyła się za granicą, u nas jej nie było. Osiński wprawdzie z katedry szczypał złe pisma i pisarzów, ale przeciw rodzajowi literatury nie występował, sami źli pisarze zasłaniali się romantyzmem i nikomu przysługi nie zrobili, przeciw Szakespirom i Baironom nikt nie był waryatem powstawać, tylko przeciw niezgrabnym ich naśladowcom. Brodziński i wzorem i radami prostował młode, zagorzałe i zarozumiałe głowy, czynił nawet koncesye rozsądne form, ale nikt wojny polemicznej nie staczał. Uśmiechaliśmy się między sobą na niektóre utwory, przyganialiśmy złe wiersze, fałszywe myśli, niegodne przedmioty ale to w cichości ustami, nie piórem, Dmochowski tylko młody warcholił się z niemi; otóż niespodzianie Morawski wpadł w szranki listem swoim do romantyków i tak mniemanych klasyków, w którym acz pięknemi wierszami ale sofistycznemi wyszydził pierwszych, zgromił drugich. Obie strony, jeżeli były, o czem wątpię, obraził, nikogo nie nawrócił; prosiłem go, aby nie drukował, wytknąłem mu wszystkie sofizmata, ale on chcąc dokuczyć Osińskiemu, wydrukował i Julianowi przypisał. Odpisałem mu wtedy, ale że to mój przyjaciel od serca, pomyślałem sobie: Cur ego in nugis offendam amicum i schowałem w tekę — teraz gdy mi wpadły pod rękę, znajduję je zanadto surowe co do autora i dlatego ci ich wszystkich nie posyłam — początek tylko i koniec wypisuję, gdyż w środku,

gdzie zbijam jego sofizmata przeciw klasykom, jest nieco uszczypliwości; *indignatio fecit versum* [1]).

Jakże się tam bawiono w Krakowié w karnawał, warszawskie na dobroczynność teatr i obrazy czytałeś we wszystkich naszych gazetach, rozmaitem piórem wysławione. Prywatne listy dodają małe komeraże, bez których być nie mogło, gdzie tyle było młodych aktorów a szczególniej aktorek, mówią, że stroje więcej kosztowały niż wyniósł dochód dla ubogich, wasz „Czas“ jest dobrze pisany, lecz rzadko go całkowitym można dostać, zato raczymy się naszym „Dziennikiem“ i „Kuryerem“, nad powieściami w pierwszym umieszczanemi ziewamy, nad konceptami drugiego ruszamy ramionami; z Galicyi żadne nas dobre nie dochodzą wieści, o indemnizacyi ani słychać; stosunki włościańskie śpią, pieniędzy żadnych albo bardzo mało; zboże drogie ale go nie ma. Chłopstwo ciśnie się do lasów i pastwisk i pretensyami rząd oblega, obietnic wiele, oczekiwania długie, skutek daleki; złe spadło orlim lotem, nadzieje lepszego wleką się żółwim krokiem, *tardiora sunt remedia quam mala.* U nas bardzo spokojnie i cicho i już wiele dobrego kiedy nie gorzej; spodziewać się, że i na całym świecie tak będzie, jeżeli prezydent jakiego nowego wybryku nie zrobi, wielką on przysługę zrobił ludzkości i całemu światu, że socyalizm i demagogizm wygnał i zgniótł, i ja chociaż osoby nie cenię, nie pytam się kto zrobił, ale co zrobił; ale utrzymaż się na tym stopniu, na którym stanął? nie zaślepiż go fortuna? nie zechceż we wszystkiem naśladować Napoleona bez jego geniuszu? różnie o tem wróżą; a przytem Napoleon zadziwił świat, ale go nie uszczęśliwił. Badeni Marcin rozsądkiem swoim mawiał: od powietrza, głodu, ognia i wojny i wielkich gieniuszów zachowaj nas Panie! a cóż dopiero mówi o histryonach geniuszowych.

Otóż masz długi list. *Si quid noveris melius istis, imperti, si non, his utere.*

Vale amantissime
K. Koźmian.

---

[1]) Wiersza tego nie podajemy, gdyż ogłosił go już p. L. Siemieński w „Portretach Literackich“.

Piotrowice, 25 Kwietnia 1852.

Szanowny kochany drogi mój Przyjacielu!

Kwiecień upływa więc dotrzymuję umowy. List twój ostatni zasmucił mnie twoim zdrowiem, a choć się to pokrzepiło, o co nie łatwo było w tych zimnych przykrych i ostrych zmianach powietrza; wyjeżdżasz więc do wód zapewne na końcu Maja, bo prędzej się nie ociepli, w podróży twojej, i przy kąpielach towarzyszyć ci będą życzenia starego a zawsze wiernego i stałego przyjaciela. Między ludźmi blizkiego wieku, jednego wychowania, jednych wyobrażeń, jednych zasad i wspólnie jeden przebywającemi zawód, jest jakaś sympatya, która jakby jaki magnetyzm przebiega przestrzeń powietrzną, udziela się a działa z tą różnicą, że magnetyzm usypia, a ta budzi i ocuca, tego ja doświadczam pisząc do ciebie; niegdyś rymokleta, same wierszydła cisną mi się pod pióro; a chociaż może osądzisz że nie ocuciłem się, lecz we śnie baję, przeczytaj, rozśmiej się, przebacz nikomu nie pokazuj i spal.

Niechaj zdrowiące w Karlsbadzie kąpiele,
Umorzą wszelkie cierpienia w twem ciele,
Bo umysł, serce i duch wzięty z nieba,
Zdrowe jak trzeba.
Zawiść nie wydrze co kraj przyznał tobie,
Umiałeś wieku nieuledz chorobie,
Ci niech zdrój zimny na skroń sobie leją,
Co dziś szaleją.
Lecz kto wziął umysł, lichy duszę podłą,
Chociażby wypił do dna w Karlsbad źródło,
Raz umaczany w brudnej żądzy kale,
Umrze on w szale.
Już wyniszczyli rozsądku namiastek,
Mistrze i ucznie, brudni z powiastek,
Ciągle się brudzą myśląc że się myją,
Puchną, nie tyją.
Z obrzmiałą głową i odętym brzuchem,
Jak gdyby wieszczym napuszeni duchem,
Chełpią się sobą i wieńczą się sami,
Lecz nie przed nami.

Wrzawa i poklask, bezczelnej hołoty,
Już nabawiła mą starość głuchoty,
Ulecz ją przebóg! przez swe bezkrólewie,
W uroczym śpiewie.

Zapewne już czytałeś nową powieść Kraszewskiego (Kordecki). Ja jeszcze jej dostać nie mogę, czytałem tylko krótką recenzyą w dzienniku warszawskim Bartoszewicza, i długą apologią więcej autora jak dzieła jego w gazecie warszawskiej; Bartoszewicz wyrzuca autorowi świętokradztwo, że tak święte i poważne imię kapłana, bohatera godnego epopei, potyrał użyciem go do powieści. Ja w podobnym wypadku, gdy przed 15 laty pan Czajkowski emigrant podobną powieść uklecił z Czarneckiego; wyraziłem zdanie moje w liście do ś. p. Lindego w słowach: „Imię wielkie, zasługi i sławę bohatera go-„dnego epopei nie godziło się terać w lichej z krzywdą historyi „powieści, jak to czynią, co dla nikczemnego zysku umieszczają „napisy na gospodach: karczma pod cesarzem, karczma pod „Napoleonem,“ i w tem zdaje mi się, że oba z Bartoszewiczem mamy słuszność, ale widzę, że nie tak myśli publiczność ubiegająca się za powieściami. — Kraszewskiemu zapewne pod pewnym względem niepospolitego talentu zaprzeczyć nie można, należy on do lepszych teraźniejszych pisarzy, należałby do zupełnie dobrych, gdyby mniej pisał, a z lepszym wyborem, rozwagą i krytyką, chęć zarobku spieszyć mu się doradza, pośpiech wpędza go na szkopuły, z tem na targ jak najprędzej, co popłaca to zdaje się być jego godłem. Publiczność i koledzy jednego zawodu upoili go oracyami, poklaskami, „adulatio pessimum veri affectus venenum,“ radbym, aby redaktorowie waszej gazety „Czas“ napisali jak to umieją, porządną i dokładną recenzyą tego utworu, jeżeli go osądzą godnym rozbioru, są tam między redaktorami dobre pióra; język, styl, smak i sąd zdrowy zawsze w „Czasie“ góruje nad innemi pismami; ja czasem go miewam i z przyjemnością czytam, lecz często zamazanego lub wystrzyżonego z prawdziwym żalem odbieram.

Jeżeli czytujesz dziennik warszawski, czy też miałeś cierpliwość przebiedz w nim umieszczony długi, bo przez cztery numera w zupełnych kolumnach umieszczony nekrolog ś. p.

księżnej Klementyny Sanguszkowej, który jakiś ksiądz erudyt i przyjaciel domu podał i dowiódł tego dawnego przysłowia, że lepszy nieprzyjaciel otwarty, jak przyjaciel głupi i niezręczny. Cóżto za nieznośna, niepojęta, niezrozumiała metafizyczno apologiczna bazgranina, zgoła zawikłana, ciemna półłokciowemi peryodami pisana banialuka, tchu nie staje czytając, a siły umysłu mdleją aby zrozumieć, i autor, a więcej jeszcze redaktorzy dziennika niemiłosiernie zgrzeszyli przeciw cieniom tej zacnej księżny Klementyny, która przeciesz wartą była godniejszego wspomnienia.

Ostatni poszyt Maciejowskiego poszukiwań literacko historycznych, o ile ma erudycyi, szacownych zbiorów najdawniejszych pism, o tyle mu brakuje sądu, smaku i stylu. Same sofizmata metafizyczne, urojenia, a nawet sprzeczności i ckliwie się czyta, bo więcej bałamuci niż uczy. Tym czasem w Warszawie ciągłe oracye mędrców i autorów, z teatru i restauracyi przeniosły się do ich domów, tam grają dramata co 24 godzin improwizowane, a tak doskonałe, jakich jeszcze żaden wiek żaden kraj nie słyszał. W domu pani Łuszczewskiej w młodszej jej córce objawiła się nowa Korynna, która mędrcom i autorom na wieczór zgromadzonym improwizuje apoteozy, a oni niemieją nieumiejąc ex abrupto odpowiedzieć, lecz tylko z pokorą odbierają z rąk czternastoletniego dziewczęcia wieńce i patenta na nieśmiertelność. Za wzorem stolicy idą miasta prowincyonalne a nawet wioski. Gazety, Kuryery, Dzienniki napełnione samemi zabawami, ucztami, teatrami, szaradami nawet w obrazach, strojami, modami, nie przepuszczając żadnym kwiatkom, żadnym skokom, żadnym uśmiechom — nasz Lublin nawet zapragnął niemi zasłynąć, a swoje kwesty, swoje święcone, swoje falbany podał przez „Kuryera“ do kościoła pamięci, konia kują, żaba nogę podnosi; — słyszałeś zapewne o nowym dowodzie grzeczności w młodzieży w domu Woronieckiego przez dwóch złośliwych dowcipnisiów przy grze w sekretarza, okazanym dla pani Wyczechowskiej, żony tego, któregośmy pod imieniem Murzynka znali, a z którym ja kolegowałem, i nikt się nie ujął za biedną kobietą bezbronną, a niemiłosiernie złośliwą kwestyą i odpowiedzią skrzywdzoną; wszystko to już notuję w moich pamiętnikach, aby sława wieku i towarzystwa w którym żyjemy nieginęła. Gdy się tak bawimy, chełpimy,

kąsamy — głód już się objawił w Galicyi, głód może i do nas z pod tych śniegów, wiatrów, mrozów wychyli głowę. — Wiem ja, że ta rotacya światła i ciemnoty dobrego i złego; wzrostu i upadku jest starą jak świat, jest konieczną, jest naturalną i do przeznaczenia ludzkiego przywiązana — co już było, jest i będzie znowu co było, jestże w tem pociecha czy smutek? — przyszedł czas zdrobnienia umysłów; świat drobny, ludzie nie mogą być innemi, niedziw, że brzęczące przed pomrokiem nocy chrabąszcze, zdają się mrówkom, ptakami, orłami, olbrzymami — bo mrówki. — Nabazgrałem ci, co do głowy przyszło; spal list jeżeli jęki starca niesłusznemi uznasz, a niezapominaj o wiernym przyjacielu,

Vale et me ama
K. Koźmian.

Piotrowice, 15 Maja 1852.

Szanowny i kochany dawny Przyjacielu!

Dwojaką przyjemność sprawiłeś mi twoim listem; piękna kaligrafia dowodzi mi pokrzepione zdrowie; piękne a tak pochlebne dla mnie wiersze, jak to samo serce, tak i ten sam umysł i talent który uwielbiałem, tak przypomniały mi lepsze i szczęśliwsze czasy, których tylko pamięć jest moim pokarmem; czytając ją, mógłbym ją właściwiej do ciebie zwrócić, mutato nomine de te tabula narrat, lecz nie udając skromnego, wolę sobie przypomnieć słowa Podstolego w Krasickim: Mci księże proboszczu, możemy się obydwa pochwalić, starzy jesteśmy już się nie popsujemy. Piekło twoje kochany przyjacielu przeniosło mnie do nieba; dawno nie czytałem tak trafnego obrazu, tak harmonicznego wiersza, tak prawdziwego sądu — więc to jest tylko początek, a więc musi być więcej obrazów podobnych. — Sprawiedliwie, kaziciel dramaturgii osadzony tam, skąd wyszedł i skąd pobałamucił ludzi. Ileżby tam naszych odesłać należało; żeby ci się wywdzięczyć za przyjemność jakąś mi sprawił, robię ofiarę z miłości własnej, i oto są wiersze które przed trzema laty napisałem przeczytawszy marzenia filozoficzne Hegla.

Nędzny prochu! coś tyle wieków trudy ronił,
Chcąc odkryć co Bóg mądrze przed tobą zasłonił,
Ledwieś w wiecznych tajnikach twe utopił oko.
O! jakże spadłeś nisko! lecąc zbyt wysoko,
Rozważ, czybyś mógł życie za szczęśliwe cenić,
Gdybyś przejrzał twą przyszłość; a nie mógł jej zmienić,
Zapłakał byś jak matka ludzkiego rodzaju,
Gdy po wzbroniony owoc, dłoń ściągnęła w Raju.
Rozum jest twym zaszczytem, ale pycha wrogiem,
Już ci ona szepnęła: czyś ty nie jest Bogiem?
A zaledwie się nadął, tej samej godziny,
Śmierć tobie przypomniała żeś bałwanie z gliny.
Po labiryncie marzeń błądząc wśród zakrętu,
Gdzie Bóg twórcą porządku, ty sprawcą zamętu;
Pókiś szedł za rytemi palcem Jego szlaki,
Duch twój zgadł ruchy światów, zliczył gwiazd orszaki,
Przedarłeś się przez ognie, powietrze i chmury,
Wybadałeś naturę, nie Stwórcę natury.
Jest w tobie iskra święta, pod znikomym ciałem,
Prysła z Boskiego łona, wieczność jej udziałem.
Więźnia twych ciasnych zmysłów niecierpliwią pęta,
On się wznosi nad wszystkie twory i zwierzęta,
Przechodnia świata, zrobił tej ziemi ozdobą,
I wiedzie cię skąd wyszedł, panując nad sobą.
Lecz jeźli żądz twych piersi pokrytych tajnikiem
Najpodlejszym ze stworzeń jesteś niewolnikiem,
Tworze zmysłowy! próżno duchem wznieść się kusisz,
Płazem jesteś nikczemnym i czołgać się musisz.

Spostrzegam z twego listu, że cię nic nie obchodzą pisma i wiadomości warszawskie, może ich nawet nie czytujesz, i lepiej robisz, bo się nie gniewasz; ja czasem się śmieję z konceptów „Kuryerkowych,“ a literackie płody żale we mnie poruszają, i często ciekawość gorzko jest przepłaconą, nie mogę się jeszcze dobrać do powieści Kraszewskiego Kordecki, a radbym wiedzieć jak wystawił oblężenie Częstochowy, którym ja siódmą pieśń mego Czarneckiego zapełniłem. Ogólnie uważam, że literatura nowoczesna z owego pierwotnego zapału stygnąć zaczyna, bąć się autorowie postarzeli, bąć się zmordowali,

bąć wyszeptali; kilku jeszcze pisze, a po Norwidzie nic nowego nic wyższego nie przybyło. Póki oczy służą, trzeba się ze staremi przyjaciołmi młodości pocieszać i krzepić; na końcu Kwietnia pisałem do ciebie w interesie mego wnuka, nie wiem czy cię list zastał w Krakowie lub też już wyjechałeś był na wieś, jeżeli cię nie zastał, za powrotem racz pamiętać o mojej proźbie, wiele rachuję na twoim wstawieniu się i pomocy, a że jej nie odmówisz ufam, na pośpiechu wiele nam zależy. Jakże się też Paryż rozbawił, roztańcował, rozfetował, te dzieci mody wróciły do małoletności, i już w dzień od pierwszej godziny z południa tańcują, prezydent nie żałuje na kapelę chociaż deficyt w skarbie; gazety ich tak nudne, że szkoda pieniędzy na nie, nie mają czem się chwalić, chwalą się podpalaniami, złodziejstwami, ojcobójstwami aż zgroza czytać. Bądź zdrów szanowny i kochany przyjacielu!

Vale amantissime
K. Koźmian.

Piotrowice, 8 czerwca 1852.

Szanowny, kochany, łaskawy, dawny mój przyjacielu i kolego!

Nic tak nie poniżyło i nie poniża naszej konającej literatury, jak te nieśmiertelne powiastki niezgrabnie naśladowanym stylem Walterskota dla zarobku, jakby parową machiną plecione. Co bądź, jak bądź, byle prędko i dużo; przeczytaj, jeżeli możesz, bo nie mogłem doczytać, tak uwielbioną powieść Kraszewskiego „Kordecki“ a przekonasz się, ciekawy byłbym jednak twego o niej zdania; w pięknym twoim wierszu „Piekło,“ umiałem ja rozróżnić, co potępiasz w Goetem. Jako autora, jako poetę, nie można tylko uwielbiać i nie przyznać mu prawdziwego geniuszu, chociaż go nie wszędzie i nie zawsze na dobre użył, ubi plura nitent, non ego paucis offendar maculis, lecz próżność w tak uczonym i tak znakomitym w literaturze mężu była nieprzebaczoną, poniżał się tem, czem mniemał że się wzniesie, ale duma i próżność są to wrodzone choroby rodu ludzkiego; mądrzy i głupi, uczeni i ciemni podlegają tej ospie, na którą nie ma vaccyny i dzióbatemi umierają. Obja-

wiła się ona w atenach i w beczce Dyogenesa i w szkarłatnym płaszczu Platona. Objawiła się w Rzymie w mistrzu najzdrowszej filozofii Cyceronie, a kto wie czy nie w Katonie. Widziałeś ją i u nas, w mędrcu filozofie abnegacie, co sobie sam pończochy cerował, a zebranemi z oszczędności bogactwy ludzkość w nauki uposarzył; tak głęboko myślał, tylu dziełami się wsławił, przecież nie tyle go ucieszyło prezesostwo towarzystwa przyjaciół nauk, ile ministerstwo stanu i dwie gwiazdy i dwa ordery, które na wytartym fraku nosił. Jednego tylko w życiu moim znałem człowieka, wyższego nad wszystkie próżności, a nim był Piramowicz, który ofiarowanych sobie infuł, orderów odmówił; proboszczem był w Kurowie i proboszczem umarł, w Międzyrzecu, może drugim był Kościuszko. Dla tego w moim poemacie „Czarnecki“ włożyłem w usta Sobieskiego słowo:

Bo stłumić próżność w sercu to nie ludzkie dzieło.

Na koniec widzisz co się teraz dzieje we Francyi, za czem się ubiegają ci mędrcy, politycy, autorowie, poeci, demokraci, socyaliści; mówiono o ludzie rzymskim, *panem et cirenses*, o teraźniejszej europejskiej generacyi, właściwiej rzec można, pieniędzy tytułów i orderów, ale zkąd ich tyle brać, ile jest pragnień. Napoleon nie nasycił chciwości i łakomstwa, bogctwami złupionemi z większej części Europy, czemże je nasyci synowiec przy 300 milionowym deficycie w skarbie, jeżeli zajrzy do kieszeni swoich wyborców, to 7 milionów votum przeciw niemu powstanie; tem czasem bawią się tańcami, maryonetkami, jak studenci lub dzieci, biedne widowisko wystawia naród najoświeceńszy, kiedy ludzi nie ma.

Gdybym teraz pisał ziemiaństwo polskie, nie miałbym serca zachęcać ziomków do pługa i roli; pamiętam kiedy w roku 1814 nieszczęsne wioski wystawione były na igrzysko wszystkich klęsk nieba, ziemi i oręża; parodyowałem wtedy Odę Horacyusza: Beatus ille qui procul negotiis, paterna rura bobus exercet... Oto jest kilka wierszy, aby do znakomitego poety nie zakończyć listu bez wiersza

Szczęśliwy, który wolen od troski
Zwyczajem swobodnej dziczy
Nie wziął w podziale ojczystej wioski,
A z nią kłopotów goryczy.

Dostrzegł społecznych ustaw obłudy,
A baczny na los plemienia,
Lichej na własność nie sklecił budy,
Drzewa nie wsadził dla cienia.

Tu wyliczywszy w kilkunastu strofach ironii, wszystkie mniemane rozkosze wiejskiego życia, nieurodzaje, zarazy, burze, grady, pioruny, zachody, podatki, posługi, egzekucye, prześladowania i uciski od zbrojnych i niezbrojnych urzędników, od złych ludzi i zwierza i t. d., tem zakończyłem:

Że słysząc Aryst wioski pochwały,
Chęć go uniosła rozumna,
Nad czem pracował wiek prawie cały,
Podpalił brogi i gumna.

Z torbą i z kijem wyszedł z swej włości,
Lecz nie szkoduje na stracie;
Na rok dozorcą został żywności,
Dziś bogacz siedzi w senacie.

A że sam odkrył do szczęścia drogę,
Puściwszy swą własność z dymem,
Braciom rolnikom dał tę przestrogę,
Lepszym życzeniem niż rymem.

Otóż masz, czegoś chciał.

Vale Amantissime
K. Koźmian.

Piotrowice 7 września 1852.

Szanowny i kochany mój przyjacielu!

Wspominasz mi o artykule o nas obu w *Czasie* umieszczonym; chociaż poufała a zatem nie zawsze ostrożna korespondencya, nie powinnaby wychodzić na świat, zwłaszcza przy usposobieniu takiem umysłów do drażliwości, skoro się to w niewinnym sposobie stało mniej mam pretensyi niż wdzięczności dla redaktora, że w takim duchu i z takiemi wzglę-

dami dla naszej starości i jakichkolwiek dawnych w literaturze zasług wspomniał o nas. Nie jestem zepsuty tego rodzaju wspomnieniami od obecnej generacyi. Owszem od galeryi fajansowej sławnych dziś autorów odbierałem same szturkańce i kolce; pierwszy więc artykuł, który mnie prawdą i bezstroną sprawiedliwością pogłaskał, nie mógł mi być tylko przyjemnym. Oby tylko nie wywołał od warszawskich arystrarchów, czy archilochów, i przeciw redaktorowi i przeciw nam jakich grubijańskich sarkazmów. Gdy przeczytasz, dostrzeżesz w wierszach niektóre pomyłki, które nie warto, aby w tak lichej mojej currente calamo pisanej romocie poprawione były, jak to: głupota zamiast głuchota i tam dalej, lecz redaktor ważniejszą popełnił omyłkę z moją chlubą a twoją szkodą, i do tej chluby przyznać się nie jestem w stanie, zrobił cię moim uczniem, twoją skromność, twoją grzeczność dla mnie istotny komplement tak właściwy ludziom dobrego wychowania, wziął za prawdę; nie tak jest, drogi przyjacielu, i to jedno z tego pisma odwołuję. Jesteśmy sobie współcześni, oba uczniowie i wychowańce jednej szkoły, ja zupełnie dawnej, a ty uczeń dawnej a niekiedy mistrz nowej. Ja byłem w zawodzie literackim starszy wiekiem, a ty starszy piórem, już ty pisałeś śmiało i dobrze choć młodszy i klaskano ci po teatrach, gdy ja dopiero zaczynałem z nieśmiałością, z której wyprowadziliście mnie, powtarzając mi bez zazdrości słowa: służmy poczciwej sławie i t. d. Jakkolwiekbądź gdy się dowiesz kto jest redaktorem tego artykułu, podziękuj mu czule odemnie. *Czas* w swojej redakcyi zawsze miał we mnie swego przyjaciela.

W żadnym roku tak mnie nie fetowano na 7 sierpnia jak w tym, miałem nawet miłą i rzewną niespodziankę na wiązanie, którą ci opiszę: Zjechali się do naszego domu jakby na ostatnie moje pożegnanie, nie tylko obojej płci bliscy i odleglejsi sąsiedzi, przyjaciele i krewni, lecz wielka część Lublina i wszystkie prawie urzędujące naczelne osoby. Uroczystość miałaby wszystkie żywioły do wesołości, gdyby nie wspomnienia, że już nie było tej dla nas najdroższej istoty, która mnie zwykle w tym dniu sercem i darami fetowała, to wyciskało westchnienia z piersi. Przy wiście zacny nasz naczelnik gubernii dobył listu do mnie od jego szwagra Edwarda Odyńca, i prosił syna mego, aby go głośno przeczytał, połączone były do

niego wiersze do starości mojej, które ci przyłączam, list zaś sam tak szczerze, tak rzewnie, tak wymownie i chlubnie dla mnie napisany, że zjednał poklask słuchających, a mnie łzy z oczu wycisnął [1]), otrzymałem go z następującej przyczyny, nie wiem czy znałeś osobę Edwarda Odyńca, gdyż na początku królestwa polskiego już nie mieszkałem w Warszawie, lecz czytywałeś zapewne jego ballady, jego Melitele i różne pisma z rozwijającym się talentem wydawane. Że był w młodym wieku zbyt nieostrożnym wielbicielem panującego podówczas równie

---

[1]) Oto są wiersze do starości:

W każdych ustach żal młodości,
W każdem sercu chęć jej zwrotu
Pory szczęścia i miłości,
Ognia myśli, ducha lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste niż u wschodu,
Czyż gdy do snu skłania głowę,
Mniej ma blasku i obwodu?

A duch światło, co nie gaśnie,
Promień słońca przedwiecznego
Miałby stygnąć, przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On, którego cel na ziemi,
Wzróść i wzmódz się życiem całem,
By się zrównać z niebieskiemi.

O! kto w młodych dniach zapału
Prawdy Pańskiej słów usłucha,
Serca nie da w służbę ciału,
W świetle wiary pojmie ducha.

Duch takiego nie starzeje,
I gdy ciało plewa marna
Kruszy się w proch i niszczeje,
Rośnie w niebo, jak cedr z ziarna.

Edw. Odyniec do K.K.
na 7 Aug.

niezaprzeczonym geniuszem jak i niebezpiecznym duchem litewskiego wieszcza; zwracałem go nieraz z tej drogi radami i przestrogami memi, osobliwie po odzie do młodości, którą im głowy poprzewracał. Przed rewolucyą odjechał Odyniec do Litwy, dwadzieścia lat go nie widziałem, czasem tylko wpadły mi w ręce twory coraz z większym talentem pisane, nakoniec wyczytałem w gazecie warszawskiej pochwalną recenzyą jego Felicyty, (pierwszej chrześcijańskiej męczennicy), pod formą dramatu ułożonej. Czytając tę recenzyą i myśląc że to jest dramat dla teatru, pomyślałem sobie: non misceantur sacra profanis; tym czasem Odyniec sam przysłał mi z podpisem dla mnie tę powieść w formie dramatu ułożoną; przeczytawszy znalazłem wszystko czego po pisarzu, poecie i rymopisie wymagać można. Cel, duch, smak, godność wiersza, religijność, duchowność, zgoła wybornie napisane, a przypiski z ojców świętych okazały prawdziwego chrześcijańskiego erudyta. Odpisałem z podziękowaniem z zasłużoną pochwałą, donosząc, że się starzeję i duch mój gaśnie, to mi zjednało i list rzewny, w którym wyznaje że moim radom i przestrogom winien swoje nawrócenie się do prawej drogi, prosi o błogosławieństwo dla młodzieży litewskiej idącej jego torem, i do mojej starości ten piękny wiersz napisał; pomyślałem sobie jest choć późna nagroda dla poczciwych ludzi. Obaśmy kochany przyjacielu nigdy nie ustąpili tak w politycznym jak literackim zawodzie z prawej drogi, usiłowaliśmy naprawiać i poprawiać, nie psuć i gorszyć powiedzmy sobie przy schyłku: sunt sua praemia laudi.

Vale Amantissime
K. Koźmian.

Piotrowice 8 lutego 1853.

Szanowny mój i kochany przyjacielu!

. . . .

Lecz przejdźmy koleją do milszych przedmiotów, przejdźmy do tego zjawiska tak sprzecznego w swoich natchnieniach z duchem bezbożnego wieku, przejdźmy do młodej panny Ja-

dwigi, wieszże kto ona jest, jest to prawnuczka z ojca owego najświątobliwszego ołtarzy naszych kapłana biskupa łuckiego Cieciszewskiego po rodzonym jego bracie. Ja odważę się myśleć, że jej to natchnienie z niebios wymodlił i został ten święty na ziemi i święty w niebie kapłan. Ja ją uważam jak ową dziewicę orleańską, ową prostą pasterkę natchnioną z nieba, aby uwolniła Francyą od napastnych i łupieżnych Anglików, którą oni jak czarownicę spalili. Kto wie, niezbadane są wyroki Opatrzności, czyli i nasza młoda dziewica nie jest przeznaczoną na uwolnienie literatury naszej od tych chciwych łupieżnych powiastko-pisarzy, bezbożnych lub płaskich, ciemnych niezrozumiałych poetów nadymających się imieniem wieszczów. Tuli się ona do starszych, niewinna, skromna, lękliwa, prosi o radę, z wdzięcznością ją przyjmuje, ale nieszczęściem, otoczona jest szatanami, którzy w zdradliwych poklaskach wywołali z piekła przeciw niej próżność i już kadzidłami piekielnego dymu ją duszą, już ją zespolili z klawicymbalistą Kontskim, już ją wywlekli na kuryerkowe i gazeciarskie karty, już długiemi i przesadnemi artykułami szarzają pospolitują tę nadziemską istotę. Inimicorum pessimum genus laudantes. Uciekła ona przed temi mefistofelesami i asmodeuszami pod starszych tarczą; trzeba ją wspierać szczeremi i przychylnemi radami, aby ją nie obłąkali; już ona się zrzekła improwizacyi za radą moją, mego syna i Z. i co jej jeszcze brakuje, przybędzie. To coś o niej napisał jest tak sprawiedliwe, że podziwienie twoje zdaje mi się wyczytanem w moim przekonaniu. Podziwiasz *rzeźbiarstwo,* jakże podziwiać będziesz jej nowy utwór *Sen*, któremubym nie szczędził pochwał, gdyby nie był płodem wdzięczności dla mego syna i nie mieścił rzewnych żalów po mojej synowicy, zadziwi cię imaginacya, układ poetyczny, przejścia delikatne i zręczne, a pomysły i wyrażenia w wielu miejscach szczytne. Jeżeli gdzie niegdzie byłyby wiersze do poprawienia, rozbraja krytykę pamięć, że to pisze szesnastoletnie dziewcze, a pisze z całym wdziękiem, z całym urokiem kobiety, tak że nie wiedząc kto pisze, można zgadnąć z delikatności rysów, że to dziewczę, które nie udaje autora mężczyzny, a chociaż ją niebaczni, obłudni podziwiając na teatr wprowadzają, nie odziewa się w szaty komedyantki. Rzecz szczególna, ty i jenerał Morawski tak odlegle od siebie

mieszkacie, prawie o jednej godzinie jedne jej czytaliście płody i w podziwieniu, w uwagach, w radach tak się na jedno zgodziliście, że prawie jednemi wyrazami wypisaliście je do mnie. Ma więc za sobą powagę dwóch najstarszych, najpoważniejszych i najznakomitszych wieszczów; szczególniej twoje uwagi względem przezwiska Deotymy i inne są dobitne, słuszne; gdyby innego powodu nie było, twoje piękne i bardzo piękne wiersze w usta Dobiesława z Kurozwęk do pięknej królowej Jadwigi włożone, a tak analogicznie do niej zastotowanemi być mogące, skłonią ją do zachowania imienia chrzestnego. Wiersze te są tak piękne, tak miłe i dla starości i dla uroczej młodości, że ja kilkanaście razy je odczytując, za każdym razem upajam się ich widokiem i śmiem powiedzieć, że w nich samego siebie przeszedłeś [1]).

---

[1]) **Wiersz Autora „Bezkrólewia" do Deotymy.**

Natchnienie! to wyrok boski —
Z góry płynie zdolność nasza:
Pan układa w rozdźwięk zgłoski,
A wieszcz je tylko wygłasza.

Jeśli tak wielki początek
Ma twe natchnienie i serce,
Skryjże się w ciasny zakątek,
By dzieło boskie wydrzeć poniewierce.

Ilekroć staniesz na szumnym trójnogu,
Mnie dreszcz w oddali przejmuje za ciebie;
Tylko w pokorze hołd najmilszy Bogu,
Wszyscyż anieli nucą mu dziś w niebie?

Patrz na fiołka — jak on z nocnych cieni
Gasi swą wonią najpiękniejsze kwiatki!
Lecz gdy dnia gwiazda ziemię opromieni,
Jak on się kryje pod liść swojej matki.

Słuchaj słowika — jak przez brzask poranny
W czystem eterze dźwięczą jego nuty;
Wpędź go w kłąb dymu z nikocianny,
A wnet umilknie i padnie zatruty.

Pytam się ja nieraz siebie, dla czego tego dziewczęcia niewinne, skromne, religijne tony i jej poezya pełna imaginacyi tego rodzaju tak miłe na nas starych czyni wrażenie? i odpowiadam sobie: bo długi czas byliśmy jak ów podróżny, którego w drodze napadła noc ciemna i nie słyszał tylko krakanie wron, kawek, gawronów i kruków, a usłyszawszy głos skowronka, wróży bliski świt, po tych potwornych witoleraudach, po tych tatarskich wyciach, po tych powiastkach występnych, po tych wierszydłach doszedł nas głos flecika niewinnej pasterki i dlatego zdaje się nam nowy, że dawno słyszany i prawie zapomniany.

Jak się tam kochany przyjacielu bawi Kraków. Mój syn wrócił z Warszawy i powiada, że wyludniona po tych śmierciach, smutna i mimo kuryerkowych doniesień mało zabawna, za to nasz Lublin bawił się i bawi: bale, resursa, teatra, koncerta. Koncki tak wszystkim pozawracał głowy, dla tego podobno, że się w lubelskiem urodził, iż już nie mogą dla niego znaleźć miejsca na ziemi, pod niebo go podnoszą w odach i sonetach najprzesadniejszych, tak że gdyby powstał ów Koncki generał artyleryi co pod Sobieskim wziął Strygoń czy Parkany na Turkach, słysząc te ubóstwiania swego imienia, może wolałby być kapelmistrzem jak bohaterem, lecz do tego potrzeba było mu się urodzić w naszym wieku i w Lublinie.

Mówią mi, że jeden z najsławniejszych, najpłodniejszych a zatem z najznakomitszych powiastko pisarzy ma osiąść w Lublinie, gdzie ma ciotkę i gdzie do szkół chodził, i że ma założyć warsztat na obstalowane i już z góry zapłacone, tego rodzaju twory, przeląkłem się tego sąsiedztwa, bo gdyby mu nieszczęśliwa myśl przyszła odwiedzić starca, bądź przez cie-

---

Ty, coś czci wyższej od serc czystych warta,
Ty pisz i módl się wśród cichej ustroni;
Lotna twe płody rozpowszechni karta
I głos przychylny każdą pieśń wydzwoni.

A gdy natręctwo głowę swą wychyli,
Nęcąc do sławy z obłudy utkanej;
Odpraw ciekawców do jakiej sybili
I złóż hymn nowy do Niepokalanej.

kawość, bądź przez politowanie, bądź dla zbierania materyałów z rozmowy z nami do swego warsztatu, lękałbym stać się bohaterem jakiej powiastki, choćby sub ignoto, ale tak, żeby mnie mój dom i moje obyczaje i moje przesądy literackie (bo teraz tą cechą oznaczają nas nowi pisarze) każdy poznał, abeat a me calix iste.

Oto masz kochany przyjacielu długi list na dowód, jak mi jest miłą rozmowa z tobą, może odpiszesz choć w poście, racz zawsze co dodawać o wnuku, którego nie przestaję polecać twojej opiece.

Vale amantissime
K. Koźmian.

Kraków, 21 Lutego 1853 roku.

Szanowny i drogi Przyjacielu!

Wzmianka o Konckim przywiodła mi na pamięć całą zarozumiałość tego bardzo zdolnego artysty. Często się z nim spotykałem u wód czeskich, w których ostatnie lato przepędził. Znałem ja jego ojca, tutejszego mieszczanina i właściciela dworku na przedmieściu pod zamkiem. Wcześnie on szczycił się uzdolnieniem swych synów, a sam nie mogąc tu się utrzymać, żył z urzędziku jakiegoś w Warszawie, i tu kiedy niekiedy do swej dziedziny zaglądał; ale on żadnej nie okazywał chęci wywodzenia swego rodu od znanego w dziejach jenerała artyleryi. Dopiero, gdy dłubiduda został szambelanem królowej Izabelli, gdy na siebie nawieszał metalików, które mu się łatwo dostawały zamiast pieniędzy — urósł w potęgę i sięgnął rodowitością wyżej niż sam rozumiał. Że gra bardzo biegle i pięknie, tego mu nikt nie zaprzeczy. Nie kontent był ze mnie, że go w Marienbadzie zbliżającego się do mnie z lekkomyślnością studencką, trochę od poufałości cofnąłem i żem głośno powiedział po danym koncercie: wielki muzyk, bo gra przedziwnie nawet złe kompozycye (a były to jego własne). Dla tego spotkawszy się ze mną w Karlsbadzie, już mię z pewnym rodzajem uszanowania traktował. O mój przyjacielu! gdyby kto sławy

ludzkiej pożądał – niechaj zostanie linoskokiem lub histryjonem lub też śpiewakiem: czyli gardłem czyli na stronach. Czy kiedy przyjmowano z takiemi oznakami współczucia wieszczów, mędrców lub bohaterów, którzy ojczyznę zbawili — a jeszcze nic nie dotknąłem najwyższej dzisiejszego świata potęgi, to jest baletniczek i baletników! A jeźli i Lubelskie dobija się o sławę ojczyzny szczęśliwego fortepianisty, może dożyjem, że nie 7 ale trzy razy siedm miast i powiatów, będzie o to walczyło! W cóż się obróci walka karla siedmiu miast greckich o ojczyznę Homera? My tu żyjemy pod wpływem ciężkim wiadomości medyolańskich i wiedeńskich! Od wielu już lat miesiąc Luty był okropnym dla świata. Ale dopókiż świat cierpieć będzie tę albiońską wyuzdaną swobodę, by się na łonie tej wyspy kryły najohydniejsze zbrodnie i jak z jaskini Eola wylatywały wszystkie burze, wszystkie nieszczęścia? Za naszych czasów chciał Napoleon I przywieść to zdrad ognisko do zupełnej nicości. Nie zdołał tego — bo świat rozumiał — że oni tylko się zawzięli na niego. Dziś: *discite justitiam moniti.*

Już i czasu i miejsca nie ma, aby Cię jakim płodem pióra rozerwać, nawet umysł znużony tem, co się dzieje, ledwie się może odwołać do dawnych uczuć i do pozdrowienia serdecznego temi słowy:

Vale et me ama
Fr. Wężyk.

Piotrowice, 12 Maja 1853.

Szanowny i drogi Przyjacielu!

Wnoszę z ostatniego listu mego wnuka, że ta odezwa moja zastanie cię już w Minodze na wsi, spokojniejszej niż Kraków zaburzony tańcującemi, szalejącemi a nawet zgadującemi i wróżącemi stolikami; do Minogi więc przesyłam ci serdeczne dzięki za wiersze i twoje i Deotymy, nad których przepisaniem trudziłeś twoją rękę — nad wszystkie jej znane mi twory, te mi się najwięcej podobały; zręcznie, delikatnie, z czcią i wdzięcznością wytłómaczyła się z wrodzonej w sobie skłon-

ności do improwizacyi, od której ją podobno nie stropimy, *curavimus Babilonem et non est sanata* — w wierszach tych jest wdzięk i snadność kobiety, są gładkie, mniej mają błędów, a nadewszystko nie są przesycone już zbyt zużywanemi przez nią a zawsze jednostajnemi barwami — nie wiem dla czego w *Gazecie Warszawskiej* i podobno nawet w *Czasie* opuszczono w twoich wierszach początek. Odpowiedź Dmochowskiemu już jest niższa. Improwizacyi dla p. Augustowy (Potockiej) o kamieniach i drugiej o ptakach nie znam, ale obawiam się, aby przechodząc po kolei wszystkie państwa historyi naturalnej, jak zaczęła na ptakach, nie skończyła na muchach; żal mi tego natchnionego i utalentowanego dziewczęcia, że tak pospolituje dar prawdziwie niebieski, potępiam tych co przez czczą ciekawość rozkołysują w niej próżność, a jeszcze więcej gniewam się na przesadnych chwalców gazeciarskich. Dziękuję ci równie najczulej za twój wizerunek, który raczyłeś powierzyć memu wnukowi; odbierze go mój syn, który wczoraj wyjechał do Galicyi i na 22 lub 23 t. m. będzie w Krakowie. Jeżeli na drugiej stronie wizerunku nie napisałeś swoją ręką wierszy, które pod niego przeznaczyłeś, ja tego dopełnię; a te, które z mego serca i z mojej czci ku tobie wytrysnęły, zachowam je w tece dla wnuków; będzie on miał miejsce między Woroniczem i Staszycem, lecz dopiero jak życzę, za lat dwadzieścia lub trzydzieści, teraz zawieszę go między sobą a Zygmuntem — mam albowiem dwie ściany: jednę żyjących, drugą zmarłych; pierwsza już jest bardzo uboga, druga niestety zbyt bogata.

Co to za niegodziwa i niepamiętna wiosna, wszakże to u nas jeszcze nie przepołowiono zasiewów, oziminy piękne, lecz z jarzyn mała nadzieja — w Galicyi wylewy rzek i deszcze — wiele narobiły szkody, memu synowi pozamulały ozime zasiewy a jare rzucają w błoto. Wiesz przysłowie, że stary furman kiedy powozić nie może, to postronki kręci; tak i ja robię, witając cię na wsi następującą ramotą:

Stopniały śniegi ty z wiosny tchnieniem,
Spieszysz do wiejskiej zagrody
Przywitać zagon pługiem, a pieniem
Stęsknione gaje i trzody.

* * *

Nie wstrzymały cię tańczące stoły,
Choć się z nich wniosek nastręcza,
Może magnetyzm zastąpi woły,
Jak para konie wyręcza.

* * *

Ale nim ziemię uczyni rajem,
Nowa postępu przysługa
Bezpieczniej orać dawnym zwyczajem,
I woły wprzęgać do pługa.

* * *

Jeźli swoboda natchnień dozwala,
Znajdź wolną chwilę od pracy,
Wypręż choć jednę z stron Juvenala,
Lub w którą trącał Horacy.

* * *

Gdy twoje rymy zabrzmią po kraju
Jakby z Czarnolasu Jana,
Woń, smak starego czuję tokaju,
Bo ja nie lubię szampana.

* * *

Do czego umysł z młodu nawyka,
Z tem mu wiek stary przeminie,
Gaz strzela, szumi, pieni się, znika,
Ja zaś treści szukam w winie.

* * *

Treści co krzepi w zdrowiu, w chorobie,
Treści z dojrzałej jagody,
Płyn co tych niema przymiotów w sobie,
Mniej ma zalety od wody.

* * *

Niech się ród młody tym płynem poi
Niech go wychwala z przesadą,
Mnie zbyt staremu już nie przystoi,
Pląsać z opiłą gromadą.

* * *

Gdy za twe rymy, ślę moje wzajem,
Westchnij nad starcem zgrzybiałym,
Ty go uraczasz starym tokajem,
On ciebie lagrem zwietrzałym.

Przeczytaj, rozśmiej się, schowaj, spal, a nie zapominaj o starym i wiernym przyjacielu,

Vale et me ama
K. Koźmian.

Piotrowice, 20 Stycznia 1854.

Szanowny mój i kochany Przyjacielu!

Nie wiem jak się bawi, czy się bawi, i czy po pogrzebie Chłopickiego Kraków bawić się będzie? Jak się Warszawa bawi, wiesz z gazet i *Kuryerka* aż do falban wstążek i ledwie nie podwiązek pięknych pań. Całe kolumny zajmują litery początkowe osób, które ściągnęły wzrok *Kuryera*. Jak się bawi Paryż, jak się myśli bawić, Jędrzej ci opowiedział; Francuzi skacząc, wołają tylko: *panem et circenses*. Konia kują, żaba nogę podnosi; otóż i Lublin się bawi, resursuje, tańcuje, teatruje, salonochronuje, koncertuje, rozsyła bilety na teatr i loterye nietylko po domach i biórach w mieście, ale nawet na wsie, oficyalistki i oficyaliści się ubożą, ziemianie się ciągną, kuglarze, histryoni muzyczni wypatrują, jak kruki ścierwo, zlatują się, połowa składek wyciśnionych idzie do ich kieszeni, część zabiera światło i dekoracye, ledwo czwarta część dochodzi do sali ochrony opuszczonych sierót, ,wszystko się to później odbija o głodniejące wsie, bo oficyaliści wymuszone na sobie ofiary dobroczynne odbijają przez egzekucye, przez komisye i tysiączne urzędowe napaści; tymczasem sława swoją trąbą po gazetach ogłasza poświęcenie się dam patronerek aż do ich stroju w jaki się dobroczynnie ubrać raczyły, w dodatku młode adjutanty tych dobroczynnych piękności z kartą w ręku rozbiegają się na prowincye na wioski „podpisz się na bal dobroczynności“ „ale ja na nim być nie mogę“ „to nic nie szkodzi,

ale pański rubel obetrze łzę nieszczęśliwym, „ale ja tego rubla winienem pomocy mojej wsi zgłodniałym chłopkom, nie mogę ich okradać, przejdź się po chałupach a znajdziesz tam moje kleiki, moje rosoły, mój chleb; odwiedź folwark, a znajdziesz w nim nie salę ale izbę uchrony i kilkanaście dzieci żywionych, opalanych, odziewanych, mytych, leczonych". Nic te wymówki nie pomogły; „pan nie będziesz tak twardy, abyś przeszkodził balowi na dobroczynność"; cóż robić, aby się pozbyć zagorzałego śpiewaka lub tancerza, trzeba być mimowolnie po miejsku dobroczynnym, chociaż to co piszę nie jest sarkazmem lecz prawdą — niech jednak to syknienie zostanie między nami, aby jaki niedyskretny wiatr nie zaniósł to tam, gdzieby się nie podobało. Wiele z tych osób szacuję a nawet kocham, na przesadę tylko wyrzekam w tym excepcyonalnym roku.

Miesiąc dobiega wiernie dotrzymuję umówionej acz nieciekawej z mojej strony korespondencyi, dotrzymajże i ty przyjacielu, aby póki żyjem, z nałogu nie wychodzić.

Twój dozgonny przyjaciel
K. Koźmian.

Piotrowice, 3 Marca 1854.

Szanowny mój i kochany Przyjacielu!

Przed kwadransem odjechał z mego domu najmilszy gość jenerał Morawski, kto wie, czyli go już ujrzę; w żalu i tęsknocie szukam pociechy i ulgi w korespondencyi z tobą, winienem ci odpis na twój ostatni list z 16 Lutego, doszedł mnie w dzień przybycia Morawskiego, i to było przyczyną, że wypłatę tego długu przeciągnąłem z Lutego na Marzec, a wkrótce uiszczę się i z długu marcowego. Oba z Morawskim starcy, chociaż on dziesięciu laty ode mnie młodszy, witaliśmy się wzajemnemi komplementami, że dobrze wyglądamy, czuliśmy jednak wewnętrznie tę prawdę *singula de nobis anni praedantur euntes etc.* On jednak o sobie jeszcze tego powiedzieć nie może; co już mnie tylko służy: *longa Tytonum minuit sene-*

ctus; zawsze z serca, z umysłu, z ognia, z imaginacyi ten sam, humor tylko zmienił, bo też cierpiał na fluxyą w uszach kilka niedziel, w Mińsku leżąc w łóżku i choć już wydobrzały, ostrożność od niej przywiózł z sobą, przytem trudno być wesołym w tych czasach głodnych i wojennych; jakkolwiek krótko bo ośm dni tylko bawił, spiesząc się uprzedzić jakie przeszkody w przejeździe. Z tym najmilszym gościem, przyjacielem i towarzyszem przepędziliśmy najprzyjemniejsze chwile, chociaż go wesołość odbiegła, dowcip i słodycz w pożyciu pozostały; byłeś kochany Przyjacielu i ty przywoływany do naszego towarzystwa. Czytaliśmy wypisy udzielone mi przez ciebie z twoich Bezkrólewiów, zgodziliśmy się na jedno, że wybornie malują charakterystykę owych czasów i aktorów w owych epokach działających, o wierszach ci nie piszę, bo mierne nieznane są twemu pióru, a nad wielu unosiliśmy się słusznie. Każdej poczty przynosiły nam Gazety wiersze Deotymy z kadzidłami i dymami redaktorów, że aż kichać musieliśmy, o jej obecnych tworach, zgodziliśmy się z twoją opinją — czytaj ostatnią jej niby improwizacyą Rzeczywistość i Wyobraźnia. Dziwną jest rzeczą, że w każdym jej utworze jest pomysł piękny i zdrowy, lecz serca nie ma; wykonanie i forma nawet poetyczna i razem wymus, erudycya nie w miejscu i jakby dla popisu naciągana, kolory jednostajne i jaskrawe, podobieństwa niepodobne, porównania dziwaczne i niewłaściwe, niestosowne, strofy jasne, snadne i nader piękne. Ogół prawie zawsze bałamutny i ciemny, w którym myśli celu macać i domyślać się albo zgadywać potrzeba. Komu do głowy przyjść może, jak w ostatniej, o której mówię improwizacyi, ze skrzydełek motylich budować gmach szmaragdowy, kamienny, a sale w nim z bursztynu i t. d. Tak to imaginacya bez wędzidła i miary wypuszczona, obłąkać może w czczość najszczytniejszy talent.

Vale

K. Koźmian.

Minoga d. 14 października 1854.

Szanowny Przyjacielu i dawny Kolego!

Wstydzę się mocno że na twoję równie obszerną jak uprzejmą odezwę z dnia 10 p. m. dziś mi dopiero odpisać przychodzi. Zbiegło się wiele okoliczności, aby moją uwagę gdzieindziej odciągnąć tak, że dziś pierwszy jest dzionek dla mnie do swobodnego wytchnienia. Odebrałem wreszcie wiadomość od p. Łuszczewskich, że w dniu ostatnim wrześ. lub 1 paździer. z Wiednia przez Kraków z córką Deotymą przejeżdzać będą. To mię skłoniło że 30 września wyjechałem do miasta. Był to dzień ostatni życia J. Chłopickiego. Nazajutrz zachorowałem tak że ledwie na 15 minut podczas exportacyi wyjść zdołałem 2 paźdz. było nabożeństwo pogrzebowe. Ciało wywieziono do Krzeszowic gdzie chciał być pogrzebionym. Umarł jak na placu boju, z całą pogodą czystej duszy, nawet zwykłe żarciki nie odstępowały go do ostatniej chwili. Wołają do apelu, powtarzał obecnym. Jeden krzyż legii honorowej kazał położyć na piersi, niebyło żadnej mowy, żadnego honorowego odznaczenia. Tak znikła z widowni świata ta postać nakazująca uczczenie! Nazajutrz to jest d. 2 paździer. przyjechali Łuszczewscy. Traf zdarzył, że Kraków przepełniony przejeżdżającemi od wód zagranicznych nie mógł ich przyjąć w żadnym z zajezdnych domów, ofiarowałem im przeto po polsku mój dom, co musieli przyjąć chcący czyli niechcący. Ja na tem najlepiej wyszedłem. Mieli tu oni obowiązki względem wdowy po ś. p. ministrze Łuszczewskim i względem dawnego znajomego, biskupa. Lecz wieczor dnia 3 przepędzili w domu. Tu się zebrały nasze znakomitości i trochę dam bo mi w nieobecności żony, która na wsi zostać musiała dla gości, przybyła w pomoc Władysławowa Wężykowa, wdowa po mym synowcu zaledwie z kolei żelaznej wysiadła. Była ochota improwizacyi, ale mnie tego zagaić nie wypadało pod moim dachem i lepiej się stało, ponieważ chciałem by swoją bytność zaczęła w Krakowie od czci ołtarza na co się dopiero w dniu następnym zebrało, wszakże rozmowa z tutejszemi mężami niebyła jałową i biskup Łętowski tak obfity w pomysły przewodniczył jej do późna. W dniu

czwartym poszliśmy do katedralnej świątyni. Tam na Deotymę czekała Msza św. przed ołtarzem Stanisława św. Odwiedziny kościoła i zamku, parę godzin zajęły i tu się zebrali wszyscy którzy jej pobyt ułatwić pragnęli. Obiad u Babki a wieczor liczny u biskupa, wypełniły dzień ten, poznała prawie wszystkich, o których słyszeć mogła. Improwizacya nader świetna o *górach* na które puściła się z Wawelu, a oparła się na Jasnej górze nie pomijając i *Łysej* dała wyobrażenie o jej improwizatorskim talencie. Dzień 5 poświęcony odwiedzinom góry Bronisławy i Biblioteki uniwersytetu tudzież innym odwiedzinom zakończył się w domu. Tu przyjąć wypadało liczne grono matron, dam i nawet garstki porządnej dziatek, gdzie improwizacya nowa na temat podany przez biskupa: *Miłość najwyższa*, zostawiła jeszcze miejsce do wygłoszenia wiersza pod napisem *Deotyma w kościele Katedralnym*, który Ci załączę. Tu stanęli wszyscy aż do starca A. Grabowskiego, dla którego ta dziewica szczególniejszą jako dla najletniejszego okazała uwagę. O tej improwizacyi to tylko powiedzieć mogę że wstęp jej wspaniały. Reszta mniej mi świadoma, bo jako odźwierny domu miałem najgorsze miejsce, a dziś już ledwie słuchać umiem oczyma. Dzień 6 poświęcony licznym towarzyskim stosunkom i zwiedzaniom tutejszych zakładów, ledwie zostawił cośkolwiek miejsca do lekkiej improwizacyi u pani Kuszell o narodowych tańcach. W dniu 7 żegnani przez wszystkich, odprowadzani przez wielu, wyjechali do Częstochowy, czyli tamtędy do domu. Wrażenie było ogólnie niepospolite — Ci nawet co raczyli pisać przeciw temu niepospolitemu dziewczęciu, nie usuwali się od hołdu. Źle mi wypadło, że byłem podtenczas nie zupełnie zdrowym. Wszakże przyjęcie tych gości w Krakowie było pełne powagi, a przecież nacechowane ogólnym najszczerszym udziałem.

Twój zawsze ten sam przyjaciel i sługa,
Fr. Wężyk.

Piotrowice, d. 10 Listopada 1854 r.

Szanowny mój drogi dawny Kolego i Przyjacielu!

Jak kazałeś w ostatnim twoim liście z dnia 14 października z Minogi pisanym zatrzymałem się z odpowiedzią na listopad czekając aż powrócisz na zimę do Krakowa, teraz kiedy mi mój syn donosi że już jesteś w Krakowie, biorę pióro do ręki, abym ci podziękował za tak powabne i szczegółowe opisanie bytności Deotymy z zacnemi jej rodzicami, w tej dawnej historycznej stolicy, dziękuję zaś najwięcej za arcypiękne o niej wiersze, któremi natchnęła cię natchniona improwizatorka; radbym i te czytać, może ich dopadnę w waszym *Czasie*, i ufam że wśród tylu pamiątek nie są niższe od poprzedzających utworów. Boleję nad tem że drobiazgowość naszego wieku, a raczej młodego plemienia poetów, autorów, krytyków a szczególniej gazeciarzy, czy zazdrością, czy jałową złośliwością wszystko robi, aby zrazić ten nadzwyczajny i jedyny talent, skromnej, niewinnej i z nieba natchnionej improwizatorki; ma ona wprawdzie silnych obrońców we własnych swoich tworach i w znakomitych powagach prawdziwych znawców jakim jesteś; twoje wiersze i dawniejsze i ostatnie pewniej ją jak już to namieniłem doprowadzą do potomności, niż niezręczne rady, przesadzone pochwały i t. d. a żądła drobnych Arystarchów stępić się muszą na takiej tarczy jaką się odziała. Zastanawiając się nad obecną drobiazgowością umysłów, przyszła mi myśl do bajki, której treść powierzyłem Morawskiemu aby ją pięknym swoim rymem ozdobił. Odmówił zapewne z obawy aby samochlubnej powszechności na siebie nieobraził więc ja stary chociaż się wyrzekłem rymoklectwa i poezyi, chociaż nieposłuszny rym niesłucha już mego głosu w tęsknych obecnych chwilach wygniotłem lichym wierszem tę treść pod tytułem: *Mrówki* i *Kogut.* Nigdy do tego rodzaju rymotworstwa niemiałem zdolności, wolałem dobre chwalić, jak nikczemne bazgrać. Napisałem kilka powieści rymowanych i te znajdują się między publicznemi pismami po dziennikach. Jednę tylko w życiu mojem napisałem bajkę epigrammatyczną i tę drugą którą ci posyłam. Przeczytaj osądź, popraw, zachowaj lub spal, a gdybyś ją za niebardzo

złą uznał, a waszemu *Czasowi* przydała się na co, z moralnego sensu, a żądał, możesz mu jej udzielić z ostrzeżeniem wyraźnem aby jej literami memi nie oznaczył bo nie chcę zadzierać z liczną literacką gawiedzią [1]). Pisał mi syn że poznał p. Kaczkow-

---

[1]) MRÓWKI I KOGUT.

Bajka.

Gdy słońce z nieba ściąga promień blady
I pomrok bliskiej nocy wróży przyjście,
Zwykle się wszelkie ruszają owady,
Co się w dzień kryły pomiędzy drzew liście. —
Z tego rodzaju pod zamierzch wieczorny
Chrabąszcz potworny
Brzęcząc, latając, raz górnie, znów nizko,
Spadł na mrowisko.
I zaczął łazić wraz z mrówki drobnemi
Raz po wierzchu mrowiska, to znowu po ziemi;
Nakoniec z barków skorupki rozkładać
Brzęczyć, latać, znowu spadać.
I w ciemny przestwór wzleciał tak wysoko,
Że go mrówczane nieschwyciło oko.
Więc zaraz drobna gromada
W wielkie podziwienie w pada.
Wprawdzie jedna mrówka stara,
Znając co to za poczwara
Rzekła do młodszych: to chrząszcz, co zwykle w tej porze
Lata po dworze;
Ale od wieków nie wiem zkąd pochodzi,
Że nigdy starszych niesłuchają młodzi.
I tu twierdzeniu doświadczonéj mrówki
Przeciwią się młode główki
Wyrokując jednozgodnie
To ptak, to ptak niezawodnie:
Choć go pierze nieodziewa,
Ptak, ptak, bo lata i śpiewa.
A więc u drobnych główek z rozumu zgorszeniem
Chrabąszcz zostaje ptakiem, a jego brzęk pieniem,
Kiedy w tem kogut siedzący na płocie,
Dziwiąc się małych istotek głupocie,
Kogut co deptał chrząszcze i dziobem potrząsał
Na krzywdę rodu swego się rozdąsał
I gdacząc ozwał się z gniewem:
Toż u was chrabąszcz ptakiem, a jego brzęk śpiewem

skiego młodego pisarza rozmaitych powieści podobał mu się i z układu i ze zdolności i z talentu którego dał liczne dowody, liczy się on między wielbicielami talentu Deotymy, i podobno wygotował odpowiedź i obronę jej naprzeciw wymierzonym na nią pociskom, skłonny jestem wierzyć i spodziewam się, iż ta odpowiedź, odpowie sądem, delikatnością i trafnością swojemu celowi, bałbym się tylko, aby przeciągnięta dłużej ta literacka polemika, wprowadzając ciągle imię Deotymy na karty gazeciarskie, nie spospolitowała i nie poniżyła imienia tego skromnego i niewinnego dziewczęcia, zważ to czyliby niekorzystniej było dla niej, niedrażnić przeciwników, i przerwać gardzącem milczeniem. Lecz podobno już zapóźno bo listy p. Kaczkowskiego już mają być drukowane w *Czasie*, nieczytałem ich jeszcze ale mój syn chwali. Jęknąłem boleśnie nad śmiercią zacnego jenerała, qualis vita finis ita. Odważny w bitwach umiał odważnie jak żołnierz katolik umierać, żałuje Krakowa że najcelniejszą ozdobę stracił, dziwię się, że zdarł z swoich piersi krzyże narodowe i tylko w francuzkim pochować się kazał, miałżeby urazę do swego narodu?

O nędzne, drobne stworzenia —
Wyjdźcie przecie z zaślepienia,
By poznać wartość lichego owadu
Przejdźcie do sadu.
Ujrzycie jak tam z niego ogrodnik sad czyści
Otrząsa z drzewa i liści,
Z ścieżek i ulic w kupy zmiata po ogrodzie
Na żér najpodlejszej trzodzie.
Spojrzcie na gaje; któż to obnażył te drzewa?
Z nagich i pustych uszli goście leśni
Ni w nich ptasząt, ni w nich pieśni,
I w maju nawet słowik w nich nie śpiewa
Ale pustowi i nocni tułacze
Sowy, w nich piszczą, albo wrona kracze.
Ja ptak z rodu, z ptastwem żyję
Więc wam prawdy nieukryję,
Wy o przymiotach ptaków sądzić niesposobne
Boście mrówki, boście drobne.
Ta bajka, chociaż w rym przybrana lichy,
Oby pisarzom, wieszczom, ukróciła pychy,
Imion swych u potomnych sądu nieustalą,
Chociaż się sobą chełpią, i mrówki ich chwalą.

Co za podłość! pisał mi mój syn i jenerał Krasiński, że złodzieje, zgwałcili grób jego i obrali jego piersi ze złotego obrazu N. Panny i z orderu Legii. Co za zbrodnia, ale złodziejstwo jest teraz narzędziem socyalizmu, nie tylko u nas, lecz na całym świecie rozpościera bezkarnie swoje panowanie. Dzienniki zagraniczne i nasze, całe kolumny zapełniają złodziejami, kradną cicho i jawnie najniepodobniejsi do tego ludzie, dzicy ucywilizowani, wykształceni, lecz tak było od początku świata, już sam Bóg w przykazaniach swoich, rzekł niekradnij, więc kradziono zawsze i kraść będą, bo taka jest natura ludzka; gdy ją religia niepoprawia. Szczęśliwi jesteście że macie pasterza oświeconego i gorliwego w szacownym księdzu Łętowskim racz mnie przypomnieć jego dawnym przyjaznym związ kom. Czciłem ja zawsze jego osobę, ceniłem ducha pism jego jędrność stylu, czerpaną ze szczęśliwszych wieków, i obszerne wiadomości, któremi swoich czytelników ukarmiał, mam jego dzieła, nieraz je odczytuję, w tym głodnym dla ważniejszej literatury czasie, był kiedyś łaskaw udzielać mi swoich szacownych utworów. Pod tym względem i my szczęśliwi jesteśmy, równie w dyecezyi jak w parafii. Proboszczem mamy jak wiesz ks. Walentego Baranowskiego Ex-Pijara uczonego, oświeconego, wymownego, utalentowanego i z całą pobożnością szlachetnej duszy poświęcającego się wzorowo parafialnego kościoła obowiązkom, mimo urzędu surrogata, którym go biskup zaszczycił. Jest to brat rodzony Baranowskiego astronoma. Jeżeli czytałeś wiersze moje do niego drukowane, w przeglądzie Poznańskim, masz tam wierny obraz jego. Pasterzem dyecezyalnym jest ksiądz Pieńkowski Lublanin. Syn sąsiada i przyjaciela jeszcze ojca mego i mnie samego kolega szkolny, przyjaciel i sąsiad brata mego biskupa kaliskiego dotąd po Piramowiczach Proboszcz Kurowski i ich wierny naśladowca, aż do zakochania się jak tamci w ogrodach, ztąd w całej obszernej nad wiślańskiej okolicy poważany i kochany, przechodząc przez stopnie, umiał sobie szlachetnym postępowaniem zjednać ufność rządu i w roku przeszłym w Petersburgu na biskupa lubelskiego pomazanym został. Zawdzięczając on swemu surrogatowi podróż do Petersburga, który ledwo życiem dotknięty cholerą nieprzypłacił, zjechał na odpust 1 listopada do jego probostwa do Bychawki, lecz zjechał z całą pobożną i ewangieliczną skromno-

ścią i pokorą, zakazał wszelkich mów, wszelkich pochwalnych kazań, wszelkich powitań, przez dwa dni celebrował bierzmował. Otoczony kilkudziesiąt familiami obywatelskiemi i wiejską ludnością do 4,000 wynoszącą, rozrzewniający ten widok, o którym mi moja żona i wnuka którą bierzmował opowiadały, dodawało temu obchodowi uroku, szlachetna i łagodna postać biskupa, którego twarz przypomina rysami, ewangeliczną pokorę, połączoną z godnością arcykapłana, owego Cieciszewskiego biskupa Łuckiego, sławnego z cnót i świętobliwości w całym kraju, którego niewiem czyli zapamiętasz. Dla mego defektu niemogłem jechać na jego powitanie, lecz on jako dawny przyjaciel zapragnął mnie odwiedzić, zjechał więc do naszego domu rano na śniadanie, przyjąłem go z moją obecną rodziną i całą czeladką u ostatniego schodu naszego domu, ucałowałem jego rękę, prosiłem o błogosławieństwo, dał go kilkakrotnie, i z rozrzewnieniem uściskawszy mnie podał mi rękę i tak wprowadziliśmy się do salonu; miał z sobą auditorów, surrogatów i uczonego rektora pijarskiego z Opola. Po lekkiem posileniu się i toaście za jego zdrowie, żądał aby mu co przeczytać z moich pamiętników. Odczytałem mu o Woroniczu, co go rozrzewniło, bo szacował i czcił tego arcykapłana Lewitę. Ksiądz Baranowski przeczytał pobożne wyjątki z Czarneckiego. Powtórzywszy błogosławieństwo odjechał o drugiej z południa do Osmolic, zaproszony od Stadnickiego na obiad, tam nocował i nazajutrz zadowolniony, zadowolniwszy wszystkich, odjechał do Lublina zostawiwszy w całej parafii najmilsze wspomnienia. Lublin nasz zapewne nieomieszka podać do gazety wymownego artykółu, aby tylko niewpadł w styl przesadny i plotkarski. Ty mi kochany przyjacielu w podobnym sposobie i w podobnych szczegółach, opisałeś bytność Deotymy w Krakowie vicem pro vice reddo tibi amice, opisując naszą uroczystość parafialną. Jeżeli cię znudzi, przypisz to żem stary zgrzybiały, już nie mam ani twego umysłu, ani twojej ręki i pióra już ja ci to powiedziałem, że ty mnie nascycasz starym tokajem, a ja ciebie zwietrzałym cieńkuszem.

Vale Amantissime,

K. Koźmian.

Kraków 2 stycznia 1855.

Szanowny i sędziwy mężu, a mój nieoceniony przyjacielu!

Przeszedł więc dla nas rok stary, a chociaż jest pochowany na wieki, gdy się obejrzym na przeszłość, przeszedł on w rozmaitych kolejach, zawsze atoli i jako tako i my postawieni nad kresem doczesnego bytu, możemy sobie powinszować, żeśmy go bez wielkich wstrząśnień i w znośnem zdrowiu przebyli. Reszta jest na przyszłość jak dotąd była w rękach Boskich. Tej to prawicy wszechmocnej poruczając się z najwyższą ufnością, mało już mamy życzeń dla siebie, a bardzo wiele dla tych, którzy po nas zostać muszą i zostać powinni. Ale i na to jest środek, aby nie zgrzeszyć przesadą żądań, to jest codzień za boskim prawodawcą naszego zakonu powtarzać: „Bądź wola twoja o Panie!“ Niech w tem i nasi następcy znajdą dla siebie od nas sumę wszelkiego życzenia.

Pisać o ruchu umysłowym z Krakowa, byłoby to co żądać ananasów z Petro-pawłowska. My się już wyszeptali pod bytność Deyotymy w Krakowie. Zostały tylko kwasy z powodu listu Kaczkowskiego. Niech on odpowie, jakiem nowem dziełem, a odpowie wtedy zwycięzko. Wydrukowany w Petersburgu romans pod napisem *Mąż szalony*, musiał już trafić i do was, chociaż jego wydanie oznacza rok 1855. Drażniłem się z autorem, że go czytać przed czasem nie mogę: bo gdybym coś o nim napisał i w r. 1854 skończył życie, łatwoby zaprzeczyli potomni. Ale że nie było tego obawy, więc znalazłem treść prostszą i naturalniejszą od Murdeliona i Braci ślubnych, co mię bardzo ujęło; ale forma zależąca na opowiadaniu jednego kozaka może jest mniej właściwą do rozwinięcia takich zdolności, jakie Kaczkowski wykazał; prosiłem go, aby mi tego kozaka odstąpił, choćbym miał zostać jego stenografem, ale nie przystał na to bynajmniej.

Deotyma przestała bawić Warszawę improwizacyami, za to sypią się poemata. Wyszła z druku Tomira i czekam jej przybycia, Zapowiedziany mi Piast ma w biegu tego miesiąca stanąć pod moim dachem. List świeży do Kaczkowskiego skreślony, nowy poemat zapowiada, do którego studya bardzo ją zajmują. Gdym nad tą płodnością rozmyślał, przybiegł do

mnie profesor Kremer i przyniósł bardzo ważną i piękną odę do słowa. Nie mając nic własnego na kolędę dla ciebie zacny kolego, siadam do kopii tej ody, żeby ci chęć moją udowodnić sprawienia jakiej przyjemności, jeźli przypadek nie zdziałał, by ten poemat był już znajomym.

Powód do niego dał pierwszy wieczór w twym domu podczas którego p. Kremer poczęstował nas bardzo pięknie wystawioną rzeczą: o sztuce średniowiecznej. Oda poczęta w nocy 3 października została dokończoną w Warszawie i nosi też na sobie piętno wykończoności daleko wyższe od innych płodów tej poetki, powinszowałem jej tego i prosiłem o więcej podobnych improwizacyj.

Mniemam, że będziesz kontent z tej komunikacyi. Lecz kiedym zaczął przepisywać, nadeszli do mnie Paweł Popiel i Kaczkowski, obadwa nie znali tego wiersza, więc im go udzieliłem. Pierwszy twierdził wraz ze mną, że dotąd nic podobnie poprawnego, a może i wznioślejszego nie napisała D. Drugi ani słowa nie wyrzekł i bardzo obojętnie tę objawę przyjął; czy ci panowie nie pojmują co to jest horacyszowskie *et os magna sonaturum* czy im koniecznie potrzeba szczypiących i kąsających wyskoków Słowackiego? Niech i tak będzie, ale prawdziwie szkodaby było takiego rozwydrzenia w ludziach zdolności. Nie mogliby to oni zostawić litarackim libertynom, których jest wszędzie nie mało. Ale kto wie, czy się nie mylę w moim poglądzie, przecież nie zdołam zataić nieprzyjemnego wrażenia, a nie chcąc pod jego wpływem dłużej się rozpisywać; kończę, ściskając serdecznie twoją prawicę i prosząc jak zawsze, abyś mię ciągle polecał łaskawej uprzejmości wszystkich twoich.

Zawsze ten sam i najżyczliwszy
Fr. Wężyk.

Piotrowice, 15 maja 1855.

Szanowny mój ukochany i drogi przyjacielu!

Bóg nas chłoszcze wszystkiemi plagami, a niepoprawiamy się! Co to za zamęt i w społeczności i w literaturze: żale,

płacze, smutki, narzekania mięszają się z zabawami, tańcami, strojami i wśród biedy z niesłychanym marnotrawstwem czasu i pieniędzy. Czytujesz gazety, masz w nich tyle monologów ile różnego rodzaju zabaw i wesołości. Ale to samo na całym świecie dzieje się, działo się i dziać będzie. My tylko jesteśmy małpami, nie naśladujemy co dobre, piękne i szlachetne, lecz przedrzeźniamy co jest nikczemne i podłe. Długie życie dało nam poznać, kochany przyjacielu odległych od nas potomków, bo chociaż się mniemają za potomność, niech sobie nie przywłaszczają tego imienia; nasza potomność objawi się dopiero za jakie 200 lat, gdy już z kości naszych ledwie szczypta popiołu zostanie! Koleją rzeczy ludzkich, obecna potomność wprzód się strawi sama sobą, i Bóg wie gdzie świat i ludzkość doprowadziwszy, zapadnie się w otchłań, a wróci to, co już było. Prawdziwa potomność nasza, ta święta wyrocznia, dla której sądu i potwierdzania tyle trudów, tyle podjęliśmy ofiar, wróci wraz z takimi ludźmi, z jakimi żyliśmy, jacy byli dla nas przykładem i wzorem, zachętą do dobrego, hamulcem od złego. Żyjmy w tej nadziei, inaczej nie wartoby żyć na świecie; a kiedy w tych czasach prawda, bezstronność, szlachetność, rozsądek uszły w niebo i Bóg powołał je do siebie, dążmy za niemi za przewodnictwem świętej religii, jedynej i wieczystej prawdy.

Pisałem ci w roku przeszłym, że miałem u siebie odwiedziny Franciszka Dmóchowskiego, który przez parę dni bawiąc w Piotrowicach, zalewał mnie milionami wierszy z pamięci, jak grad sypanemi; wiesz jak on się łatwo unosi, wszakże niedość, że wierszem ubóstwił Deotymę; teraz w rok przyszła mu myśl, po odczytaniu Czarnieckiego, mnie przechwalić; przyjąłem z wdzięcznością, acz nie bez zarumienienia, zbyt pochlebne pochwały [1]).

---

[1]) KAJETANOWI KOŹMIANOWI

na pamiątkę pobytu w Piotrowicach w miesiącu październiku 1854.

F. S. D.

Jak niegdyś, sławną Sybilli świątynię
Zwiedzano z hołdy rzewnemi,
Tak pamięć cichej Piotrowickiej ziemi
W sercu rodaków nie zginie.

Winszuję ci, żeś zawiązał stosunki literackie ze stróżami Biblioteki Ossolińskich; ztamtąd jeszcze wychodzą pisma zdro-

Czy kto zasłynie poezyi utworem
Czy tylko jej wdzięk czuć zdoła,
Tam wszyscy, nasze uchylimy czoła
Przed polskich wieszczów nestorem.

Tam on, niezgięty pod ciosów brzemieniem,
Wieśniaczym otoczon ludem
Uiścił własnym przykładem i trudem
Co pięknem malował pieniem.

Nie złożył pióra mąż szronem okryty;
Silniejszym ogniem dusza się zajęła
Wiersz w odrodzonej zajaśniał ozdobie;
Wierna mu lira żywszym dzwiękiem drgnęła.
A wieszcz śpiewając bohaterskie dzieła
Wzniósł pomnik wielki, czasem nie spożyty.
I zbawcy kraju i sobie*).

Jakaś czarowna niepojęta władza
Duch twój ożywia i dzielność odmładza
Jaka? — Bo tobie przewodził do pracy
Homer, Wirgili, Tacyt i Horacy
Z nich wziąłeś przykład, jak mąż wielki, prawy.

„Ślepego gminu nie lęka się wrzawy,
„I kiedy ziemię w proch burża rozmiata
„Stoi niezlękły na zwaliskach świata,
„Czołem uderzy ludzkość ujarżmiona
„Lecz nieugięty wytrwa duch Katona.

Z tych żrzódeł płyną i dzieł twych zalety
I czerstwość myśli i duszy spokojność
Przez nie potrójna zdobi cię dostojność
Obywatela, starca i poety.

A gdy nurt Lety w swoje czarne tonie
Wątłe chwilowe utwory pochłonie,
To, póki Polskie żyje pokolenie
I twoje żyć będzie pienie.

Wyszyna, 12 Kwietnia 1855 r.

*) Poema bohaterskie — o Stefanie Czarnieckim w XII pieśniach, dotąd nie wydane.

we i w duchu prawdziwie naszym. — Autorowie są przy samem źródle nauki, uczą się i uczą. Pisma Dzieduszyckiego, Szajnochy itd. zawsze celować będą przed innemi odłamkami literatury bądź Księstwa, bądź Królestwa; czy to uważałeś, że też tak są obcymi w dziejach ojczystych, że o Księstwie Warszawskiem, kto się w niem wsławił, jakby o nim nie słyszeli? Suprema ignorantia!

Plagi na wsiach nie ustały; febry, tyfusy, zapalenia się szerzą. Próżniactwo, pijaństwo, żebractwo, a nadewszystko złodziejstwo górę bierze. Rodzice uczą dzieci nie pracy lecz żebractwa.

My oboje starzy żyjemy jak Filemon i Baucis; moja żona cierpiąca na attrisis, pije serwatkę z rady doktora. Ja telepię się, zataczam się na nogach i krzepię się jak mogę, mniej mam cierpienia niż osłabienia sił, spiritus promptus, caro infirma. Zobojętniałbym zupełnie dla towarzyskiego życia, żeby was trzech, którzyście mi pozostali: ty, Krasiński i Morawski, nie wciągali do niego; niech wam Bóg odpłaca dłuższem życiem, a czerstwiejszem niż moje zdrowiem. Gdy do grobu wstąpię, rachuję na was, że nie pozwolicie bazgraczom bezcześcić moich popiołów.

Vale amantissime

K. Koźmian.

Marienbad, 6 sierpnia 1855.

. . . .

A Deotyma, pewnie mię zapytasz, co tu porabia, jakie na licznej publiszności czyni wrażenie? Na to w krótkich odpowiem wyrazach. Taż sama, jaką poznałem w Karlsbadzie, jaką przez dni kilka widziałem w Krakowie, skromna i cicha w towarzystwie, szanująca starszych; pije wody, bo kazał doktór; lecz oko jej błąka się po górach i borach, a duch jeszcze się wyżej unosi, bo tak jej kazał Stwórca. Chadza najczęściej oparta na ramieniu tego, co ci to kreśli. Tylko przez dwa dni miałem rywalem naszego wspólnego kolegę i tak jak my mło-

dego, to jest ks. Bielińskiego. Wynalazł jakieś pokrewieństwo, i pójść w kąt musiałem jak zmyty. Alem go przetrzymał, bo już wyjechał do Egry.

Ciekawi rodacy zebrali się w dniu jednym do pani Niny na kawę; a że improwizacye zakazane są w Marienbadzie, więc nam czytała jednę z warszawskich pod napisem *Astronomia.* Mój rywal nie chciał wyjechać, póki nie dostał kopii tego poemaciku. Pojmiesz bez trudu, że mu ją nazajutrz wręczyłem, poczem przecie wyjechał.

Zaraz z kopyta pragnąłem zapoznać się z Piastem. Znaczna część tego poematu jest już spisaną. Reszta jest w sercu i głowie i wyobraźni, która zanadto jest bujną, aby się dała ująć tak snadno w ramy sztuki. Mam niepłonną nadzieję, że ten poemat zajmie kiedyś powszechną uwagę. Miałem już w ręku pareset wierszy pod napisem: *Wędrówka poety;* jestto jeden z celniejszych utworów dziewicy-wieszcza. Jeszcze parę tygodni mam widok korzystania z tego miłego towarzystwa, przy niem wody tutejsze nowej dla mnie nabiorą dzielności.

Lecz inny jest cel niniejszego pisania. Dzień dzisiejszy jest wigilią tego święta, które całe Lubelskie obchodzi, a cały kraj powinienby w uroczystość zamienić. Nie będę się wysadzał na powtarzanie tego, com tylekroć skreślił. Lecz tu jest miejsce do przywiedzenia na pamięć tych dwóch wierszy:

O chlubo starców — wzorze dla młodzieży!
Niech nam brzmi długo głos twój zawsze świeży!

Jeżeliś łaskaw, napisz do mnie w końcu bież. miesiąca, adresując wprost do Krakowa, by mię to doszło między 26ym a 30ym sierpnia, na co z Minogi odpiszę. Racz mię przypomnieć łaskawym względom szanownej małżonki i uprzejmości syna i wnuka. Sam zaś wiersz statecznie niezmiennej mojej przychylności. Czciciel całej rodziny

Fr. Wężyk.

Minoga 7 Października 1855.

. . . .

Muszę podziękować ci za odpis improwizacyi Deotymy: „Nad morzem“. Słyszałem o niej od tych, co byli podówczas w Ostendzie. Pewnie mię dojdzie odpis od autorki. Ale: *bis dat, qui cito dat,* więcem się ucieszył, do tego, który mię doszedł, nader miłą rączką skreślony. Chcesz wiedzieć, co trzymam o tej improwizacyi? Otóż ci odpowiem anegdotką. Wiadomo nam starym, że biskup kamieniecki Dembowski wyksiężył się, będąc już wdowcem. Gdy więc raz egzaminował kleryków i zapytał się z nich jednego: quid est matrimonium? ten mu odrzekł; Illustrissime! quasi nesciretis? O! wiesz ty dobrze, co powiem o tym nowym dowodzie wiecznej maniery, przesyconej wiedzą. Jeśli to poezya? na to zapytanie czekam odpowiedzi od starszego wieszcza, to jest od p. Kajetana, albo nawet od p. Andrzeja.

Podobnie wygląda i *Astronomia*, o której w liście poprzednim pisałem. Wszystko to już jest w cenzurze warszawskiej i wkrótce wydrukowane zostanie. Szkoda, że dzisiejsi pisarze tak się spieszą do nieśmiertelności i koniecznie muszą poruczać drukom niedojrzałe płody. Lecz kiedy już, a raczej jeszcze nie wzdrygamy się mówić o płodach dzisiejszych, nie pomnę, abyśmy kiedy z sobą mówili o Syrokomli. Zajął mię on w swym czasie przekładem naszych poetów, co po łacinie nucili. Wielka to i piękna była przysługa. Później wydał tomik poezyj, między któremi odznaczała się „Lalka“. Ogół dosyć ponętnych płodów był nieposlednim zjawiskiem. Nastąpił Marger i Chatka w lesie i Córa Piastów. Ta ostatnia najbardziej mię zajęła. Wstęp do niej mocno mi się podobał. Czemuż uległ powszechnej wadzie dzisiejszych, częstemi zaniedbaniami stylu! Wszak to jest owo *os magna sonaturum!* Wszak wielki jeden pisarz powiedział: *Le style, c'est l'hommé!* Nie godzi się czynić igraszki z narodowego języka. Ale inna niesumienność gorzej mię razi. Gdzieś, kiedyś, dawał sprawozdanie J. I. Kraszewski z pism Syrokomli. Więc jak łatwo pojąć, chwalił i chwalił bez miary. Czemuż na utwierdzenie swego zdania powybierać raczył najsłabsze miejsca, a pominął te,

które istotną zaletę pisarza stanowią? To jest nowego rodzaju strategia. Wszakże pomimo tego p. Syrokomla w pierwszym rzędzie powinien stanąć i może wyżej od Pola. Mówią, że jako człowiek, jest blizki końca swego zawodu. Tembardziej powitać wypada jego śpiewy, może łabędzie. Nie dzielę uniesień dla nadto pobożnego Lenartowicza. Jest w nim coś nienaturalnego, wyrobionego, co nie płynie z natchnienia. Znałem go przed kilku laty; radbym żyć dłużej, aby się o istocie jego powołania przekonać. Nie czytałem dotąd „Bayronisty" Kaczkowskiego. Wielu się na rozwlekłość tego utworu uskarża. Może nawet z tej przyczyny weszła na scenę kiełbasa, że nie miał o czem pisać, a trzeba było koniecznie powieści o 3 lub 4ch tomach. Mylę się; ale źródłem podobnych zdrożności są licytacye księgarskie na pisma. Źle było, gdy autorowie szli do drukarni o żebranym chlebie; gorzej, gdy się dowcip na łokcie i cale sprzedaje i obstalunki znieść musi. Jakaż jest prócz tego przyszłość tych panów? Żaden z nich nie doszedł do Eugeniusza Sue, albo Dumasa. Tamtych pisma rozchwytywano, jak bułki świeże wśród głodu. Ale ledwie lat kilka przeszło, a dziś już o nich nie ma i mowy. Krzyczeli nasi arystarchowie na Walter-Scota, przecież jeszcze się nieraz do jego płodów wrócimy, a zapomnimy nawet o Bayronistach. Już mi ten tytuł niebardzo przypadł do smaku! Jakkolwiek Bayron był wielkim, że swoje poemata wysnuł z *negacyi*, nikt o nim za dni naszych nie mówi jako o wzorze. Dziwiłem się nawet, że Morawski podjął niewdzięczną pracę wykładu tego poety.

Zrobiłem sobie figla, którego mi nie tak łatwo będzie w tej chwili czem innem zastąpić. Jeszcze w miesiącu Czerwcu obiecywałem ci kopie korespondencyi z Helclem, dla sprawienia rozrywki. Już prawie była gotowa i miała ztąd odejść z tym listem; cóż kiedy jak się wykazało, została w Krakowie. Dziś więc musisz przyjąć tę odezwę, że tak rzekę, na sucho, a za to, jeźli Bóg dozwoli, list na Listopad będzie tłuściejszy, bo podszyty zapowiedzianą tylekroć ramotą.

Za dni parę wyjadę ze wsi przed zwykłym czasem na leże zimowe; to bowiem dotąd nie miało miejsca przed 1 Listopada; ale zasiawszy wszystko i posprzątawszy co tylko było i z łąk i z pola, wykopalisko kartofli zostawiam ludziom, dość zadowolniony, że chociaż ten płód ziemi nie wydaje jak bardzo skromny plon

(bo ledwie 6 ziarn), przecież nie zginął, jak się tego obawiano, i jest w dobrym, przynajmniej na oko, rodzaju. I włościanie nasi nie mając wiele poczciwego żytka, będą może z tego względu ochronieni od głodu. Biedni to ludzie; drożej zapewne każą dziś sobie płacić za pracę, ale za drogością zboża (bo tu żyto po zł. 48, pszenica po 70) idzie drożyzna wszystkich potrzeb, a na wyludnione już wioski spadła nadto wśród zbiorów cholera! Niezbytnie ucierpiała z tego względu włość moja; na 80 osady, wypadło tylko 7 zgonów; przecież wieś jedna, do tutejszej parafii należąca, dostarczyła 16 mogił. Toż samo spotkało inne wioski sąsiednie, a dotąd jeszcze twierdzić nie można, by ta zaraza wygasła. Gdzie niegdzie już w końcu zeszłego miesiąca dała się uczuć w poblizkich miejscach. Znałem i z sumienia i z pięknej strony O. Wszelakiego, nie dziwię się przeto słusznemu żalowi tych, co bliżej na niego patrzeli. Kraków dosyć obronną ręką wyszedł z zarazy, a co jest dziwna, że z 900 ubogich, żywionych przez ciąg cholery ciepłą strawą, ani jeden nie umarł. Mam tę wiadomość od fizyka miasta, co jest zawsze godne uwagi. — Nasz Jakubowski nie jest w normalnym stanie zdrowia. Bezsenność go dręczy i nie może na nią znaleźć sposobu Wdał się w rozmaite spory ekonomiczno-literackie, jeszcze nie ochłonąwszy od chęci drukowania tego, co napisze. My starsi może i piszem, bo to się stało potrzebą życia, ale niekoniecznie, kwapimy się do pras drukarskich; są one u nas mieczem obosiecznym. Gdzieindziej stanowią druki tylko powszednią mowę, rozpowszechnioną dla wielu słuchaczy; wolno jest przyjąć albo nie przyjąć to, co autor wygłasza. Dzień jeden zaciera płody drugiego, i pośród tego ruchu to tylko wypływa na wierzch, co za pożyteczne lub piękne uznają. U nas są inne wcale pojęcia, a rzadki, coby się nie urażał za przeciwne sobie mniemania. Chciałbym tych panów posłać do Anglii. Tam w parlamencie prawda aż do ostrości wyrażeń dosięga; ale najzapamiętalsi przeciwnicy wśród posiedzenia, jedzą po nim z sobą obiad jak przyjaciele, bo ich polityczna rola skończyła się razem z posiedzeniem zamkniętem. Otóż nasz zacny rektor przypłaca zdrowiem nietolerancyę cudzego zdania.

Rozpisałem się zanadto; ależ jak się powstrzymać, mając rozmowę z tak poważnym, zacnym i prawego serca, a oświe-

conego umysłu korespondentem, którego nieocenionej pamięci i łaskawej uprzejmości całej rodziny poleca się dziś jak zawsze

Fr. Wężyk.

Dnia 14 lutego 1856.

Ukochany i drogi mój Przyjacielu!

Z łóżka do ciebie piszę i dlatego tak krótko. Dom nasz przemienił się w lazaret, prawdziwa ręka Pańska nas dotknęła. Syn leży od dziesięciu dni na attrytyczne bole, a ja dopiero od dwóch dni pozbyłem się uporczywego kaszlu. Marynia zamiast bawić się w zapusty, została szarą siostrą przy szpitalach.

. . . .

Widzisz po pismie, jak jestem osłabiony; gdy się pokrzepię, dłuższy napiszę, a teraz kończę, serdecznie cię ściskając.

Vale amantissime
K. Kozmian.

W parę tygodni po tym liście odebrał kasztelan Wężyk dłuższe pismo z Piotrowic, ale już nie od Kajetana Koźmiana, tylko następujący list od syna jego Andrzeja:

„Komuż w naszem ciężkiem strapieniu zwierzyć się z naszych trosk i obawy, jeżeli nie tobie najszanowniejszy przyjacielu mego drogiego ojca, którego przyjaźń była pociechą i pokrzepieniem jego sędziwego wieku. Otóż stan jego coraz żywszą obudza w nas troskliwość, i tylko w miłosierdziu Bożem całą naszą składamy nadzieję.

Po napisaniu listu do ciebie JW. kasztelanie (był to ostatni list, który napisał), a zatem od 14go tego miesiąca upadek sił jego stał się coraz widoczniejszy. — Gorączki nie ma, przytomność zupełna, ale i niemoc zupełna. To gaśnięcie

sił w oczach naszych rozdziera nam serca i najsmutniejsze obudza obawy.

Wczoraj sam zażądał spowiedzi, odbył ją z całego życia przed szanownym naszym plebanem, księdzem prałatem Baranowskim, przyjął komunię św. wobec nas wszystkich i zgromadzonych domowników, i uczuł się pokrzepionym na duchu.

List twój czcigodny panie wczoraj odebraliśmy, dziś go przeczytałem ojcu, słuchał go z zajęciem; nim nadszedł, często wspominał, że nadejdzie, i oczekiwał go. Choć przytomność umysłu jego nie odstępuje, zdaje się jednak spostrzegać i w nim niejakie osłabienie, brakuje czasem słów do wyrażenia myśli. Czułem potrzebę serca przemówienia do ciebie szanowny panie mój wyrazem naszej boleści, pewnym będąc najserdeczniejszego współczucia. Westchnij do Boga za chorym; modlitwa z tak zacnej, prawej i wiarą przejętej duszy, a razem tak przyjaznej, nie może jak tylko stać się pomocną. Proszę i szanownego ks. rektora o westchnienie przy mszy św. za chorym starcem. Jeżeli Bóg da polepszenie, nieomieszkam podzielić się tą pociechą.“

Polepszenie już nie nastąpiło.

Ostatnie wyrazy drżącą ręką starca nakreślone odebrał ten, który na to najbardziej zasłużył, jako dozgonny przyjaciel i druh w pisarskim zawodzie. Choćby tylko jako jeden z najpiękniejszych pomników starodawnej, kilkudziesięcioletniej, najczystszej przyjaźni do grobowej deski, zasługiwała powyższa korespondencya, żeby ją uratować z niepamięci.

Nowy-Świat na scenie.

(**Stryj Sam**, komedya w czterech aktach przez p. W. Sardou, przedstawiona po raz pierwszy na scenie krakowskiej 6go maja 1875 r.).

Kiedy indywidualność, która, w pewnem miejscu cieszyła się przez jakiś czas znaczeniem, lub błyszczała, a przynajmniej dość około siebie wywoływała wrzawy, raptem czy to ze zbiegu okoliczności, czy w skutku ciosów zmiennej fortuny, czy z własnej winy zdyskredytuje się, stanie się niemożliwą lub opuścić musi stanowisko wyjątkowe, które zajmowała; zwykle wtedy szuka w innem miejscu, w innem mieście, lub w innej okolicy pola do popisu, do wzięcia do powodzeń. Rzadko bardzo bowiem taka indywidualność ruchliwa, umie się cofnąć, schronić w zacisze lub uprawiać kapustę, buraki albo ziemniaki. Nie udało mi się tu, uda mi się lepiej tam, jest zwykłem takich organizacyi godłem. Coś takiego, acz nieco odmiennego, stało się za naszych czasów z demokracyą; nie żeby sama i z własnej woli odegrała powyższą rolę czy komedyę, ale jej wielbiciele, jej zwolennicy, ci, których przyciągała lub łudziła coś podobnego odegrali z nią, przed poważną i myślącą publicznością.

Kiedy demokracya mieszczańska za panowania Ludwika Filipa okazała dowodnie całe swoje niedołęstwo, kiedy popadła w rzecz najstraszniejszą, szczególniej we Francyi, w śmieszność, kiedy nareszcie w jednym dniu wyrzuconą została przez

okno, a jej przedstawiciel zamiast, jak Ludwik XVI wstąpić na giliotynę, wsiadł po prostu do dorożki i ku brzegom Anglii popłynął, mówiono, że to nie była prawdziwa demokracya, że jedynie mieszczaństwo zastąpiło szlachtę, że dwór, król, cały aparat monarchiczny stał na przeszkodzie rozwinięciu się rzeczywistych, prawdziwych sił demokracyi, że tem samem nie można po tej próbie sądzić o jej zdolności uszczęśliwienia ludzkości, ani wątpić o jej wielkiem posłannictwie, o jej przeznaczeniu odrodzenia Europy. Przyszedł rok 1848. Rewolucya dość łatwo i lekko pozbyła się tych wszystkich więzów, które nibyto krępowały siły żywotne i prawdziwy rozwój demokracyi. Na raz, w jednej chwili, jakby za pomocą jakiego czaru, z wyjątkiem w Rosyi, rewolucya zwyciężyła wszędzie, demokracya zapanowała wszechwładnie, we Francyi pod ulubioną jej formą, bo republikancką. Nic więc nie stało już na zawadzie rozwinięciu owej potężnej, olbrzymiej siły demokracyi, nic nie przeszkadzało jej uszczęśliwić ludzkość, okazać całą swoją wyższość i przekonać najbardziej niedowierzających. Tymczasem, krótkie wprawdzie było panowanie rozbujałej i upojonej zwycięstwem demokracyi, ale dostateczne ażeby je najzupełniej zdyskredytować w oczach ludzi myślących. Po paru latach bachanalii nawet wcale nie zabawnej, bachanalii odbytej bez werwy i wesołości; podczas której wyszło na jaw wszystko co płaskie, bezrozumne, nieuczciwe, niedorzeczne w nowożytnej demokracyi, ludzkość instyktownie, ale z entuzyazmem zrzuciła się w objęcia reakcyi, szukając tam nie tyle może zbawienia, jak odpoczynku, nie tyle prawdziwej wielkości, jak schronienia przed absurdami i szaleństwami rewolucyi i demokracyi. Wtedyto, poważne umysły nie mogące rozstać się z przekonaniem, że demokracya, tak dobrze jak inne formy rządu, ma swoje wielkie zalety, nie mogąc zapomnieć, że nie raz w dziejach demokracye stworzyły wielkie rzeczy i podniosły się do wzniosłych czynów, a pozostając pod wrażeniem i urokiem starożytnych demokracyj, zrozpaczone najświeższem fiaskiem demokracyi w Europie na całej linii a nie chcąc przyznać — czy też zrozumieć, że inne zupełnie były warunki społeczne i polityczne w świecie starożytnym, a inne są w świecie chrześciańskim, usiłowały ratować teoryę demokratyczną tym aforyzmem, iż to czego byliśmy świadkami w Europie nie było

wcale demokracyą, lecz jej parodyą, i że prawdziwe i rzeczywiste warunki społeczeństwa demokratycznego za naszych czasów znajdują się tylko w Stanach Zjednoczony Północnej Ameryki. W loicznem zaś następstwie założenia swojego owe poważne umysły i owi myśliciele z dobrą wiarą — o tych bowiem mówimy tu tylko — skłonni byli do idealizowania spółeczeństwa amerykańskiego, przedstawiania go w najróżowszych kolorach, jednem słowem, że użyjemy tu obcego wyrażenia, do *szwermowania* dla niego i stawiania go nam jako przykład, jako, jeżeli nie doskonałość, to przecież wzór nietylko godny naśladowania, ale który koniecznie należało nam naśladować, chcąc istnieć i rozwijać się w nowych warunkach bytu świata, nieuniknienie i niezbędnie demokratycznych. Mniej więcej mówiono nam: spółeczeństwo dzisiejsze nie może być innem, jak tylko demokratycznem, prawda ta nie podlega dyskusyi, jeżeli zaś chcecie, aby było szczęśliwem, możliwem i trwałem, zapatrujcie się na Amerykę i tam uczcie się jak żyć demokratycznie, tam jest prawdziwa demokracya, a tam nietylko nie jest straszną, ale przeciwnie pod wielu względami wielce powabną, uczciwą i mądrą. Pomiędzy wieloma tak rozumującemi, a raczej tak do naszych przekonań i sumień przemawiającemi najwybitniejsze zajął miejsce, człowiek pełen wyższych uspobień, obdarzony niepospolitym talentem i tem poczuciem artystycznem, które nawet w polityce było mu igłą magnesową, i które czyniło, iż ze wstrętem i boleścią odwracał się od wszystkiego co było płaskiem, pospolitem lub nikczemnem. Pan de Tocqueville oburzony i rozpaczony smutną a nie raz ohydną rolą jaką demokracya odgrywała w Europie, ratować ją chciał i usiłował w własnem sumieniu i w przekonaniu uczciwych ludzi, zwracając się smętnie i jakby z tęsknotą do wybrzeży północnej Ameryki i szukał tam może nie tyle argumentów za demokracyą jak zabijających dowodów przeciw europejskiej demokracyi.

Temu to zwierciadłu mądrości demokratycznej, temu jej wzorowi nad wzorami, temu wzniosłemu i budującemu przykładowi udanej, i szanującej się demokracyi, pozwolił nam przypatrzeć się p Sardou na scenie w obrazie czteroaktowym noszącym przysłowiowy amerykański tytuł: *Stryj Sam (l'Oncle Sam);* a uczynił to w sposób tak dowcipny, a szczególniej

wesoły, że każdy nieuprzedzony przyznać musi jego utworowi, że nietylko jest wiernym obrazem, ale prawdziwą komedyą, bo jeżeli niezaprzeczenie pierwszym i głównym warunkiem komedyi, jest żeby była zabawną, to *Stryj Sam* w wysokim stopniu posiada ten warunek tę *conditio sine qua non.* Nie ma aktu, nie ma sceny, żeby publiczność nie wybuchała głośną wesołością, nie ma jednej rozmowy, któraby nie zawierała w sobie coś takiego co wywoływać musi jeżeli już nie ów rozgłośny śmiech teatralny, to przecie uśmiech ludzi inteligentnych i wykwintniejszych usposobień. Ale lepiej od tego wszystkiego *Stryj Sam* wywołuje to, co już jest najwymówniejszym dowodem talentu z jakim jest napisany, wywołuje gniew i to nie tyle Amerykanów, jak w ogóle gniew demokratów, nie wyjmując i demokratów krakowskich, którym przedstawienie tego utworu na tutejszej scenie, miało jak nas zapewniano, nieco krwi napsuć. Tak więc przypadł w krótkim przeciągu czasu p. Sardou nie mały a podwójny zaszczyt, oburzenia dzisiejszych liberałów *Rabagasem* i zgniewania dzisiejszych demokratów *Stryjem Samem.* Wystarcza to, aby przekonać, że jeżeli p. Sardou jest przeważnie zręcznym tylko pisarzem scenicznym, to na gruncie politycznm mógłby wyrosnąć na znakomitego komedyopisarza, gdyby nie był sterał śwoich sił w tysiącu drobnostkach i sztuczkach kulisowych i gdyby był więcej nieco zważał na swoją prawdziwą i rzetelną sławę autorską, jak na chwilowe powodzenia, hałaśliwe poklaski i wielkie zyski. Bądź co bądź, ile razy dotknie on przedmiotu politycznego rośnie on nijako, staje się pełnym werwy, nawet głębszym a to dla tego, że wtedy daje się porwać przedmiotowi, i wypowiada nie to, co może mu pozyskać powodzenie, poklask, popularność, ale to co jest w głębi jego przekonania i sumienia. Prawda tryska z jego komedyj politycznych, a prawda ma zawsze wielki niezaprzeczony urok ma niezwykłą siłę i sekret drogocenny rozgniewania poczuwających się do winy. Właśnie ta satyra nietylko obyczajów amerykańskich, ale w ogóle praktyki demokratycznej stanowi wyższość i misterność *Stryja Sama*, a nadaje tej komedyi szersze znaczenie.

Dotknięcie dotkliwe demokracyi wystawieniem w prawdziwem świetle jej wzoru i ideału, jest pomysłem głębszym, jest zręczną reperkursją Nowego Świata na nasz stary, Ame-

ryki na Europę. W tem tkwi znaczenie polityczne komedyi i to sprawia, że na przekór twierdzeniu jej przeciwników, nie jest ona sztuką wyłącznie amerykańską, nie zrozumiałą dla nas, nie mogącą nas zająć. Przeciwnie zajmuje ona nas żywo wszystkich, zwolenników i przeciwników, i zrozumianą jest wybornie, skoro niektórych gniewa, tych zapewne, którzy pomimo amerykańskiego kolorytu jej typów poznają się w niej i tylko z pewnym złym humorem twierdzą, że to zwierciadło zbyt powiększające i karykaturyzujące. Przesadził! przesadził! wołają ci, którzy bądź co bądź ratowaćby chcieli honor demokracyi, jakby swój własny. My tego przyznać nie możemy, ale chociażby i tak było, komuż przejętemu przedmiotem i piszącemu pod wpływem przekonania, nie zdarzyło się szczególniej na scenie, przesadzić. Zaprawdę mały to grzech a tylko zła wiara lub obrażona namiętność może z niego zrobić zbrodnię. Wolę przesadę wprawdzie, niż miękkie obchodzenie się ze złem, a to pewna, że zawsze i nieodmiennie prawda znajdująca się w przesadzie, jest w stosunku prostym do gniewu, który ta przesada wywołuje. Niejednokrotnie, mieliśmy tego wymowne przykłady! A zwykle po gniewie wywołanym przesadą prawdy, następuje opamiętanie się i chociażby częściowa poprawa. Czy *Stryj Sam* wywołujący oburzenie demokratów, posłuży do takiej poprawy, to jest, czy pomoże do rozczarowania o doskonałości społeczeństwa amerykańskiego? Nie śmiemy stanowczo twierdzić, a przecież zdaje nam się, że posłuży nieco, już dla tego samego, że patrząc się na to społeczeństwo na scenie, niepodobna nie smiać się szczerze a to, z czego się śmiałeś, chociażby gniewając się na siebie samego za ten śmiech, nie może ci pozostać ideałem. Czy, aby dojść do tego rezultatu p. Sardou, powiedział nam coś nowego o Ameryce, czy odkrył jakie nieznane strony życia i społeczeństwa Nowego-Świata? Bynajmniej. Nie znajdziesz w *Stryju Samie* nic takiego, o czembyś nie wiedział już czy to z różnych opisów podróży, czy to z romansów amerykańskich, czy z przeglądów wychodzących w tym kraju, czy z opowiadań powracających z za Atlantyku. Wszystko to znane, wiadome i to do tego stopnia, że jakiś autor podróży po Ameryce poczuł się w prawie wytoczenia p. Sardou procesu o plagiat. Ale wszystkie te obyczajowe szczegóły i szczególiki zręcznie są uchwycone,

dowcipnie i zabawnie złączone w wiązankę wesołego śmiechu, okraszoną ironią dobrego smaku i tym gallijskim persiflage, który częściej zabija niż rani. Że te wszystkie szczegóły o społeczeństwie Nowego Świata, znane nam od dawna przybierają tak wybitne kształty w *Stryju Samie*, to już nietylko wina werwy autora, ale to właściwość sceny, która wszystkiemu co przedstawia nadaje wypukłe formy. Że zaś *Stryj Sam* chciałem powiedzieć *Nowy Świat* na scenie wydaje się tak śmiesznym, tak szalonym, tak poprostu niemożliwym, tak przykrym i bolesnym dla demokratów, to zaiste ani nasza, ani autora wina; przyczyna tego jest głębsza, tkwi ona w fałszywej i błędnej podstawie społeczeństwa, które komedya przedstawia. Że ideał demokracyi tak śmiesznie wygląda na fotograficznem szkle sceny, czyż to wina autora czy modelu? Dla tego, że to przykre, że nieprzyjemne, widzieć uwiecznione rysy drogiej lecz nader szpetnej osoby, czyż słusznem jest oskarżać fotografa lub portrecistę, że je wiernie oddał. Logiczniejby było zrobić mu proces, iż rozpowszechnia tę fotografię lub ten portret. Ale w gniewie zaprzeczać mu znajomości rzeczy, twierdzić że nie ma podobieństwa, że rysy zbyt grube i że szpetność oszpecił, to dopiero przesada i niesprawiedliwość, to oznaka jak czują się słabemi ci, którzy będąc dotkniętemi, nie znajdują innego środka zemsty, jak brutalne twierdzenie, że komedya nic nie warta i bez talentu napisana. Dla czego my, którzy nie jesteśmy ani demokratami ani liberałami, nie postępujemy w ten sposób z komedyami, w których z talentem wyśmiane jest wszystko co czcić i kochać nauczyliśmy się? Dla tej prostej przyczyny, że się dla tych wszystkich rzeczy, tych komedyj, choćby najznakomitszych, nie obawiamy!

Główny zarzut czyniony *Stryjowi Samowi* przesady, zdaniem naszem sam z siebie upada, czynić go bowiem mogą tylko ci, którzy nie byli w Ameryce, lub którzy zgoła jej nie znają, bo nigdy nie zastanawiali się nad nią poważnie i inaczej jak nad ideałem. — Odejmmy tej komedyi, to co jest koniecznością sceniczną, a powtarzamy, że zostanie się tylko to, co wszyscy wiemy o Ameryce i co sami Amerykanie o niej opowiadają najswobodniej a czasem nawet z pewną dumą, zostanie się to, co każdy, który był w Stanach Zjednoczonych widząc, pytał się: jak takie społeczeństwo istnieć może? I rzecz

godna uwagi, to samo zapytanie zadawali niektórzy z tych, którzy *Stryja Sama* widzieli na scenie krakowskiej, tylko, że w nieco odmiennej formie, bo mówili: jakżeby takie społeczeństwo istnieć mogło? Przyznajemy, że pytanie to jest najzupełniej słuszne, lecz ci, którzy je zadawali, nie domyślali się, iż ono było najwyższą pochwałą komedyi. Cóż bowiem chcecie panowie, takie właśnie społeczeństwo jest i istnieje, takie same zupełnie jak go widzicie w *Stryju Samie*, jak? to inne pytanie, ale istnieje. Prawda, że z naszymi europejskimi zastarzałemi wyobrażeniami, pomimo radykalnej ich reformy przez liberalizm i bezwyznaniowość trudno jeszcze dzięki Bogu, zrozumieć jak takie społeczeństwo istnieć może, ale tego istnienia, jest jedna, jedyna przyczyna stwierdzona przez wszystkich podróżnych, myślicieli i badaczy spraw ludzkich, przyczyna prosta i uderzająca swoją prawdą, a którą ostatni bar. Habuer tak jasno wyłożył — przestrzeń niezaludniona. Wielkie, niesłychane przestrzenie niezaludnione jeszcze, oto dotychczasowy ratunek Ameryki, oto dla czego społeczeństwo *Stryja Sam* istnieć może i istnieje, pomimo swego układu i swoich nie do uwierzenia szalonych obyczajów. Tam wszystkie waryactwa i aberacye są jeszcze możliwe, bo jest dość dla nich miejsca, komu zbyt źle, ten usuwa się i znajduje wolną ziemię, ziemię, którą zająć może i uprawiać, a na której nowe szaleństwa robić mu wolno. Ale niechby to społeczeństwo *Stryja Sáma* zechciało żywcem przenieść się do naszej Europy, gdzie każdemu ciasno, gdzie walka o kawałek ziemi jest walką o byt, a mielibyśmy niewątpliwie co tydzień jednę komunę. Lecz nie mylę się, uczucie konserwacyi własnej z powodu braku przestrzeni nie pozwoli nigdy Europie dojść do ostatnich granic życia amerykańskiego, a ile razy zbyt do nich zbliżać się będzie, znajdzie się zawsze jakiś książę kanclerz, który dla ratowania jej, da jej schronienie w swoich żelaznych ramionach. Twierdzę zaś, że od chwili jak Ameryka zaludnioną zostanie i tam społeczeństwo *Stryja Sama* stanie się niemożliwem, teraz zaś jest i jeszcze długo pozostanie takiem, jakiem widzieliśmy je na scenie.

Widzieliśmy je w całej jego świetności i w całej jego nagości, widzieliśmy do czego dochodzi towarzystwo ludzkie, gdy nie opiera się na żadnej zasadzie moralnej na żadnej re-

ligii, na żadnej wiarze, gdy puszczone jest samopas, i rządzi się tylko swojemi zachciankami, namiętnościami, apetytami; i doprawdy nie małego trzeba było talentu, aby ten obraz był tylko zabawnym a nie obrzydliwym; bo co chwila obawiać się tam można, aby zamiast wolnego człowieka w wolnem państwie nie ujrzeć wolne zwierze w wolnem stadzie. Wielka wprawa sceniczna, wielka znajomość desek teatralnych, dopomogły zręcznemu autorowi, do ominięcia tego szkopułu. Tylko tuzinkowa krytyka zarzucić może tej komedyi brak akcyi. Od pierwszej chwili, od pierwszych rozmów znajdujemy się w pełnem działaniu, a rzecz godna uwagi, sama ekspozycya jest tu już akcią, i wprowadza nas od razu w rdzeń przedmiotu. Główna bowiem górująca nad wszystkiem myśl komedyi, społeczeństwo amerykańskie, przedstawia się nam od pierwszej chwili nie w rozumowaniach, lecz w czynach, nie w gadaninie ale w całej galeryi wybornych typów wprowadzonych na scenę i przeprowadzonych na niej szybko i żwawo. Autor, miał oryginalny pomysł — który zgrozą by może przejął naszych klassyków zmarłych z niezachwianą wiarą w trzy jedności — umieszczenia pierwszego aktu na statku parowym płynącym do Nowego-Jorku. Ułatwiło mu to znacznie zapoznanie publiczności z tą *menażeryą*, jak mówi margrabia do Zochemor. Zgodnie z założeniem komedyi p. Sardou zamiast szukać cieni i półcieni w świecie amerykańskim, zamiast przeciwstawić ujemnym jego stronom, jego możliwe dodatnie strony, użył do tego przeciwstawienia naszego starego europejskiego świata; być może, że tym sposobem popełnił lekką niesprawiedliwość, względem Nowego-świata, ale niewątpliwie cel i myśl główna komedyi, wymagały tego, a ten sposób przedstawienia rzeczy spotęgował jej zajęcie dla Europejczyków, i wlał w komedyę dużo życia. Dziwnie, zabawnie, wygląda ten nasz biedny stary świat, sterany, zepsuty, zdemoralizowany, skołatany rewolucyami, obałamucony najfałszywszemi teoryami w roli mentora i cenzora, wobec owego Nowego-Świata, i sam nie mało musi być zdziwiony, widząc, że jest na świecie, coś gorszego, coś więcej rozpasanego, obałamuconego i zdemoralizowanego jak on. A przecież, tak jest, a komedya pana Sardou wykłada to dobitnie i wymownie; ten nasz stary świat na potępienie którego nie mamy dość wyrazów w swej dzisiejszej

strasznej prostracyi, jeszcze bądź co bądź więcej wart, od tego nowego, stawianego mu jako przykład, jako wzór, jako ideał! Pod względem scenicznym, wybornem jest to zetknięcie się tych dwóch światów, a na tutejszej scenie uwydatnionem ono zostało doskonale, grą w dwóch kobiecych rolach, przedstawiających te dwa światy pani Bellamy (p. Hoffmann) i Miss Sarah (panna Urbanowicz). Treść komedyi i cała jej akcya polega na ciągłem ścieraniu się tych dwóch światów, a ścieranie to sprowadza, wzajemne niespodzianki, zadziwienia i komplikacye wysoce komiczne. O niczem tu autor nie zapomniał i wszystko wyzyskał; począwszy od nie zdejmowania kapelusza przed damą, i kładzenia nóg na stole, przedstawia on życie amerykańskie w najdrobniejszych szczegółach i z najważniejszych najdonioślejszych jego stron, reklama i *flirt,* przekupstwo w wyborach, anarchia w pojęciach religijnych i uszlachetnienie bankructwa, równość i wolność połączone z brutalnem obchodzeniem się z murzynami, demokracya i przepadanie za tytułami, chciwość i próżność, brak pojęć moralnych i hipokryzia, pomiatanie sztuką, a ubóstwianie głośnych artystów, gonienie za mężem jako za dobrym interesem, przesada w emancypacyi panien, wszystko to przesuwa się przed naszemi oczami aż do strzałów rewolwerowych o których nie zapomniał p. Sardou. A wszystko to przesuwa się żwawo, spiesznie zawsze zabawnie, czasem popchnięte na scenę głębszą ironią; jak n. p. te słowa pani Bellamy „Règle générale içi!... quand un vice veut ses coudées franches il se fait Religion, et tout le monde l'accepte!“ I Baumarchais nie powstydziłby się tego. A jeżeli znów idzie o zabawne przedstawienie rzeczy, to mamy wybornie wyłożoną cąłą teoryę owego *duchowego małżeństwa* praktykowaną na scenie przez wielebnego Jedediah Buxton, albo sektę *wolnej miłości* której Kamilla jest apostołką jak się o tem dowiadujemy z ust miss Sarah.

SARAH.

C'est l'oratrice la plus forte de la secte des *Amours libres*

ROCHEMORE (étonné).

Des Amours?

SARAH.

Libres!... Ah vous n'avez rien de tel chez vous!... c'est une secte religieuse très-florissante aujourd, hui... qui proteste contre l'immoralité du mariage.

ROCHEMORE.

Et qui... s'en passe!...

SARAH.

Absolument.

FRANCIS.

Ah! mais alors pardon ... nous avons ça aussi à Paris . . .

SARAH.

Bah!

FRANCIS.

Des dames qui se passent... parfaitement.

SARAH.

Ah!... oui! — ce que vous appelez...

ROCHEMORE.

Des *Cocottes* . . . pardon!

SARAH.

Fi donc!... Quelle comparaison.! Dieu merci, iln'ya point de telles femmes chez nous.

ROCHEMOR ET FRAMÉS.

Bah!

SARAH.

Pas une!...

ROCHEMORE.

Cependant, pour peu que cette jolie dame pratique...

SARAH.

Ah! mais c'est bien différent.! C'est sa religion.

A pułkownik Nataniel, który wyśmiewa się z Europy i z jej *starego* słońca, i który z dumą republikancką mówi do dwóch młodych Francuzów „Le pays de la liberté ceci, monsieur, celui de l'égalité. Vos yeux n'y seront plus affligés par la vue de ces barrières vermoulues, de ces divisions de castes, de races... je flanque à l'eau ce sale nègre s'il continue à se fourre, comme ça dans mes jambes...“ Żywcem uchwycone, równość wolność i braterstwo złapane na gorącym uczynku! Mogli-

byśmy w ten sposób, przytoczyć nie jedno zdanie, nie jedną uwagę błyszczącą dowcipem a uderzającą w sam środek kwestyi. Drugi akt niemniej obrazowo od pierwszego, przedstawia rodzinne życie Nowego-Świata w hotelu i zapoznaje nas z owym specyficznie amerykańskim wynalazkiem *flirtu* tak obrzydliwego swoją czystością, tak oburzającego elegancką profanacyą najwznioślejszego i najsilniejszego uczucia ludzkiego — miłości a tak ostatecznie nie moralnie, moralnego, tego *flirtu*, który nawet w innych językach nie ma nazwy a w którym skupia się i cała poezia i cały romans wolnego i demokratycznego Nowego-Świata. W tych dwóch aktach widzimy w jego czynach i dziełach ten Nowy-Świat, a doprawdy z niemałym zdziwieniem patrzaliśmy jak tutejsi aktorzy umieli go typowo, charakterystycznie i dobitnie przedstawić; a między niemi typ nad typami, ów Stryj Sam (p. Szymański) „qui va toujours de l'avant, l'oeil fixé sur ces trois phares: — la fortune pour but!... l'adresse pour moyen!... et pour morale!... le succès!" doskonale zostal uchwycony i oddany począwszy od charakteryzacyj przypominającej portrety prezydenta Lincolna, aż do tych znamion i odcieni odróżniających wybornie tę postać od zwykle przedstawianych na scenie, francuskich episierów. Cały ten świat amerykański przedstawia, i niejako przeprowadza na kawecanie przed publicznością, dość rozumna, nieco może gadatliwa, ale pełna zdrowego tak nazwanego u nas chłopskiego rozsądku paryżanka pani Bellamy (p. Hofmann). Jej dowcip zaostrza się na widok szaleństw i szalbierstw Nowego-Świata a jej chłopski rozum oburza się, paryski zaś spryt chroni ją przed zamachami Jankesów na jej kieszeń i ostateczne zapewnia jej zwycięstwo. Na tutejszej scenie, postać ta nie łatwa jak każda rola którą dopiero stworzyć trzeba, odegraną została z werwą, humorem i dowcipem, który uwydatnił jeszcze bardziej srogą porażkę, poniesioną tego wieczora przez Nowy-Świat. Pani Bellamy *con amore* przedstawiała publiczności te nieocenione typy demokratyczne i z prawdziwą nie kłamaną przyjemnością wyprowadziła w pole zacnych republikanów chcących ją koniecznie oszukać. Pani Bellamy której rola przeważnie jest konwersacyjną, miała tę tak powszechną u francuskich artystek, tak rzadką u polskich zaletę, że umiała swobodnie, naturalnie, i po prostu rozmawiać od

początku do końca. Jeżeli pod względem głównej społeczno-politycznej myśli komedyi, dwa pierwsze akta są wyczerpujące, to w trzecim spotykamy się z prawdziwą niespodzianką, bo z ślicznym, uroczym romansem, najlepszym może na jaki się kiedykolwiek zdobył p. Sardou, bo opartym na psychologicznej prawdzie, a w swej treści szlachetnym, w swej formie zajmującym i wzruszającym.

Patrząc się na kobiecy świat amerykański, margrabia de Rochemore, czyni zwrot do rodziny starego świata i w niej widzi schronienie dla tych dwóch czy trzech cnót, które mu jeszcze pozostały. Pełen to prawdy zwrot, ale czy nie zapóźny? a w każdym razie dość dziwnie brzmiący w komedyi p. Sardou, który nie szczędził temu schronieniu ciosów w *Serafinie*, *Andrei, Starych kawalerach* i w tylu ustępach swoich utworów zgodnych z tym duchem czasu, który niezbyt sprzyja tej rodzinie, którą w amerykańskiej sztuce i wobec hotelowego życia Nowego-Świata broni on dziś tak wymownie. W samej rzeczy ten rodzinny dom Stryja Sama w hotelu, wygląda raczej na wykwintną, pełną przepychu stajnię! Samiczkę przedstawia tam ładna, sprytna, elegancka miss Sarah, wychowana przez stryja Sama i nawskróś przesiąknięta jego wyobrażeniami i pojęciami o życiu. Celem jej *nie dobre ale korzystne* małżeństwo; głównym środkiem dojścia do niego *flirtation*. Polowała ona już nieraz na męża, ale natrafiała tylko na drobną zwierzynę, gdy wtem spotyka się na owym parowcu pierwszego aktu z grubszą nieco zwierzyną, z Francuzem, podróżującym dla swojej przyjemności, z margrabią de Rochemore; już na dźwięk tytułu rozjaśnia się jej republikancka dusza, a na wiadomość, że margrabia jest bogatym, bardzo bogatym, jej kupieckie serce zapłonęło żądzą bez granic. Zastawia więc na niego sidła, uczucie miłosne oczywiście nie ma tu nic do czynienia, to poprostu polowanie na męża, na korzystne małżeństwo. — Zwykła nasza europejska kokieterya jest dla Amerykanki zbyt łagodnym środkiem, odrazu przechodzi więc do *flirtation*, do owych forsownych, a przecież niebezpiecznych tylko dla zwierzyny a nie dla myśliwca łowów. Miss Sarah, jako typ amerykańskiej panny, jest zupełnie pewna siebie, wie czego chce i „wie że można iść aż dotąd, a że nie należy iść aż tam,“ wie doskonale, że jej żadne nie grozi niebezpieczeń-

stwo i że ofiarą może tu być tylko francuzki margrabia. Zbadawszy dokładnie jego pozycyę socyalną, stan majątku, i dowiedziawszy się, kto jest jego bankierem w Nowym Jorku, rozpoczyna więc *flirtation* i doprowadza ją do ostatnich granic, i to tak dalece, że rozmarzony, to znów zdziwiony margrabia, pyta się sam, czy nie pomylił się i nie wszedł do innego domu, a nie do mieszkania zamożnego obywatela Nowego Jorku. Dzieje się to w akcie drugim, który kończy się wyjazdem miss Sarhy z margrabią sam na sam do Saragota; należy to bowiem do programu doskonałej i zupełnej *flirtation*. Lecz w trzecim akcie raptem zmienia się postać rzeczy, miss Sarah wraca sama, ale już nie ta sama, złamana, przerażona, zawstydzona, zalewa się łzami. Co się stało? O dziwo, o rzecz niepojęta! ta niemal bezczelna dziewczyna, ta zimna i wyrachowana kokietka, tak pewna siebie — zakochała się, uczuła, że nie jest już panią położenia, i uznając się za pobitą, uciekła. Tak, uciekła, ale z gorącą, z szaloną miłością w sercu, z miłością, o której to dziecko kramarskie nie miało dotąd pojęcia. Cała teorya *flirtation* przepadła, serce przemówiło. Śliczny to zaprawdę romans, delikatna i pełna prawdy myśl, to zwycięztwo natury ludzkiej nad demokratyczno-kupieckiemi uczuciami panieńskiemi Nowego Świata, ta przemiana potworka w dziewicę pod promieniami miłości, to jednem słowem przeistoczenie samiczki w kobietę. Przeistoczenia tego dokonała na tutejszej scenie z prawdziwym talentem i wdziękiem panna Urbanowicz. Nieraz w tem pismie zwracano uwagę na tę artystkę, a dziś zapisać można, że się nie pomylono, wróżąc jej prawdziwie artystyczną przyszłość na scenie. Z każdym dniem panna Urbanowicz staje się artystką bardziej seryo, a trudna rola Sarhy utwierdzić tylko mogła w tem przekonaniu. Ażeby oddać tak dobrze, tak misternie tę dwulicową rolę, nietylko trzeba talentu — na którym nigdy nie zbywało pannie Urbanowicz — trzeba jeszcze pracy i studyów, które są niezbędnemi przewodnikami na tej drodze. Znana z wdzięku i dowcipu, a zbyt wcześnie zgasła pani mawiała o pewnym świetnym zdobywcy serc kobiecych, iż jego urok polegał na tem, że miał spojrzenie djabła, a uśmiech dziecka. Panna Urbanowicz umiała także połączyć te dwa sprzeczne żywioły w roli Sarhy, demonizm *flirtation* i urok dziewicy po raz pierwszy szczerze i serdecznie kochającej.

Nic więc nie brakuje komedyi p. Sardou, bo ma w sobie i myśl głębszą i romans zajmujący a prawdziwy, jest i zabawną i nauczającą, podoba się wszystkim, gniewa niektórych. Nie potrzebujemy dodawać, że pomimo tych zalet, nie jest wcale ani doskonałą, ani arcydziełem. Arcydziełem nie jest, bo brak jej wyrobienia, wypracowania, bo styl i wyrażenia nie grzeszą wcale akademicką poprawnością, bo nareszcie, i to najważniejsze, jestto komedya typów a nie charakterów. Jak oddawna zbyt słynny p. Jakób Offenbach kradnie siebie samego, tak samo p. Wiktoryn Sardou okradać się zaczyna. W *Stryju Samie* jest dużo rzeczy zabranych *Rodzinie Benoiton* i *Rabagasowi*. Przesady w odfotografowaniu społeczeństwa demokratyczno-republikańskiego Nowego-Świata, powtarzamy, dopatrzeć się nie możemy; być jednak może, iż niektóre kwestye i sprawy zbyt pobieżnie, lekko i lekkomyślnie są poruszone, zbyt dorywczo rozwiązane. Żeby nic a nic nie było dobrego w Ameryce, to zapewne niepodobne. *Stryj Sam*, to obraz życia Nowego Jorku, Waschingtonu i innych miast wielkich, to wierne przedstawienie, do czego doszło to społeczeństwo pod wpływem racyonalizmu i wolności bez granic dla wszystkich szaleństw i aberracyj, a braku wszelkiego hamulca i reguły, do czego doszło i do czego zmierza powoli, gdy braknie mu przestrzeni, tej jedynej jego racyi bytu w tych szalonych i anormalnych warunkach. Ale obok tego ekscentrycznego, wstrętnego i gorszącego społeczeństwa, wyrosły przecież i wyrastają w Nowym-Świecie żywioły, które staną się może kiedyś zbawczemi dla niego. Są to wprawdzie dopiero błyszczące punkta na ciemnem niebie Nowego-Świata, ale może dla słuszności należało je przynajmniej wskazać.

Niech jednak te niezaprzeczone dobrodziejstwa wolności amerykańskiej zbytecznie nas nie łudzą. Nie są one tyle następstwem demokratyczno-republikanckich instytucyj, jak raczej natury rzeczy i stosunków Nowego-Świata. Ale piękne dni już minęły, spółeczeństwo to zamiast być ciemiężonem, z kolei ciemiężyć zaczęło, zamiast się wydoskonalać, psuje się i wychyliwszy do dna spiesznie i gwałtownie czarę rzekomego postępu, znajduje się moralnie na krawędzi przepaści, a jeżeli przepaść ta nie pochłonęła je jeszcze, to jedynie dla tego że ogromna przestrzeń, że wielkie obszary ziemi stoją jeszcze między tem spó-

łeczeństwem, a tą przepaścią. Tego wyjątkowego lecz nie mniej przerażającego stanu rzeczy dla zdrowego rózsądku, wierny obraz przedstawia *Stryj Sam*, a zaiste w tym obrazie nie ma dla nas nic do naśladowania, nic do pozazdroszczenia, jest tylko może ostatnia nauka czego się nam wypada wystrzegać; a ten Nowy Świat, tak wiernie przedstawiony na scenie, ideałem lub ziemią obiecaną pozostanie zawsze tylko dla awanturników.

Wilhelm.

Przegląd Literacki.

Mszał Rzymski obejmujący nabożeństwo na cały rok, dla użytku wiernych, z łacińskiego przetłumaczony. Kraków w drukarni L. Paszkowskiego 1874).

Zdarza się nam podobno po raz pierwszy zalecać czytelnikom naszym książkę do Nabożeństwa. Wiemy dobrze że to do nas nienależy, książki takie mają innych sędziów: to też nie zalecamy, nienamawiamy, ale za siebie tylko pozwalamy sobie powiedzieć, że książka świeżo ogłoszona wydaje nam się tak potrzebną, tak niezbędną, że aż pojąć trudno dla czego ona dopiero teraz jest ogłoszoną. Drukuje się u nas tych książek do Nabożeństwa dużo, są różne niesmacznemi tytułami opatrzone *Ciche Łzy* i *Czyste Westchnienia* (wiodące ród swój zapewne w prostej linii od *Heroiny Chrześciańskiej mężnie do królestwa Niebieskiego szturmującej*), w nich *godzinek*, *koronek* i *strzelistych affektów* co nie miara, a żaden polski wydawca książki do Nabożeństwa nie pomyślał dotąd o tem, żeby nieszczęśliwy człowiek, który idzie na Mszę do kościoła mógł się modlić na tej samej Mszy, którą ksiądz odprawia? albo jeżeli co bardzo rzadko, znajdzie się Msza w texcie łacińskim w polskim przekładzie, to z pewnością nie ma nietylko tych modlitw mszalnych, które się stosownie do dnia zmieniają, ale nawet nie ma *Listów* i *Ewanielij*, a o innych kościelnych obrządkach już ani mówić. Kiedy nawet *Ołtarzyk Polski* najulubieńszy, najbardziej rozpowszechniony i niezawodnie najlepszy z naszych książek, *Ołtarzyk* wydany przez ludzi tak doświadczonych, w rzeczach kościelnych rozumiejących tak dobrze co w książce takiej mieścić się powinno, *Ołtarzyk* nie ma Mszy? Tak jest, ma

jakąś, napisaną przez kogoś, może bardzo ładnie, ale na miłość boską kiedy idę na Mszę, to się chcę modlić na Mszy prawdziwej, kościelnej, powszechnej, a nie na takiej którą ktoś wymyślił może bardzo dobrze i stosownie do uczuć swego serca, potrzeb swojej duszy, ale która wszystkich uczuć i wszystkich potrzeb każdego bez wyjątku serca, ducha, położenia, tak jak tamta nie obejmuje. *Godzinki* i modlitwy do różnych świętych mogą być bardzo dobre, ale nie każdy i nie zawsze modli się do ś. Onufrego albo do ś. Agaty, nawet Różaniec nie każdy odmawia, a na Mszę idzie każdy — i nikt dotąd jej w polskiej książce nie miał, nikt nie miał tego zbioru modlitw przez kościół ułożonych i jak on powszechnych, najprostszych najgłębszych ze wszystkich, tak, że kto raz do nich przywykł już na innych prawie modlić się nie potrafi. Msza i należące do niej kollekty, sekrety, postkomunie, Ewanielie i Listy, czyli *Mszał*, tłomaczony na wszystkie języki świata, służy oddawna za książkę do nabożeństwa katolikom wszelkiego plemienia i języka: na jeden tylko język dotąd przełożonym nie był, to jest na polski! Dzięki Bogu i staraniu kilku gorliwych brak ten jest usunięty, i mamy przecie w własnym języku książkę do nabożeństwa, od której lepszej nigdy nie było nie będzie i być nie może. Jedyna jej niedogodność, to że jest trochę duża, ale obejmując nabożeństwo kościelne na cały rok, rzecz prosta że zupełnie kieszonkową być nie mogła. Wydanie zresztą bardzo staranne, bardzo ładne.

St. Tarnowski.

Philosophie de la révolution française par Paul Janet. Paris, 1875, 18mo, str. 173. Germer Baillière.

Pan Paweł Janet należy do rzędu owych zgrabych pisarzy, którzy po przez ostrokoły najniebezpieczniejszych pytań przeskakują zgrabnie, nie rozdzierając ani miętosząc nawet salonowego ubrania. Uduchowniony o tyle, żeby nie być branym za materyalistę, stroniący zarówno od nagiego realizmu, jak od płaskiej demokracyi, nielubiący ani przesady ani fanatyzmu, wyrobił sobie instynkt bardzo cenny, żeby nie zrywać nigdy zupełnie ze szkołą żadną ani stronnictwem, a zaspakajać przedewszystkiem potrzeby szczęśliwej mierności. Ma i u nas nawet niemały zastęp czytelników, co mnie razem z ważnością dotkniętego przezeń przedmiotu skłoniło do sprawozdania o jego ostatniej pracy.

Sam tytuł pokazuje, że trudno było wybrać przedmiot ciekawszy lub bardziej obchodzący społeczność dziewiętnastego stulecia. Należy bowiem rewolucya r. 1789 do tych wypadków

dziejowych, z któremi liczyć się muszą wszyscy, tak wrogowie jak zwolennicy. Zaczyna się od niej era nowa, postępu i szczęścia społecznego, jak mówią jedni, a zniszczenia oświaty chrześcijańskiej i powrotu do pogańskiego barbarzyństwa, jak twierdzą drudzy. Pierwsi nic w niej nie widzą złego, drudzy nic dobrego. Gdy jednak pierwszych zapytamy, co ta rewolucya zdziałała dobrego, słyszymy odpowiedzi najsprzeczniejsze, a nawet najgorętsi jej wielbiciele chętnie ujmują jej wartości, może dlatego, aby tem bardziej wynosić własne robótki rewolucyjne. W takim stanie rzeczy godzi się doprawdy zgłębić wartość „nieśmiertelnych zasad“ r. 1789, aby przekonać się, czy akcye rewolucyjne mogą się spodziewać jeszcze jeśli nie dywidendy, to zwrotu przynajmniej choćby części wkładowego kapitału.

Pan Janct podjął się wesoło tej mozolnej pracy i pod szumnym tytułem „filozofii rewolucyi francuskiej“ zebrał sądy najpoważniejszych myślicieli, (do których przymięszał niestety wielu miernych), tak o głównym jej celu, jak następstwach społecznych. Tak sobie poczynając, właściwie nie napisał filozofii rewolucyi, jeno historyą jej filozofii, boć nie tłumaczy dziejowego dramatu, ani określa jego miejsca w rozwoju ludzkości. Dał więc nieskończenie mniej, aniżeli tytuł zapowiada; ale mimo to zasługuje na wdzięczność naszą, bo samo poruszenie kwestyi może być dla zdolniejszego filozofa pochopem do nowej dyagnozy i do wyroku nowego, czy obecne rewolucyjne przesilenie społeczności europejskiej jest przesileniem do życia, czy też do śmierci.

Autor nie mógł dokonać tej pracy, bo na to musiałby połączyć w swej osobie i zmysł historyczny Tacyta i geniusz filozoficzny Tomasza z Akwinu i doświadczenie również wielkiego w swoim zawodzie Richelieu'go. Nie zastanawiając się nad tem, czy autor posiada pierwsze dwa przymioty, powiem z góry, że trzeciego z pewnością nie ma, co pokazuje się z rady politycznej, którą daje w końcu swej książki: Na ciężki bowiem zarzut, że po 85 latach ciągłych politycznych konwulsyj rewolucya nic nie potrafiła utworzyć stałego we Francyi, a zatem musi być zła sama w sobie, odpowiada z wdzięcznym uśmiechem, że to ztąd pochodzi, iż nie spróbowano środka najważniejszego, który niewątpliwie da wypadek pomyślny. Środkiem tym, szukanym dotąd przez wszystkich nadaremnie, jest *samorząd;* oto sekret cały. Dotąd rządziły Francyą stronnictwa, a wydzierając ją sobie, nie dozwoliły dojść do pokoju i stateczności; ale niech tylko ucichną stronnictwa, niech Francya silną dłonią uchwyci lejce swego samorządu, a rewolucyjny eksperyment uda się niewątpliwie. Ta rada nie jest ani rozsądną, ani polityczną. Bo naród nie jest bożkiem homerycznym, stojącym nad walką stronnictw, nad powszednością jednostek. Naród i stronnictwa jedno są, pierwszy bez drugich być nie

może. Najniższy objaw życia przyrodzonego, roślinna wegetacya, jest wypadkiem dwóch sił sobie przeciwnych, żywiącej i niszczącej. Im zaś doskonalsze są formy życia, tem większa wnich rozmaitość składników, tem zaciętsza walka. Czyżby tylko naród, ten najmisterniejszy objaw na ziemi, miał być pozbawionym tej ożywczej walki. Zdarza się czasem, że przycicha, że nawet ustaje zupełnie, ale wtedy i narodu już nie masz — zamienił się w kupę niesamoistnych atomów. Na wschodzie nie masz właściwie narodów, są tylko despotycznie rządzone tłumy niewolników. W Egipcie teraźniejszy wicekról przed kilku laty, małpujący Europę, utworzył coś nakształt parlamentu, ale o dziwy! nikt nie chciał zasiąść po lewej stronie. Parlament bez lewicy to rzecz bardzo dogodna, ale tak nudna, że despota nad Nilem groźbami i przemocą jaką taką sam utworzył lewicę. Szczęśliwy Egipt! bez stronnictw, bez opozycyi! Już cztery tysiące lat bez nich wegetuje; ale czyż rozdarta i prawie konająca Francya zazdrości mu tej bezmyślnej i beznamiętnej wegetacyi?

Ważne zrobił autor spostrzeżenie, że w sądach o rewolucyi francuzkiej zaczyna się od roku 1848 zwrot stanowczy. Przedtem sama jej pamięć wywoływała czy to niesłychane oburzenie, czy to entuzyazm bez miary; po tym roku wszyscy na nią zapatrują się spokojniej i sądzą rozważniej: przeciwnicy, z rosnącą pogardą, jakoby rok 1848 był rokiem bankructwa ducha rewolucyjnego, a przyjaciele ze wzmagającem się powątpiewaniem, jakoby już nie dowierzali skuteczności jej zasad. To zwątpienie bardzo jest pocieszającą oznaką i słusznie w niem autor widzi samobójstwo polityki przewrotu.

Nie mogę przechodzić po kolei celniejsze twierdzenia, jakie autor zebrał o przedmiocie swej rozprawy, jednego Sybela podniosę mimochodem, sławnego profesora w Bonnie i poplecznika bismarkowskiej polityki w niemieckim parlamencie. Wydaje się sędzią bardzo kompetentnym, bo napisał historyę tejże rewolucyi francuzkiej i wiele do niej nowego ogłosił lub zużytkował materyału. Otóż twierdzi on, zdaniem mojem, bardzo słusznie, że rewolucya ta nie ma w sobie nic rodzimego, nic oryginalnego, lecz jest tylko ostatnim, koniecznym wynikiem niemieckiej reformacyi. Sąd taki oburza naturalnie p. Janeta, pragnącego swej ojczyznie zabezpieczyć tę sławę, ale nadaremnie oczywistej opiera się prawdzie. Boć słynne *prawa człowieka,* z któremi rewolucya żywot swój rozpoczęła, są takim samym buntem przeciw Bogu, kościołowi i przeszłości narodowej, jak wystąpienie Lutra; co więcej, są tylko zastosowaniem jego głównych zasad do życia politycznego i społecznego.

Ale znowu grubo się myli p. Sybel, przypisując wszelkie złe rewolucyi francuzkiej, np. wprowadzenie ducha zaborczego do polityki europejskiej. Doprawdy Niemcem być trzeba, aby

bez rumieńca wstydu i bez zakrztuszenia się tak wielkie kłamstwo wypowiedzieć. Nie Robespierre dopiero, ani Napoleon wygnali moralność z polityki, ani oni pierwsi podbijali ludy ościenne. Czynili to przed nimi wszyscy bohaterowie luteryanizmu, a cynizm Maurycego Saskiego, Mansfelda, Bernarda Wejmarskiego, Gustawa Adolfa, Fryderyka W. daleko więcej oburza nasze uczucie moralne, niż występki Jakubinów lub rewolucyjnego dyrektoryum. Ztąd wypływa niezbędna konkluzya, że według pojęć moralnych p. Sybela, co dla Francuzów jest zbrodnią, dla własnych jego rodaków było cnotą, zupełnie jak bogowie greccy bezkarnie popełniają najohydniejsze występki, ale śmiertelnikom popełniać ich nie pozwalają.

Babylone et la Chaldée par M. Joachim Ménaut. — Paris, 1875. Maisonneuve. 8vo, VIII i 303.

Studya wschodnie coraz więcej pamiątek wyrywają toni zapomnienia, a robią tak zadziwiające odkrycia, tak szybko po sobie następujące, że zepsuta i rozniecierpliwiona nasza ciekawość, niepomna na mozoły, na przeszkody wszelkiego rodzaju, pomawia uczonych o zbytnią powolność w przeglądaniu tych odległych krain. Ale ciekawość zazwyczaj jest niesprawiedliwą, a w tym razie nawet jej naprzykrzenie się oryentalistom jest grubą niewdzięcznością. Bo wydali już tyle świetnych owoców, że powinny na długo zaspakajać najtrudniejsze wymagania. Pomijam filologię sanskrycką, chlubę naszego wieku; pomijam Egipt, który przez półtora tysiąca lat drzemał wraz z sfinksami swemi w tajemniczem milczeniu, a teraz nareszcie, dzięki niezmordowanej pracy młodszego Champollion'a, Chabas'a, Brugsch'a, Lepsius'a, Ebers'a i najznakomitszego z nich wszystkich Mariette-Bey'a, tysiącami zwojów papyrusowych lub napisów wygłasza nam Faraonów czyny, mędrców swoich myśli, przygody kochanków, trudy biurokratów, kłopoty powszednie zwyczajnych śmiertelników — pomijam to wszystko, aby całą uwagę czytelników zwrócić na wielką jasność historyczną, która z każdym rokiem bardziej rozpromienia brzegi Eufratu i Tygrysu, oraz starodawne zwaliska Niniwy i Babilonu. Dzisiaj panowanie Salmanassara II z dziewiątego wieku, lub Tiglath-Pileser'a IV i Sargon'a z ósmego wieku jest nam dokładniej znane w szczegółach chronologicznych, geograficznych lub wojennych od dziejów Aleksandra macedońskiego lub nawet Hanibala, dzięki niezliczonym napisom królów owych, a zwłaszcza bibliotece i archiwom Asurbanipala (667—626), odkrytym w ruinach jego pałacu niedaleko Mosul przez Layard'a, a będącym niewyczerpanem źródłem do dziejów nietylko politycznych, lecz i literackich i religijno-społecznych wszystkich

niemal ludów, mieszkających między Eufratem a morzem śródziemnem. Napół bajeczne postacie Gygesa lidyjskiego, perskiego Dejokesa i egipskiego Psammetycha przybrały wyraziste historyczne rysy. Opowiadania biblijne o najdawniejszych dziejach ludzkiego rodu, np. o potopie lub wieży Babelskiej, zostały w najdrobniejszych szczegółach potwierdzone; prorocy żydowscy okazali się jak najlepiej zapoznani nietylko z oświatą chaldejską, lecz i tajnemi sprężynami polityki wschodniej.

Jednakże same mnóstwo wydobytych dokumentów, trudności towarzyszące ich tłumaczeniu, nareszcie materyalna ich nieprzystępność naprowadziły p. Ménaut na myśl bardzo praktyczną, żeby ułożyć roczniki assyryjskie ze samych domowych źródeł, bez względu na odmienność lub sprzeczność źródeł zagranicznych; pomysł bardzo dogodny dla niefilologów, pragnących dojść do systematycznego poglądu na całą historyę Niniwy, od Ninusa do Sardanapala. Teraz tenże autor oddał tę samą przysługę historyi babilońskiej, tem bardziej zasługującą na uznanie, im większe miał trudności do zwalczenia. Łatwo mu bowiem było ułożyć dzieje asyryjskie ze samych źródeł domowych. W braku nawet biblioteki nadwornej i rządowych archiwów, można je wysnuć z nieprzejrzanych napisów, okrążających rzeźby po ścianach pałacowych, a z któremi większość czytelników spotkała się w Paryżu lub w Londynie. W zwaliskach Babilonu nie odkryto ani bibliotek, ani archiwów, ani nawet rzeźb podobnych do niniwskich, gdyż wielkie stolice, które wzniosły się później w ich sąsiedztwie i z ich cegieł, z łatwo tłumaczącą się dzikością zużytkowały płyty marmurowe, okrywające mury ceglane zewnątrz i wewnątrz, bo w gliniastej dolinie, daleko od gór, były nadzwyczaj cennnym budowlanym materyałem.

Zachowało się wprawdzie wiele cylindrów z gliny, okrytych pismem klinowem, poczęści zakopanych w fundamentach pałaców i świątyń, ale prawie wszystkie są treści architektonicznej. Brak więc domowych źródeł musiał autor zastąpić wyjątkami z napisów assyryjskich, ile razy odnosiły się do dziejów Babilonu, przyczem niejedną próżnię zostawił wypełnioną. Ztąd praca jego podobna do dobrze zachowanego szkieletu, do którego nie wynaleziono jeszcze kosteczek drugorzędnych, ale też nie brakuje żadnej ważniejszej, tak iż gdyby nawet z czasem udało się oblec nanowo szkielet w ciało i skórę, główny zarys typowy już się nie odmieni. Gdyby autor był katolikiem, byłby niewątpliwie zużytkował lepiej pismo św.; ale jak większa część assyrologów, tak i p. Ménaut uważa je za książkę czysto ludzką, potrzebującą raczej potwierdzenia, aniżeli mogącą je udzielać. Tem większe wtedy robią wrażenie ostatnie wyniki, do których dochodzi, że nigdzie księgi święte mówiące o Babilonie, o bogach jego i królach, z prawdą się

nie mijają. Zdaje się ztąd, że assyrologów przeznaczeniem mimowolnem jest wykazać prawdomówność objawienia nawet na polu historycznem, i to im nazawsze wysokie miejsce w studyach biblijnych zapewnia. W tym też celu zwróciłem uwagę na tę najnowszą pracę, ułatwiającą bardzo zrozumienie chronologii żydowskiej, a odkrywającą w oświacie chaldejskiej wiele nowych, przedtem nieznanych rysów. Przechodząc bowiem pierwsze losy Mezopotanii, ojczyzny Abrahama, autor potrąciwszy o podanie potopu, ogłosił wyjątek z olbrzymiej epopei, odnoszący się do tego wypadku, przecinającego niejako na dwoje dzieje Adamowego pokolenia. Wprawdzie już Berosus był nam zachował to samo podanie o wytraceniu wszech ludzi z wyjątkiem jednej rodziny, ale ułamki jego mieszczące się w ojcach kościoła, a głównie w Euzebiuszu, uchodziły za niepewne, jeśli nie za sfałszowane na korzyść chrześciańskich apologetów. Otóż dziwnie zawstydził się racyonalizm, gdy wśród tysiąca tabliczek glinianych z biblioteki Azurbanipala odkryto kilka stronnic wspaniałej epopei, opiewającej chwalebne czyny Isdubara. Isdubar, niby wschodni Herkules, pół bóg pół człowiek, zachorowawszy niebezpiecznie, wybiera się po radę do ostatniego króla, co panował przed potopem. Znalazłszy go śpiącym nad ujściem Eufratu, pyta przebudzonego, jakim fortelem zdobył sobie nieśmiertelność. Wtedy Xisuthrus, tak się zowie król przedpotopowy, opowiada mu historyę wielkiej powodzi, wypisaną na jedenastej tablicy 280 wierszami. Przebieg potopu mniej więcej ten sam, co w pierwszej księdze Mojżesza, z licznemi jednak nieprawdopodobnemi lub zmyślonemi dodatkami i z całą hierarchią bogów wschodnich, z których najwyższy dziwną zamianą nazywa się Nouah, w pamięć biblijnego Noego. Układem i ozdobami poemat ukazuje się daleko późniejszym od opowiadania biblijnego, i ma się do niego zupełnie, jak mitologia do nagiej prawdy. Przepisany w wieku siódmym przed naszą erą dla króla Asurbanipala, jak świadczą podpisy na tabliczkach: „własność Asurbanipala, króla ludów, króla ziemi Assur,“ jest on najciekawszym i najmniej może oczekiwanym zabytkiem literackim, bo razem z drugim urywkiem tejże epopei ze „stąpieniem do piekieł bogini Istar“ zbija fałszywe przypuszczenie, że Semici nie mieli epopei, nie mając potrzebnych do niej przymiotów duchowych. Dzisiaj po odkryciu tak ważnych ułamków nieznanej przedtem literatury, i w tym punkcie, jak w tylu innych, historyozofia zmuszoną została do cofnięcia swoich przedwczesnych wyroków.

Rzym 20 maja.

Dr. P.

Rozprawy i sprawozdania wydziału historyczno filozoficznego akademii umiejętności. Tom II. W Krakonie, w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego r. 1875 w 8ce, str. 395. Dodatku str. XVI.

Z rozpraw mieszczą się w tomie II: Dra Fryderyka Zolla, o pojęciu zobowiązania z szczególnem uwzględnieniem nowej teoryi Brinza; Dra Antoniego Małeckiego, karta z dziejów uniwersytetu krakowskiego; Dra Władysława Wisłockiego, kodeks pilźnieński ortylów magdeburskich; Dra Jozafata Zielonackiego, zastosowanie ustaw pod względem czasu; Aleksandra Semkowicza, krytyczny rozbiór dziewiątej księgi Jana Długosza „Historyi polskiej." W dodatku są sprawozdania z posiedzeń.

Rozprawie Dra Antoniego Małeckiego z powodu że i szerokie koło publiczności interesować będzie, poświęcimy słów kilka, inne rozprawy dla ich specyalności zostawiamy rozbiorowi pism specyalnych.

Sobór konstancyjski zwołany w r. 1414, a zakończony w r. 1418, wielki w kościele uczynił przewrot, przyjmując za zasadę, że sobór powszechny wyższym jest nad papieża. Uchwała ta stanęła bez przyczynienia się papieża, była więc z gruntu rewolucyjną i prawom kanonicznym przeciwną. Wyszły z tego zgromadzenia papież Marcin V nigdy specyalnie tej doktryny nie aprobował, ani publicznie przeciwko niej nie występował. Miał w tem biernem zachowaniu się swojem pewną racyę osobistą. Sobór od czasu ucieczki z niego Jana XXIII był nielegalny, wszystkie odtąd na nim zapadłe uchwały i czynności nie miały kanonicznej podstawy, zatem i sam wybór Marcina V do tej kategoryi należał.

Następca Marcina Eugeniusza IV zwołał w r. 1430 sobór do Bazylei, delegaci kapituł i uniwersytetów, mianowicie ci ostatni jechali tam pod wpływem doktryny wyższości soboru nad papieżem, przeciwnie Ojciec święty zasady tej nie uznawał i uznawać nie mógł, bowiem nie soborowi ale następcy Piotra powierzył Chrystus władzę nad swoim kościołem. W takim stanie usposobień scysya była nieunikniona.

Ponieważ sobór bazylejski przejęty był cały duchem soboru konstancyjskiego, papież chcąc go mieć bliżej siebie nakazał mu przenieść się do Ferary, przemawiały za tą miejscowością i inne względy; Grecy, którzy domagali się powrotu do unii z kościołem, upraszali aby dla ułatwienia im ciężarów podróży, sobór odbywał się we Włoszech, dokąd było im bliżej. Dobro kościoła wymagało żądaniom Greków zadośćuczynić. Na bulę papiezką nakazującą przeniesienie się soborów do Ferrary, znaczniejsza część prałatów i duchowieństwa

odpowiedziała posłuszeństwem i udała się na miejsce wskazane, mniejszość natomiast, składająca się przeważnie tylko z delegatów uniwersytetów, zawyrokowała suzpenzyę papieża. Równocześnie więc odbywały się dwa sobory, jeden w Bazylei, drugi w Ferrarze. Na sprawę unii kościoła greckiego z Rzymem schyzma ta najgorszy wpływ wywarła. W Ferrarze Grecy stawili się licznie, oprócz Marka z Efezu, wszyscy biskupi greccy byli pojednawczo usposobieni. Nie trudno też było Eugeniuszowi sprawę unii przywieść do skutku we Florencyi, dokąd się sobór przenieść był zmuszony z powodu grasującego powietrza w Ferrarze. Akt unii podpisany został 6 lipca roku 1439. Że unia nie przyjęła się wszędzie, to głównie wina odszczepieńców bazylijskich. Nie chętni unii zaczęli powątpiewać, czy akt ten jest legalny, kiedy Ojciec św. z jedną częścią soboru uważającą się za stojącą wyżej nad papieżem zostaje w otwartej wojnie; która część soboru reprezentuje kościół? zapytywali stronnicy Marka. Czy warto, mówili, łączyć się z kościołem, w którego łonie panuje zamęt i anarchia. Na domiar złego, zgromadzenie bazylejskie przystąpiło w cztery tygodnie niespełna po podpisaniu aktu unii do obrania nowego papieża. Był nim Feliks V z panującego sabaudzkiego domu. Że unia wśrod takich okoliczności na niczem spełznąć musiała, to widocznem. Prof. Małacki na te okoliczności nie zwraca uwagi, przyczynę schyzmy bazylejskiej zdaje się składać na Eugeniusza, nawet unię uważa za manewr, aby wielkiem dziełem olśnić Europę i zawstydzić Bazylejczyków. Akademicy krakowscy brali udział we wszystkich czynnościach bazylejskich, a więc i w obraniu antypapy Feliksa V. z czynności tych nie możemy się ani cieszyć, ani szczycić. Poszli oni za prądem ówczesnej liberalnej opinji, na której poklask i uczone ciała są wrażliwe, czem ani Polsce ani kościołowi usługi nie oddali. Sami też z tego powodu na zmartwienia i nieprzyjemności narażeni byli.

W r. 1447 zmarł Eugeniusz, następca jego Mikołaj V przywrócił ład w kościele; antypapa Feliks abdykował na jego korzyść, szyzma raz na zawsze została zakończona. Feliks upierał się z początku przy swojej godności i nie pierwszy ją złożył, dopóki go wszyscy stronnicy nie opuścili. Najdłużej wytrwali przy nim akademicy krakowscy, dopiero gdy się przekonali, że inne uniwersytety oświadczyły się już za Mikołajem, zagrożeni oprócz tego przez króla Kazimierza Jagiellończyka utratą beneficyów, uznali Mikołaja głową kościoła. To zachowanie się akademików polskich podczas soboru bazylejskiego i po jego zamknięciu, stanowi wątek opowiadania prof. Małeckiego. Na jeden jeszcze ustęp tego opowiadania wypada nam odpowiedzieć. Autor przysłanie kapelusza kardynalskiego Zbigniewowi Oleśnickiemu przez Mikołaja V czyni zależnem od układu, jaki stanął między Feliksem i Mikołajem: że ten osta-

tni wszystkie czynności pierwszego zaaprobuje, owoż ponieważ Feliks V zaraz po swojem obraniu przysłał kapelusze kardynalskie aż dwom na raz prałatom polskim: Zbigniewowi Oleśnickiemu biskupowi krakowskiemu i Wincentemu Kotowi prymasowi, w duchu więc tej umowy postąpił Mikołaj przysyłając Zbigniewowi powtórnie oznakę tej wysokiej godności kościelnej, zapewnie powiada autor, byłby także przysłał kapelusz i Wincentemu gdyby ten był jeszcze przy życiu.

Tak się naszem zdaniem rzecz nie miała. Feliks V uczynił Zbigniewa kardynałem z tytułem świętej Anastazyi, byłby mu zatem Mikołaj tytuł ten potwierdził i na tem koniec, kapelusza mu przysyłać nie potrzebował, bo go już miał, ale właśnie że mu przysłał kapelusz z tytułem świętej Pryski, jest dla nas dowodem, że czynności antypapy Mikołaj V nie legalizował wszędzie, a w tem wypadku jak najmniej. Tytuł świętej Pryski nadany został Oleśnickiemu jeszcze przez papieża Eugeniusza, tylko kapelusz nie był mu doręczony. Przysłanie kapelusza przez Mikołaja było tylko dopełnieniem czynności Eugeniusza, a nie aprobatą faktów dokonanych przez Feliksa.

To widoczne: że Mikołaj tak długo ociągał się z wręczeniem kapelusza, bo chciał ukarać biskupa za nie dosyć stanowcze zachowanie się w czasie schyzmy bolońskiej. Jeżeli zatem przesłanie kapelusza Zbigniewowi ma być dowodem układu między Mikołajem a Feliksem, chociaż układ taki częściowo naprawdę istniał, jakkolwiek nie odnośnie do kościoła polskiego, a układ znowu ma rozgrzeszyć Akademików za ich zachowanie się w czasie soboru, to nie powiemy, żeby to zdanie zostało dopiętem.

Przechadzka na około ziemi odbyta w r. 1871 przez barona Hübnera byłego ambasadora i byłego ministra austryackiego. Tomów III. Warszawa drukiem i nakładem Józefa Ungra r. 1874—1876.

Pierwszy tom mieści w sobie opis Zjednoczonych Stanów, drugi Japonii, trzeci Chin.

Europa posiada sporą już bibliotekę opisów podróży po Ameryce, Japonii i Chinach. Mamy o tych krajach relacye urzędowe, sprawozdania turystów rozmaitej narodowości, wykształcenia i przekonania; nie ma objawu życia społecznego, religijnego, politycznego, któryby nie był dotknięty z rozmaitego stanowiska widzenia, przez licznych poprzedników barona Hübnera, a jednak dzieło jego nie traci nic na tem, ani co do formy, ani co do treści. Baron Hübner obserwator poważny, głęboki, nieuprzedzony, mąż stanu z wszechstronnem wykształceniem, którego poglądu nie zamąca żadna doktryna

z góry powzięta, człowiek prawy i uczciwy, daje czytelnikowi wszelką możliwą rękojmię, że spostrzeżenia jego i wnioski na największą zasługują wiarę. Nie ma on ani przesądu ani namiętności, natomiast zna wszystkie sprężyny jakie poruszają ludźmi i państwami, bada jakie sprężyny są dzisiaj w ruchu, jakie mogą być użyte w najbliższym czasie, i jakie one skutki wywierają na teraźniejszość i jakie wywrą na przyszłość. Wszystko co opowiada jest nadzwyczaj ciekawe i pouczające. Tom I. traktujący o Ameryce najbardziej nas zajął, nie powiemy, żeby inne tomy traktowane były więcej po macoszemu, ale z natury rzeczy, Ameryka wywierająca co raz więcej wpływu na stosunki nasze handlowe i polityczne, europejskiego czytelnika najbardziej zajmować musi.

Ameryka ze swojemi instytucyami i obyczajami jest dla jednych przedmiotem religijnej czci, dla drugich nieudanego wstrętu, według jednych rozwiązała ona wszystkie kwestye, które trapią Europę i są przyczyną peryodycznie powtarzającego się w niej wstrząśnienia, według drugich niczego nie rozwiązała, a zgotowała sobie tylko przyszłość brzemienną w katastrofy wszelkiego rodzaju. Według jednych Amerykanin jest symbolem męzkiej energii, przedsiębiorczości, poczciwości i moralności, według drugich to uosobiona przewrotność, oszustwo, reklama i rozwiozłość. Istotnie dla Europejczyka, jeżeli nie jest gwałtownie wyrzucony z ojczyzny i pozbawiony stosunków, w jakich się rodził i wychował, pobyt w Ameryce musi się wydać nieznośnym. Pani Olimpia Audouard Francuska z usposobieniem ekscentrycznym, a więc najwięcej jeszcze nadającem się do usposobienia amerykańskiego, w opisie swoim podróży po Północnej Ameryce uskutecznionym pod wpływem uprzedzenia na korzyść Amerykanów, podaje fakta będące tam na porządku dziennym, które nas tylko zgrozą i wstrętem przejąć mogą. W Ameryce życie familijne prawie nie istnieje, ojciec nie troszczy się o dzieci, dzieci stanowią o swojej przyszłości bez odwołania się do rodziców, panna wychodzi z domu, idzie do kawalera swego, i ztamtąd donosi, że tego a tego dnia, tego a tego miesiąca, zawarła ugodę małżeńską z tym a tym; jeżeli kawaler nie dotrzymał słowa, czatuje na niego z rewolwerem w ręku i strzela do niego jak do dzikiego zwierza. Sądy zwykle pannie przyznają słuszność, uwalniając ją od wszelkiej odpowiedzialności. Uszanowanie dla starszych jest tam rzeczą nieznaną. W hotelu jeżeli się ktoś niecierpliwi, że nie został dosyć szybko usłużonym, wyrzucają mu po prostu rzeczy jego na ulicę i wypraszają z domu. To samo robią fiakry jeżeli się czują obrażeni, wyrzucają podróżnego na środek ulicy, w śród największej słoty, a płacić trzeba za cały kurs, chociażby fiaker dopiero z miejsca ruszył; odwołanie się do policyi i sądu na nic się nie przyda. W Ameryce nie ma

upadłych kobiet, ale są religie zasadzające swój kult na wszeteczności i niemoralności wszelkiego rodzaju. Osobie należącej do tej religii nie można powiedzieć, że jest niemoralną, ona spełnia tylko powinności przez religię jej, nakazane. Dziennikarze pozwalają tam sobie wycieczek osobistych, wobec których dziennikarstwo wiedeńskie i lwowskie jest wzorem przyzwoitości, dobrego smaku i tonu. Prawda, że zato publicznie na ulicach okładani bywają kijami i pięściami, ona sama znała takiego, któremu kijami żebra i nogi połamano, zawsze ani napaść ani odpór do naszych wyobrażeń nie przystają. Baron Hübner kwestyi tych niedotyka, on przeważnie trudni się kwestyami politycznymi, w ogólności tylko naznacza: że jakkolwiek ktoś już jest przygotowany na niespodzianki w Ameryce, rzeczywistość przejdzie wszelkie jego oczekiwania, z tych słów krótkich a węzłowatych można poznać, że Europejczyk przyzwyczajony do życia spokojnego, normalnego, nad którego bezpieczeństwem, a nawet wygodami czuwa państwo, w śród stosunków amerykańskich nie powie: żeby mu tam było, tak jak u siebie. Przyszłość Ameryki nie bardo różowo przedstwia się naszemu podróżnikowi. Kwestya Stanów Południowych nie jest jeszcze ostatecznie załatwioną. Południowcy marzą ciągle o oderwania się od północy, przy pierwszej sposobności wojna domowa z całą zgrozą i namiętnością się odnowi — nad brzegami Pacyfiku żywioł angielski ginie wśród imigracyi innych narodowości, mianowicie Irlandczyków i Chinczyków, każdy rok zmienia ten stosunek na niekorzyść Anglików, może przyjść chwila, że te Stany zawyrokują legalnie oderwanie się od rządu centralnego, jeżeliby to nastąpiło równocześnie z oświadczeniem południa, Stany Zjednoczone mogą być narażone na istotne niebezpieczeństwo. Nawet nad Adlantykiem, gdzie według barona Hübnera Anglicy są w przeważnej większości, gdzie ich narodowości jako takiej nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, odzywają się głosy, że dzisiejszy stan rzeczy długo utrzymać się nie da: „Nam potrzeba dyktatora“ mówią co raz głośniej ludzie majętniejsi i tacy, którzy zwiedzili Europę.

Na jednę jeszcze okoliczność zwraca uwagę bar. Hübner: Wszystkie wielkie miasta nadadlantyckie mieszczą w sobie dużo żywiołu niemieckiego. Żywioł ten przed ostatnią wojną francuzką nie myślał o niczem innem jak o robieniu interesów, amalgował się prędko z Anglikami, tak, że już dzieci przybyszów na niemieckie pytania rodziców odpowiadały po angielsku. Po zwycięztwach pruskich koloniści niemieccy hardo się noszą, dla czego mamy się wyrzekać narodowości, mówią, zakładają szkoły niemieckie dla dzieci, w których języka angielskiego uczą się tylko jako obcego języka, jako środka do porozumienia się z angielskimi współziomkami. Zważywszy wielką coroczną imigracyę z Niemiec do Ameryki, pretensye

i arogancyę z dnia na dzień rosnące u synów Germanii, objaw ten może nawet nad brzegami Atlantyku zaniepokoić rząd washingtoński. W każdym razie rozrost Niemiec i przewaga ich w Europie nie może, a przynajmniej niepowinien bardzo radować Anglo-Amerykanów.

Podziwiają w Europie sposób praktykowania za Adtlantykiem wolności sumienia, ta kwestya zdawała się być już tam stanowczo rozstrzygnięta, i to nie jest prawdą. Mormoni gwałtem wygnani ze stanu New-York, zkartaczowani w stanie Illinois, musieli się przenieść do stanu Utah, w okolice Słonego jeziora, przed nimi prawie przez nikogo nie znane. Puszcze przemienili w piękne ogrody, to ściągnęło w tę okolicę nowych kolonistów nie Mormonów, przeprowadzono przez nią kolej żelazną, a dziś już podnoszą się głosy, aby rząd centralny położył koniec mormonizmowi, zapewnie skończy się na tem, że będą jeszcze raz zmuszeni wyemigrować. Dokąd są jeszcze puszcze niezamieszkałe, każda sekta polityczna, religijna i ekonomiczna może się urządzać według upodobania, nie można jednak powiedzieć, aby się cieszyła opieką prawa, a w miarę, jak tych puszcz braknie, większość będzie narzucała mniejszości swoją wolę i swoje wyobrażenia. Słuszność podobno jest po stronie tych, którzy utrzymują, że przyszłość Ameryki jest wielkim znakiem zapytania. Baron Hübner porównywa Amerykę do energicznego, ale burzliwego młodzieńca, który obiecuje wiele, ale zarówno wielkie wznieca obawy.

Ciekawe szczegóły podaje nam autor o Japonii. Od lat kilku wre tam gorączka reform. Zbliżyć się do Europy obyczajami i instytucyami jest marzeniem dzisiejszych ludzi stanu japońskich, kierujących nawą państwa. W Yeddo założono szkoły zupełnie na wzór europejski, zamyślają nawet alfabet chiński zastąpić łacińskim. Polityczne reformy odbywają się na wielką skalę, wiele ich już dokonano, wiele jest w toku dokonania, a przygotowanych projektów co niemiara. Sziugun dawniejszy władzca świecki upadł, Mikado władzca duchowny objął zarazem władzę świecką z prawa mu przynależną, gdyż sziugunat był tylko uzurpacyą, wiekową wprawdzie, ale zawsze uzurpacyą. Dajmiosy, wielcy książęta lenni utracili swoje przywileje, zamki ich feudalne stoją dzisiaj pustkami, oni sami akomodować się muszą na dworze cesarkim. Coś podobnego zaszło we Francyi za Ludwika XI, a dokonananem zostało przez Richeuliego za Ludwika XIII. Samuraje, rycerze dwuszablowi dawniej znajdujący łatwe i wygodne pomieszczenie na dworach dajmiosów, nie rzadko prowadzących wojny między sobą, dzisiaj zeszli do rzędu prostych dworzan wielkich panów. Złota młodzież stolicy okazuje pogardę dla wszystkiego co swojskie. Ubiera się z europejska. Sam Mikado jeżeli raczy się narodowi pokazać — rzecz przedtem niepraktyko-

wana, aby syn Bogów ukazał się prostym śmiertelnikom—przejeżdża się po ulicach Yeddo w mundurze na pół marynarskim, na pół ambasadorskim. Wiara przewodzców reform w ich skuteczność jest wielka, trzy lata zdaje im się, że wystarczą do zrealizowania ich zamiarów. Kwestya Samurajew najwięcej ich niepokoi, wielu z nich dzisiaj jest bez utrzymania, rząd zamyśla w ten sposób kwestyę rozstrzygnąć: wziąć ich wszystkich na koszt skarbu, przyzając im $\frac{1}{3}$ część dochodu z tego jaki dziś mieć mogli na lat dziesięć, czy to kwestyę ubije, to pytanie, co najwięcej zdaniem naszem odroczy ją na lat 10, a zapominać nie trzeba, że Samuraje to ludzie niesforni, butni, po największej części bez własności osobistej, przekonani o wyższości swojej, świadomi przewagi jaką do niedawna dzierżyli, z takimi ludźmi ciężka sprawa i bogdaj czy się odbędzie rozwiązanie tej kwestyi bez wielkiego wstrząśnienia wewnętrznego. Lud japoński maluje nam autor jako wesoły i dobroduszny, jest on w dzisiejszem swem położeniu szczęśliwym, czy takim zostanie po przeprowadzeniu reform, to także pytanie. Tysiącoletnia jego cywilizacya wyrobiła w nim pewne obyczaje, nawet przesądy, zmieniać je ryczałtowo, może być rzeczą bardzo niebezpieczną, nie znając jednak charakteru i wyobrażeń panujących w tym kraju, nie możemy o tych reformach nic wyrokować, baron Hübner przepędził w Japonii cały miesiąc, on także wyznaje, że skutki reform przewidzieć się nie dadzą. Reformy prowadzą się od roku 1868. Przewódzcy reform nazywają się Sanjo, Iwakura, obaj wielcy panowie i Kido w roku 1868 jeszcze student, ostatniemu przyznaje baron Hübner wielką inteligencyę i energię.

Obyczaje Japończyków mniej nam autor ponętnie maluje. W publicznych oberżach np. przychodzi jakiś kuglarz, który różnokolorowym piaskim rzucanym od ręki na podłogę rysuje rozmaite sceny erotyczne, ale takie, które nawet mężczyzn zarumienić u nas mogą, tam przypatrują im się kobiety rozmaitego stanu i wieku i nietylko ich to nie wstydzi i nie oburza, ale przeciwnie budzi w nich wesołość manifestującą się głośnym śmichem. O teatrze powiada, że to co u nas zaledwie półsłówkami głoszą, w Japonii aktorzy czynem uzmysłowiają widzom. Gdzie takie obyczaje panują, wielkiej energii i bohaterstwa być nie może. Reformatorzy japońscy licząc na tę miękość, my powiedzieć nawet możemy znikczemnienie obyczajów, może mają słuszność, przeprowadzając swoje reformy z całą bezwzględnością.

O ile dobroduszny, szczery, jowialny Japończyk, budzi u nas sympatyę, o tyle, skryty, ponury, podstępny Chińczyk pod piórem nawet tak nieuprzedzonego autora, źle nam się poleca. A dziwny to objaw dla etnografa, krew turańska płynie w żyłach mieszkańców jednego i drugiego państwa, sąsiadują z so-

bą, oddziaływają na siebie moralnie i intelektualnie— zkądże ta różnica? Panom etnografom polecamy zbadanie tej kwestyi, czytelnikom zaś naszym nie dosyć mamy słów na polecenie tego dzieła, które ich zarówno zabawić jako pouczyć może.

L. Powidaj.

Przy studni. W Krakowie. Nakładem księgarni A. Nowoleckiego. W drukarni Leona Łaszkowskiego r: 1874, str. 28 w 8ce.

Broszurkę tę składającą się ledwie z kilkunastu kartek odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. W dziedzinie krytyki jest ona uderzającem zjawiskiem. Nie sympatya lub antypatya do autora, nie polityczne i religijne stanowisko jego, wpływa na sąd recenzenta. Owszem recenzent i autor stają na przeciwnych stanowiskach, co za pokusa do traktowania przedmiotu tendencyjnie, recenzent szczęśliwie uniknął tego szkopułu, on bada przedmiot ze stanowiska sztuki, pojęcia piękna są dla niego jedyną wskazówką w ocenieniu autora i jego dzieła. Przy studni to jedna ze scen dramatu Musseta: *On ne badine pas avec l'amour*, jednego z najznakomitszych utworów tego znakomitego poety. Autor powiada, że wystawiona fotografia tej sceny w handlach księgarskich spowodowała go do napisania tej broszury, ztąd jej tytuł, w istocie nie ta jedna scena, ale cały utwór jest przedmiotem recenzyi, więcej nawet, autor skreśla stanowisko Musseta w literaturze francuzkiej, psychiczne jego usposobienie, stosunek jego muzy do przeszłości i wpływ na współczesnych sobie. Wszędzie trafny sąd, prawdziwe poczucie tego co piękne, dają świadectwo pochlebne o inteligencyi i estetycznym smaku recenzenta. Nacechowanie stanowiska Musseta odznacza się gruntownem studyum, słowa recenzenta o tym poecie przytaczamy w całości: „Musset jest poetą nie młodości ale młodzieży; jego sceptyzm, jego poetyczne rozczarowanie, jego zwątpienie o wszystkiem w dziwnie wymowny sposób przemawiają do młodzieńczej wyobraźni i silniej jak złudzenia, nadzieje, chłodna wiara i liryzm innych! Bo też on jest gorącym w sceptyzmie, namiętnym w rozczarowaniu, pełnym ognia w zwątpieniu i zawsze poetą; ogrzewa ciepłem geniuszu ujemne te czynniki i wlewa w nie duszę poezyi, a zaiste nic bardziej nie rozpala wyobraźni i umysłów, jak negacya rozgrzana promieniami talentu i poezyi. Musset był poetą zwątpienia i rozczarowania, a tem samem musiał się stać poetą i śpiewa z świętym w piersi ogniem o tem, co jest zaprzeczeniem i negacyą ideału i poezyi; on jeszcze wyżej stoi jak to, co opiewa, a mianowicie wyżej jak pokolenie,

które na nim się wychowało, a które żyjąc bez ideału i poezyi, nie czuje ich braku ani nad nim boleje, a śpiewać już nie umie! On był jeszcze poetą, pokolenie, które wychował, już nim nie jest; w tém ogromna, przerażająca różnica! Rozczarowanie nie doprowadza go do realizmu, lecz do tęsknoty za ideałem; on nie wierzy ale cierpi, że wierzyć nie może."

Rozbiór dramatu „Ostrożnie z ogniem„ nie pozostawia nic do życzenia, ocenienie charakterów głównych osób działałających: Kamili i Perdicana, uskutecznione zostało z tak delikatnem cieniowaniem i uwzględnieniem różnych i wielorakich jego objawów na tle próżności światowej, zafarbowanej u Perdicana filozoficznym u Kamili klasztornym kierunkiem wychowania bez miłości jednak i pokory, gdzie samolubstwo i miłość własna przygniata wszelkie uczucie, gdyby się to nawet od czasu do czasu odezwało, że nie profani nawet ale znawcy serc ludzkich wiele z tej recenzyi korzystać mogą. To samo powiedzieć można o ocenieniu jego gry artystów, pani Hofmann i pana Ładnowskiego. Życzylibyśmy sobie bardzo, aby nasze recenzye teatralne zbliżały się do tego sposobu traktowania rzeczy.

L. Powidaj.

Kronika bibliograficzna.

I. TEOLOGIA I PISMA RELIGIJNE.

Koszutski ks. Hilary. Żywoty świętych Dziewic. Oddział II. Pelpin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 226. 12mo. cena 15 sgr.

Krechowiecki X. A. Nauki o męce Pańskiej. Lwów, nakł. Autora. 1875. Str. 247. 8o, cena 1 złr. 30 ct.

Książeczka do nabożeństwa Jadwigi księżniczki polskiej. Według pierwotnego wydania z r. 1823, powtórnie wydał Stan. Motty. Poznań, nakł. Żupański J. K. 1875. Str. 186 i 48. 32mo, cena 2 tal. 15 sgr.

Miesiąc Listopad uświęcony nabożeństwem za dusze zmarłych. Z francuzkiego. Pelplin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 148 8o, cena 10 sgr.

Modlitwy Wacława, zabytek języka polskiego z wieku XV odkryty i skopiowany przez śp. Aleksandra hr. Przeździeckiego, wydał i objaśnił Lucyan Malinowski. Kraków. Druk. Jagiel. 1875, Str. 104. 4to 1. Autograf, cena 2 złr. 50 ct.

Nowodworski X. Michał. Encyklopedya kościelna podług teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego z licznemi jej dopełnieniami przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób. Tom VI od Gabaa do Gyravagi. Warszawa, nakł. Redak Przeglądu Katol. 1875. Str. 606. 8o, cena 15 złp.

Ołtarzyk rzymsko-katolicki czyli zbiór katolickiego nabożeństwa. Lipsk, Druk. Breitkopf Härtl. 1875. Str. 1024. 16mo. Tablic ryt. 47, cena 20 złp.

O Opatrzności Boskiej. Złota książeczka ku pociesze wszystkich zasmuconych i cierpiących. Z francuzkiego. Peplin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 148. 12mo, cena 8 sgr.

Rozmyślania o męce Chrystusa Pana z dodaniem drogi krzyżowej. Warszawa. Druk. Burzyński i Czerniejewski. 1875. Str. 296. 8o, cena 9 złp.

Szpaderski ks. Józef. Kazania. T. I. Kraków, nakł. A. Nowolecki. 1875. Str. 328. 8o, cena za T. I—III 4 złr. 50 c.

Wspomożenie wiernych. Książka do nabożeństwa dla kobiet, poświęcona czci i chwale Najświętszej Maryi Panny przez Autorkę książek: Głos duszy, Ogień miłości Jezusa Chrystusa, Źródło żywota i innych napisana. Warszawa, nakł. Glücksberg M. 1875. Str. 847. Tablic ryt. 2. 12mo, cena 10 złp.

Życie z wiary. Lwów, nakł. Daszkiewicz T. 1875. Str. 56. 32mo, cena 15 ct.

Żywot Błogosławionej Maryanny od Jezusa de Parades y Flores. Z francuzkiego. Pelplin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 54. 8o, cena 4 sgr.

II. HISTORYA I UMIEJĘTNOŚCI POMOCNICZE.

Akta Grodzkie i Ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleks. hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału Krajowego T. V. Lwów. Druk. W. Maniecki. 1875. Str. 293 4to, cena 2 złr. 50 ct.

Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstan. Świdzińskiego. Tom I. zawiera: Korespondencya Jana Karola Chodkiewicza poprzedzone opisem rękopismów z archiwum Radziwiłłowskiego, znajdujących się w Bibliot. Ordyn. Krasińskich połączonej z Muzeum Świdzińskiego. Opracował i opisał Władysław Chomentowski. Warszawa, nakł. Świdzińscy. 1875. Str. 193. 4to, cena 10 złp.

Fabisz X. Paweł Władysław. Opis historyczny kościoła w Ostrowie z dodatkami. Ostrów. Druk. Hoffmann. 1875. Str. 76. 8o, cena 10 sgr.

Hube Romuald. Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV. Wydanie Red. Bibl. Warszawskiej. Warszawa. Druk. Berger J. 1875. Str. 28. 8o, cena 2 złp.

Makuscev Vincentius. Monumenta historica slavorum meridionalium vicinorumque populorum e tabulariis et biblio-

thecis italicis deprompta, collecta atque illustrata a Vincentio Makuscev. T. I. Warszawa. 1874. Str. 559. 8o, cena 20 złp.

Pamiętnik Wawrzyńca hr. Engeströma posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego króla J. Mości Szwedzkiego w Polsce czasu sejmu cztéroletniego, później kanclerza państwa i ministra spraw zagranicznych. Tłumacz. J. I. Kraszewski. Poznań, nakładem Żupańskiego J. K. 1875. Str. 257. 8o, cena 6 m.

Polkowski X. Ignacy Kopernikijana czyli materyały do pism i życia Mikołaja Kopernika. Gniezno, nakł. autora 1875. Str. 358. 8o.

Schlosser F. K. Historya XVIII i XIX wieku do upapku cesarstwa francuzkiego, ze szczególnem uwzględnieniem duchowego rozwoju ludzkości. Tłumaczenie z 5 wydania niemieckiego. Warszawa nakł. Spółka wydawnicza. 1875. Str. 160, cena jednego tomu 6 złp. 20 gr Za 8 tomów 16 rsr.

Wójcicki K. Wł. Warszawa i jej społeczność w początkach naszego stulecia. Wydanie Red. Bibliot. Warszawskiej. Warszawa nakł. Gebetner i Wolff 1875. Str. 255. 8o, cena 12 złp.

Virchov Rudolf. Pierwotne ludy Europy. Tłumacz z niemieckiego K. Warszawa nakł. Spółka wydawnicza. 1875. Str. 36. 8o, cena 1 złp.

III. PRAWO, PISMA I BROSZURY POLITYCZNE.

Budziński S. O powtarzaniu przestępstw wedle kodeksu karnego obowiązującego. Warszawa. Druk. Noskowski Jan 1875. Str. 59. 8o, cena 2 złp. 20 gr.

Dutkiewicz Walenty. O znaczeniu jurysprudencyi. Warszawa, nakł. Bibl. Um. Praw. 1875. Str. 49, 8o, cena złp. 3 10 gr.

Duval Juliusz. Stowarzyszenia wytwórcze. Warszawa nakł. Orgelbranda. 1874. Str. 46. 16mo. cena 18 gr.

Holewiński Władysław. O zobowiązaniach podług kodeksu Napoleona. Wykład tytułu III i IV księgi trzeciej. Warszawa nakł. Red. Bibl. Um. Praw 1875. Str. 408. 8o, cena 20 złp.

Jeleński Jan. Najpilniejsze (ekonomiczne) potrzeby kraju. Warszawa nakł. Noskowski Jan. 1875. Str. 77. 8o, cena 2 złp. 20 gr.

Lubomirski Józef książę. Szlachta i czynowniki. Poznań, nakł. Merzbach Ludwik 1875. Str. 568. 8o, cena 1 tal. 22½ sgr.

Miklaszewski Walenty. Studya nad postępowaniem karnem obowiązującem (o obronie). Warszawa nakł. Gebetner i Wolff 1875. Str. 175. 12mo, cena 5 złp.

Pirn Karol. Bogactwa w społeczeństwie chrześciańskiem. Warszaw. Druk. Czerwiński i Spółka 1875. Str. 526. 8o, cena 9 złp.

Sł. Ł. O prawie granicznem polskiem. Warszawa, nakł. Red. Bibl. Um. Praw. 1875. Str. 79. 8o, cena 5 złp. 10 gr.

Zbiór Ustaw państwowych i krajowych. T. V. zawiera: Rozporządzenie ministra sprawiedliwości z dnia 19 listopada 1873 r. zawierające przepisy wykonawcze do ustawy o postępowaniu karnem z dnia 23go maja 1873. Lwów nakł. Seyfarth i Czajkowski 1875. Str. 49. 12mo, cena 40 ct.

IV. FILOZOFIA I KRYTYKA.

Daisenberg Władysław Dr. Filozofia Leibnitza. Kraków nakł. Autora 1875. Str. 107. 8o, cena 1 złr. 25 ct.

Drobisch Maurycy Wilhelm. Statystyka moralności i wolności woli ludzkiej. Tłumacz. z niemieckiego Zygmunt Ł. Sumińki. Warszawa nakł. Red. Bibl. Um. Praw. 1874 8o, cena 6 złp.

Molicki A. Z. Dr. Wykład systematyczny Tagmonlogii czyli dotychczas tak zwanej Filozofii Z. I. zawiera część przygotowawcza. Wstęp do Tagmonlogii. Kraków nakł. Kornecki W. 1875. Str. 104. 8o, cena 2 złr.

Szczerbowicz — Wieczor — L. Zagadnienia i kierunki, przyczynek do kwestyj bieżących. Część I. Warszawa nakł. Red. Kroniki Rodzinnej 1874. Str. 94. 12mo.

Szczerbowicz. Kilka kwestyj jako uzupełnienie Zagadnień i kierunków. Warszawa nakł. Red. Kroniki Rodzinnej. 1875. Str. 117. 12mo.

V. PEDAGOGIA I SZKOLNICTWO.

Bill Jan Jerzy. Botanika dla klas wyższych szkół średnich — Tłómacz. z niemieckiego Łomnicki. Lwów, nakł. Księgarnia Polska. 1875. Str. 240, 8vo. Cena 2 złr.

Chęciński Jan. Opowiadania historyczne zebrane dla młodych czytelników. Z 10 drzeworytami. Warszawa, nakł. Gebethner i Wolff. 1875. Str. 265, 8vo. Cena 8 złp.

Jaskółka. Podwieczorki u Jadzi. Opowiadania dla dzieci. Warszawa, druk. Noskowski J. 1875. Str. 173, 12mo. Cena 7 złp. 10 gr.

Kilka rad i przestróg dla małych dzieci ze świata zwierzęcego. Kraków, nakł. Wildt J. 1875. Tablic kolor. 6. Str. 6, 3, 4to. cena 80 ct.

Markiewicz Michał Krótki opis kuli ziemskiej zastosowany do użytku szkół początkowych. Rzeszów, nakł. Pelar J. A. 1875. Str. 97, 12mo. Cena 40 ct.

Niespodzianka. Zbiór powiastek dla pilnych dzieci przez Autorkę pamiętników młodej sieroty. Warszawa, nakł. Gebetner i Wolff. 1875. Str. 214, 12mo. Cena 5 złp.

Obrazki dla grzecznych dzieci. Kraków, nakł. Wildt J. 1875. Tablic kolor. 12, 8vo. Cena 1 złr.

Opowiadania Cioci. Książeczka dla dzieci i młodzieży. Pelplin, nakł. Roman I. N. 1875. Str. 109, 12mo. Cena 7 sgr.

Petiscus A. H. Olimp czyli Mitologia Greków i Rzymian z dodaniem wiadomości o Bogach Egiptu, Indyi, i krain północy. Ozdobione 89 drzeworytami w tekscie i tablic ryt. 27. Tłómacz. Anastazya Dzieduszycka. Przekład z 16 poprawnego wydania. Warszawa, nakł. Orgelbrand M. 1875. Str. 347, 8vo. Cena 13 złp. 10 gr.

Powieści dla dorastających panienek. Pelplin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 132, 12mo. Cena 9 sgr.

Wagner H. Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciołmi. Z wielu rycinami w tekscie. Przekład z niemieckiego. Warszawa, nakł. Orgelbrand S. 1875. Str. 150, 8vo. Cena 5 złp.

Wierzbicki Dr. Daniel. Geometrya wykreślna wraz z zastosowaniem do teoryi cieniów i wolnej perspektywy dla użytku wyższych szkół realnych Cz. I. Kraków, nakł. Dygasiński A. i spół. 1875. Tablic druk. 18. Str. 128, 8vo. Cena 2 złr.

Zarzycka R. M. Powieści dla dziatek polskich. Kraków, nakł. Wildt J. 1875. Str. 112, 12mo. Cena 80 ct.

VI. MEDYCYNA, UMIEJĘTNOŚCI PRZYRODNICZE I ŚCISŁE.

Coake Jozyasz P. Odczyty popularne o chemii nowoczesnej. Z 31 drzeworytów w tekście. Warszawa. Tłómaz. Jurkiewicz K. Dr. Nakł. Gebethner i Wolff. 1875. Str. 307, 8vo. Cena 10 złp.

Emmert Karol Dr. Wykład chirurgii szczegółowej — z wieloma drzeworytami w tekście — przekład z 3go wydania

dzieła pod napisem: Lehrbuch der Speciellen Chierurgie von Dr. Carl Emmert. Leipzig 1870. Tłómacz. K. Dobrski, K. Filipowicz, I. Gutwein, I. Kisiel, W. Mayzel i I. Rode. Warszawa, nakł. tłómacza. 1875. Str. 666 i 744, 8vo. Cena 73 złp. 10 gr.

Heller i Bollinger. Patologia i Terapia szczegółowa — choroby zaraźliwe chromiczne. Przekład dzieła: Handbuch der Chronischen Infectionskrankheiten von A. Heller i O. Bollinger. 1874. Handbuch der Speciellen Pathologie und Therapie von Prof. D. Ziemssen. 50 drzeworytów w tekście. Tłómacz: Pagorzelski Dr. Ludwik. Warszawa, nakł. Red. Bibl. Um. Lekar. 1875. Str. 295, 8vo. Cena 20 złp.

Helmholtz Dr. Hermann. O stosunku nauk przyrodzonych do ogółu wiedzy. Tłómacz: Kramsztyk Stanisław. Warszawa, nakł. Spółka wydawnicza. 1874. Str. 32, 8vo. Cena 1 złp.

Jakowicki Antoni (z Dorpatu). Przyczynek do badań nad fizyologicznem działaniem przelania krwi. Rozprawa uwieńczona złotym medalem. Warszawa, nakł. Red. Gazety Lekar. 1875. Str. 56, 8vo.

Pol Wincenty. Dzieła t. II zawiera Cz. I. Północny wschód Europy pod względem natury. Cz. II. Hydrografija. Lwów, nakł. Richter F. H. 1875. Str. 451, 8vo. Cena 3 złr.

Rosenstein Dr. Zygmunt. Patologia i Terapia szczegółowa. (Choroby nerek). Warszawa, nakł. Red. Gazety Lekar. 1875. Str. 456, 8vo. Cena 24 złp.

Semmer G. O tworzeniu się włóknika we krwi ziemnowodnych i ptaków, i o powstawaniu czerwonych ciałek krwi zwierząt ssących. Rozprawa napisana dla pozyskania stopnia Dr. Medycyny, opracowana w laboratoryum i pod osobistym kierunkiem prof. Aleksandra Schmiedt w Dorpacie — przetłómaczona z niemieckiego przez W. P. studenta Med. Uniw. Dorpackiego. Warszawa, druk. Kowalewski K. 1875. Str. 50, 8vo. Cena 2 złp. 20 gr.

Städeler G. Dr. Podręcznik do jakościowego chemicznego rozbioru ciał nieorganicznych, podług szóstego wydania dopełnionego przez Dr. Hermana Kolbego 1 tablica kolor. Tłómacz Arnolf Navratil. Kraków, nakł. Adolf Dygasiński. 1875. Str. 32, 8vo. Cena 1 złr.

Stewart Balfour. Zasada zachowania energii. Wykład początkowy o energii i jej prawach. Przekład z angielskiego z wyboru Biblioteki Naukowej Międzynarodowej. Tłómacz Kwietniewski Wł. Warszawa, nakł. Spółka wydawnicza 1875. Str. 195, 8vo. Cena 6 złp.

Virchow Rudolf. Pokarmy i artykuły spożywcze. Tłumaczenie z niemieckiego. Warszawa, nakł. Spółka wydawnicza 1874. Str. 45, 8vo. Cena 1 złp.

Zieleniewski Michał Dr. Pogląd na rozwój zakładu zdrojowego w Krynicy w ciągu ubiegłych lat siedmnastu (roku 1857—1873). Kraków, druk. Paszkowski Leon. 1875. St. 43 4to.

Ziemssen prof. Dr. Patologia i terapia szczegółowa. Choroby zaraźliwe ostre. Przekład dzieła: Handbuch der erster Theil von Liebermeister, H. Lebert, F. Hänisch, I. B. O. Henbner, J. Oertel, 1874. (Handbuch der speciellen Pathologie und Therapie von prof. Dr. Ziemssen. Z drzeworytami w tekście. Tłómacz Łuczkiewicz prof. Dr. Warszawa, nakł. Bibliot. Umiejęt. Lekarskich. 1875. Str. 594, 8vo, Cena 33 złp. 10 gr.

VII. AGRONOMIA I UMIEJĘTNOŚCI TECHNICZNO PRZEMYSŁOWE.

Biesiekierski Adolf. O hodowli inwentarza konferencyja. Warszawa, druk. Sikorski J. 1875. Str. 22, 8vo. Cena 1 złp. 10 gr.

Majewski Karol. Zasady rolnictwa. Z portretem Seweryna Zdzitowieckiego. Warszawa, nakł. Korzeniewski J. 1875. Str. 624. Cena za 2 tomy 20 zlp.

Morzycki R. Czy należy hodować u nas owce ras cienkowełnistych czy mięsnych? Warszawa, nakł. Redak. Gazety Rolniczej. 1875. Str. 18, 8vo. Cena 1 złp.

Nauka kroju damskiego ułożona przez A. G. K. z atlasem zawierającym 25 tablic rycin i figur. Warszawa, druk. Kelter. 1875. Str. 76, 8vo. Cena 20 złp.

O systemach rolniczych ze stanowiska gospodarstwa krajowego. Poznań, nakł. Autora. 1875. Str. 43, 8vo. Cena 12¹/₁ sgr.

Pietraszek Jan, Marszewski Bronisław i Strzelecki Antoni. Żniwiarka, jej historya, budowa i użycie. Podręcznik dla techników 42 drzeworytami. Warszawa, nakł. Bibl. Rolnicza. 1875. Str 216, 8vo. Cena 8 złp.

Pietrzycki Edward. Książeczka kieszonkowa o miarach i wagach dziesiętnych — dla użytku gospodyń, mniejszych gospodarzy, rękodzielników i przemysłowców. Lwów, nakł. Księgarnia Polska. 1875. Str. 111, 16vo. Cena 50 ct.

Rocznik odkryć i wynalazków 1873/4 oraz kalendarz i część informacyjna na rok 1875. Warszawa, nakł. Redak. Czasop. Przyroda i Przemysł. 1875. 8vo. Cena 6 złp.

Wejgel Leopold. Szkodniki naszych pól, ogrodów i lasów, sprzętów domowych i t. p. ze szczególnem uwzględnieniem szkodliwych owadów. Lwów, nakł. Seyfarth i Czajkowski. 1875. Str. 172, 8vo. Cena 2 złr. 50 ct.

VIII. DZIAŁ LITERACKI.

Bądzkiewicz Antoni. Teorya poezyi w związku z jej historyą. Warszawa, druk. Unger J. 1875. Str. 404 i III, 8vo. Cena 6 złp. 20 gr.

Bełcikowski dr. Adam. Kazimierz Brodziński. Studyum literackie. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt 1875. Str. 60, 8vo. Cena 64 ct.

Bolesławita B. Król i Bandarywna. Powieść historyczna. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. Str. 271, 8vo. Cena 2 złr. 40 ct.

Bolesławita B. Pamiętnik panicza. Z francusko-polskiego oryginału, na polsko-francuskie przełożony z niektóremi dodatkami. Lwów, nakł. Gubrynowcz i Schmidt. 1875. Str. 258. 8vo Cena 2 złr. 40 ct.

Buława Ernest. Utwory dramatyczne. T. II. zawiera: Joanna Grey obraz tragiczny z XVI wieku w pięciu odsłonach, poprzedzony uwerturą. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1874. Str. 136, 8vo. Cena 1 złr. 80 ct.

Carlen E. Kapryśna kobieta. Powieść szwedzka. Tłum. F. Paulina. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. T. I, str. 221. T. II, str. 216. T. III, 208, 8vo. Cena 3 złr. 80 ct.

Carré Michał i Juliusz **Barbier**. Kołyska. Komedya w 1 akcie wierszem. Przekład z francuskiego. Tłum. Przyrembel Bronisław. Warszawa, druk. Burzyński i Czerniejewski. 1874. Str. 33. 12mo. Cena 30 kop.

Chęciński Jan. Krytycy. Komedya w 5 aktach wierszem. Warszawa, nakł. Redak. Wieku. 1875. Str. 255, 8vo. Cena 8 złp. 10 gr.

Chłędowski Kazimierz Alpy. Szkice i opowiadania. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. Str. 214, 8vo. Cena 1 złr. 40 ct.

Dzierzkowski Józef. Powieści T. I. Lwów, nakł. Rogosz A. J. O. 1875. Str. VIII i 377, 8vo. Portret jeden.

Dzierzkowski Józef. Powieści T. II zawiera: Serce kobiece. Ślizka do przepaści droga. Zemsta pana Bolesława Lwów, nakł. Rogosz A. J. O. 1875. Str. 395. T. II, 8vo.

Eliasz Walery. Obrazek z podróży w Tatry. Kraków, nakł. Redakcya Zdrojowisk. 1875. Str. 42, 12mo. Cena 30 ct.

Feliks z Gródkowa. 1780. Obraz dramatyczny w 5 aktach z faktów dziejowych. Kraków, nakł. A. Dygasiński. 1875. Str. 97, 8vo. Cena 75 ct.

Gondek ks. Feliks. Wieczór św. Sylwestra czyli wypisy z mojego dziennika. Kraków, nakł. autora 1875. Str. 350, 8vo. Cena 70 ct.

Jezierski Michał. Córka morza. Powieść. Warszawa, nakł. Lewental S. 1875. Str. 153, 8vo. Cena 4 złp.

Jeż T. T. Starodubowska sprawa. Powieść ukraińska. Lwów, nakł. Rogosz A. J. O. 1875. Str. 284, 8vo. Cena 1 złr. 60 centów.

Jeż T. T. Ostapek. Powieść. Ustęp z przeszłości emigracyjnej Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. Str. 248, 8vo. Cena 2 złr. 40 ct.

Kaiser Ernest. Król perski i Róża z Teheranu, albo Dyamenty, perły i głód. Historya romantyczna szczęścia i niedoli. Warszawa, nakł. Altenberg i Robitsch. 1875. Str. 682, 8vo. Cena 27 złp. 10 gr.

Kantecki Klemens. Z podróży. Oświecima. Turcya, Francya, Niemcy, Włochy. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. Str. XI. 203, 8vo. Cena 1 złr. 80 ct.

Kilka kwiatków nie z tej ziemi. Przez z N.... Pelplin, nakł. Roman J. N. 1875. Str. 47, 12mo. Cena 3 sgr.

Klonowicz Seb. Fab. Gorais. Poemat wykryty w Bibliotece Ordynacyi Zamojskiej, i po raz pierwszy wydany, jakoteż dopiskami opatrzony i dokumentami pomnożony przez dra Wład. Okęckiego. Warszawa, druk. Berger Józef. 1875. Str. VI. 67, 8vo. Cena 5 złp.

Kraszewski I. J. Brühl. Opowiadania historyczne. Wydanie Redak. Biblioteki Warszawskiej. Warszawa, nakł. Gebethner i Wolff. 1875. Str. T. I. 205. T. II. 210, 8vo. Cena 16 złp.

Kraszewski I. J. Historya o Januszu Kordzaku i o pięknej Miecznikównie. Powieść z czasów Jana Sobieskiego. Warszawa, nakł. Glücksberg M. 1875. Str. T. I. 184. T. II. 192. 8vo. Cena 9 złp.

Łoziński Władysław. Skarb Wałażki. Powieść z końca XVIII wieku. Warszawa. nakł. G bethner i Wolff. 1875. Str. VII i 326. Cena 10 złp.

Morgenbesser Aleksander. Obrona Sokołowa. Śpiew bohaterski. Lwów, nakł. Księgarnia Polska 1875. Str. 164 16mo. Cena 50 ct.

Niemojowski Ludwik. Obrazki z Syberyi z illustracyami Andriollego 5. Warszawa, nakł. Unger Józef. 1875. Str. 497, 8vo. Cena 1 rbl. 50 kop.

Niemojowski Ludwik Ziarenka. Zbiór wierszyków. Warszawa, nakł. Redak. Przyj. dzieci. 1875. Str. 333. 8vo. Tablic ryt. 6. Cena 8 złp.

Odyniec Antoni Edward. Listy podróży z Warszawy do Rzymu. Warszawa, nakł. Gebethner i Wolff. 1875. Str. 390. T. I. 407. T. II. 8vo. Cena 16 złp.

Oreilly X. Obrazki z historyi Kolosseum rzymskiego. Przekład z angielskiego. Warszawa, druk. Czerwiński i Spółka. 1875. Str. 564, 8vo. Cena 8 złp.

Pamiątka uroczystości półwiekowego jubileuszu Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie dnia 7 Marca 1875 r. Lwów, nakł. Druk. Gazety Narodowej. 1875. Str. 48, 8vo. Cena 40 ct.

Po dziesięciu latach. Lwów, nakł. Gubrynowicz i Schmidt 1875. Str. 74, 8vo. Cena 64 ct.

Rapacki Wincenty. Wit Stwosz. Dramat w 5 aktach z faktów dziejowych. Warszawa, druk. Unger Józef. 1874. Str. 139, 8vo. Cena 3 złp.

Skott Walter. Romanse historyczne. T. I. Kwentyn Durward. Warszawa, druk. Skiwski Emil. 1875. Str. 596, 8vo. Cena 6 złp. 20 gr.

Sobótka. Księga zbiorowa na uczczenie pięćdziesięcioletniego jubileuszu Seweryna Goszczyńskiego. Lwów, nakł. Przedpłaciciele. 1875. Str. 624, 8vo. Cena 3 złr. 50 ct.

Spilhagen Fryderyk. Ultimo, novella. Warszawa, druk. Fryze, Dębski i Spółka. Tłóm. Calliér Aleks. 1875. Str. 91, 8vo. Cena 4 złp.

Tatomir L. Przegląd podróży i odkryć w swiecie arktycznym. Z powodu drugiej austryacko-węgierskiej wyprawy arktycznej z lat 1872—74. Lwów, nakł. Rogosz A. J. O. 1875. Str. 147, 8vo. Cena 1 złr.

Trzy lata pobytu w stepach Ameryki. Przygody młodego sieroty. Przekład z francuzkiego. Warszawa, nakł. Orgelbrand M. 1874. Str. 182, 8vo. Cena 8 złp.

Wołowski M. Dziwni. Szkic powieściowy. Lwów, nakł. autora 1874. Str. 159, 8vo. Cena 1 złr.

Wilkońska Paulina z L. Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincyi w Kongresówce. Poznań, nakł. Merzbach Lud. 1875. Str. 267, T. I. 226. T. II. 8vo. Cena 2 tal.

Wójcicki K. Wład. Niewiasta polska w początkach naszego stulecia (1800—1830 r.) Warszawa, nakł. Glücksberg M. 1875. Str. 340. Cena 8 złp.

Zacharyasiewicz Jan. Sumienny konkurent. Studyum karnawałowe. Warszawa, nakł. Gebethner i Wolff. 1875. Str. 201. 8vo. Cena 6 złp.

IX. LINGWISTYKA.

Müller Maks. Wykłady o umiejętności języka T II. Kraków, nakł. Gumplowicz dr. L. Tłóm. Dygasiński A. Tablic ryt. 8. 1875. Str. 530, 8vo. Cena 5 złr. 25 ct.

Polkowski Ks. Ignacy. Dawny zabytek języka polskiego w żywocie ojca Amandusa. Z 1 tablicą podobizny. Gniezno, nakł. autora 1875. Str. 31, 8vo. Wydanie w stu egzemplarzach.

——×——

TEATR.

Teatr dał nam poznać w ubiegłym miesiącu nowość pożądaną i nie bez żywej ciekawości oczekiwaną, ostatnią komedyę Fredry syna. *Wielkie Bractwo* bawiło już publiczność przez parę wieczorów, a w przyszłości nieraz jeszcze bawić ją będzie. Zdaje nam się, że to jedna z tych sztuk, które na razie nie wywołują szalonych śmiechów i oklasków, ale za to utrzymują się długo na scenie i oddają wielkie usługi dyrekcyom teatrów i spektatorów. Komedye mają swoje losy jak ludzie i jak książki, kto wie czy nie mają złych i dobrych wróżek, które przy urodzeniu sypią na nie swoje dary: zdarzy się czasem, że sztuka ambitna żyje z chwałą, ale żyje krótko, jak Achilles: zrazu wielki o niej gwar po dziennikach kawiarniach klubach i salonach, przy kasie biją się ludzie o bilety, rozpaczają kiedy ich nie dostali: ale po pierwszych tryumfach znajduje się jakiś Parys, który złośliwie wypatrzy słabą piętę, pokaże ją wszem wobec, Achilles przestaje ludziom imponować, i z urazy czy z konieczności zamyka się w swoim namiocie, w głębokościach biblioteki teatralnej zkąd rzadko kiedy głowę wychyla. Są inne sztuki którym przy urodzeniu wróżka powiedziała: „nie dam ci nadzwyczajnych darów i po„wabów, nie będziesz błyszczała tęczami poezyi, ani olśnie„wającym fajerwerkiem dowcipu, czytelnik czy spektator nie „będzie za tobą szalał jak królewicz z bajki za zaczarowaną „księżniczką, nie będzie dla ciebie przepłacał biletów, darł „rękawiczek i oklaskami nabijał sobie pęcherzy na dłoniach: „namiętności nie wzbudzisz nigdy, ale lubioną będziesz i przy„jaciół nie zabraknie ci nigdy. Dyrektor w kłopocie kiedy mu „się przybierze nowości, zafrasowany czem widzów do teatru „przynęci, przypomni sobie twoje skromniejsze wdzięki, twoją

„wesołość niegłośną lecz szczerą, twój dowcip ani lśniący ani „szczypiący lecz zabawny, zapowie cię afiszami, a publiczność „pamiętna, że się przy tobie dobrze bawiła, przyjdzie, bez „wielkiego zapału ale z ochotą, a co lepiej odejdzie wesoła, „zabawiona, i wdzięczna.“

Ten rodzaj pożytku dla teatrów, ponęty dla spektatorów, będzie miała, jeżeli zgadywać wolno, *Wielkie Bractwo*. Czem ono jest? komedyą w wyższem znaczeniu słowa, czy farsą? ani jedną ani drugą. Na farsę jest za długie, i może za obfite wpierwiastki wyższej komedyi, które znowu są dość rozwinięte żeby taką złożyć. Ale całość jest zabawna i przyjemna do widzenia, a w niektórych szczegółach jest materyał (nie dość może wyzyskany) na sytuacye głębsze i bardzo komiczne.

Tytuł — i dla tego nie bardzo go lubimy — potrzebuje wyjaśnienia. Nie jeden pyta co to za Bractwo, i autor dopiero musi mu tłumaczyć przez usta jednej ze swoich figur, że to nie Bractwo Miłosierne ani Różańcowe, ale że Francuzi mawiają o człowieku który się żeni, że wstępuje do Wielkiego Bractwa mężów oszukanych, zaś mężowie w naszej komedyi zakładają pod tym tytułem inne bractwo, raczej Towarzystwo asekuracyjne przeciw oczukaniu. Taki tutuł wyciągnięty z wyrażenia obcego, u nas nie bardzo znanego, wygląda, niech nam autor daruje, jak żeby cokolwiek naciągnięty. Ale mniejsza o tytuł, niech będzie Bractwo, byle się szczęśliwie zawiązało, a zawiązane dało wątek do zabawnych zawikłań i perypecyi. To zaś jest:

Gdzieś u wód, w Szczawnicy, Krynicy, Iwoniczu jak kto woli, leczą się trzy panie, młode mężatki, z respektownymi mężami. Zuzanna, trochę nie mądra, trochę sentymentalna, trochę śmieszna bo przekonana, że wszyscy zawsze w niéj się kochają, ma męża jeszcze mniej mądrego niż sama, dobrodusznego, flegmatycznego, który się ze wszystkiego głupio śmieje. Druga, Honorata, żywa, sprytna, potrzebująca śmiechu i żartu jak ryba wody, ma męża dość znacznie od siebie starszego, pana Michała który już trochę siwieje, trochę łysieje, niegdyś sławnie tańcował, może i na końcu łamał karki, zapewne głowę zawracał wszystkim powiatowym pięknościom, ale fatalna czterdziestka ma swoje prawa, pan Michał ociężał, nabrał tuszy, hołupców już nie wybija, przez płoty nie skacze: jednak choć amorek na siwym wąsie podobno nie siada, pan Michał sądzi, że jak raz usiadł na czarnym, to z siwego nie uleci, spokojnie i ufnie, nie dręczony nigdy widmami zazdrości i podejrzeń, wozi panią Honoratę do wód krajowych, pewien, że miłość jaką wniej raz wzbudził w żadnej z tych wód nie ochłódnie ani nie utonie. Ale trzecia pani, Genowefa, ma męża który po trzynastu (fatalna liczba)? latach szczęśliwego po-

życia zachorował na zazdrość. W ustawicznej obawie, w ciągłych podejrzeniach, pan Józef nie ma chwili spokojnej; przywiduje sobie, że jest otoczony rywalami, którzy jak lwy ryczące krążą około żon i mężów, szukając czyjby spokój i szczęście pożarli. Wprawdzie pan Reginald jest tylko śmiesznym Don Juanem parafialnym, z którego wszystkie kobiety drwią, pan Adolf niewinnym pasyjantem, który myśli tylko o swoim katarze żołądka i o zimnych okładach, wprawdzie żaden z nich nie myśli o Genowefie ani ona o żadnym, ale to wszystko jedno, djabeł nie śpi, i pan Józef drzy. A tak umiał wmówić w dwóch innych mężów, że żaden nigdy bezpiecznym być nie może, tak im dokładnie a strasznie opisał różne symptomata i peryody kobiecej niewierności, że w końcu zaraził ich swoim strachem i swoją zazdrością, i wszyscy trzej zakładają *Wielkie Bractwo* dla zabezpieczenia mężowskich spokojów, przez statuta, i obowiązują się solidarnie wszyscy za jednego, jeden za wszystkich pilnować wszystkich żon i wszystkich adoratorów: wzajemne ubezpieczenie od...

Ale że żony muszą zawsze jak na złość dowiedzieć się tego o czem najmniej wiedzieć powinny, więc dowiedziały się i tym razem. Naturalnie chcą się zemścić: „jesteście zazdrośni, „chcecie nas strzedz, pilnować, jeden dla wszystkich i wszyscy „dla jednego, czekajcie: niechże się wam przynajmniej trudy opłacą.“ Chęć nastraszenia mężów i dania im lekcyi jest nieunikniona, konieczna, ale sposób? Zrazu rozkazują panu Adolfowi, żeby się w nich kochał, we wszystkich trzech, żeby im nadskakiwał, służył, wzdychał, ale ten młodzieniec zajęty jedynie żołądkiem i jego katarem, stękający, kwękający, obłożony kompresami, nawet na znośne udawanie zdobyć się nie może, tak że biedne kobiety kiedy chcą zazdrość mężów obudzić, muszą same sobie kupować bukiety, za które potem głośno przy mężach dziękują czule mniemanemu seduktorowi. Nie ma z nim co robić, trzeba szukać innego sposobu. Honorata, najdowcipniejsza z trzech, wpada na szczęśliwy pomysł: ich jest trzy, i mężów trzech, niech każda rozkocha jednego, naturalnie nie swojego, a gdy już będzie dobrze rozkochany i o wzajemności trochę przekonany, gdy zacznie być bardzo czułym i naglącym, wtedy sprowadzą ich wszystkich trzech na jedno miejsce, przekonają, kto miał lepszy powód do zazdrości, mężowie czy żony, i dowiodą im ile mogą liczyć na swoją przyjaźń i solidaoność, na swoje wzajemne ubezpieczenie, co warte ich *Wielkie Bractwo*.

Jakoż, Honorata, najbardziej przedsiębiorcza i największa dyplomaka próbuje zawrócić głowę najzazdrośniejszemu z mężów, Józefowi. Ledwo mu dała do zrozumienia, że jego żona jest o nią zazdrosną, że ona sama może niegdyś nie obojętnie patrzała na jego wdzięki i zalety, już pan Józef chwycony za

miłość własną dał się wywieść w pole, kocha się, pyszni się jak paw, wzdycha, prosi, nalega nareszcie otrzymuje rendez-vous, dla bezpieczeństwa i uniknienia poszlak, u dentysty.

Na próżność widać złapać nas najłatwiej, skoro nawet taka Zuzanna, ani zręczna, ani dowcipna, w te sidła łapie pana Michała. Kiedyś ona była małą dziewczynką, za małą, żeby dorosły kawaler raczył na nią zwrócić uwagę, ale sama umiała patrzeć i uważać, widziała jak pan Michał prowadził mazury i unosił tancerki wpoetycznym walcu, widziała, widziała, i nie zapomniała! I szpakowaty Michał zakochuje się w niej za to jak żak, i po niejakich prośbach z jednej strony, wahaniach i skrupułach z drugiej, dostaje także rendez-vous, dla bezpieczeństwa i zmylenia pozorów, u dentysty.

Do tego samego dentysty i na tę samą godzinę kazała Genowefa przyjść trzeciemu mężowi, którego także lekko zbałamuciła: reszty łatwo się domyśleć. Mężowie się spotykają, bardzo sobie nawzajem nie radzi, bardzo zmieszani, bardzo zakłopotani jak usprawiedliwić przed przyjacielem bytność własną a ukryć bytność jego żony: wtedy wychodzą panie i oddają im dyplomy na prezesa, wiceprezesa i sekretarza Wielkiego Bractwa.

Pomysł, żeby „Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń“ doprowadzić *ad absurdum*, żeby stowarzyszonym i solidarnym mężom dowieść ile na swoją solidarność liczyć mogą, a zarazem nauczyć ich, że każdy łatwiej ulegnie niewieściej kokieteryi niż kobieta męzkim sedukcyom, jest i komiczny, i zarazem o tyle głębszy, że mógł i godzien był być traktowanym w stylu i tonie wysokiej komedyi. Autor zaś dał nowy dowód prawdziwej zręczności i sztuki: miał w trzech scenach trzy razy powtórzyć sytuacyę zupełnie, identycznie, tę samą: zawsze kobieta, która mężczyznie daje do poznania, że jest nim zajęta, zawsze mężczyzna, który się na to łapie, nawet sposób ten sam, działanie na miłość własną. Podług wszelkich praw logiki powinna była powstać z tego w sztuce monotonija nudna i nieznośna. Tymczasem, czy autor umyślnie sobie tę trudność postawił, żeby ją rozwiązać a widza rozciekawił i zadziwił, czy bez takiej (autorskiej znowu) kokieteryi szczęśliwym instynktem i talentem zamienił w zaletę to, co powinno było stać się błędem, przezwyciężył trudności doskonale: w tej samej sytuacyi trzy razy powtórzonej pomieścił tyle rozmaitości, tyle odmiennych a delikatnie oznaczonych odcieni charakteru, że rzecz ta sama przy innych ludziach wydaje się inną, że to powtórzenie sytuacyi, która zrazu zastrasza widza o powodzenie sztuki, po chwili podwójnie go zajmuje i przywięzuje, kiedy widząc już, że autor potrafił wprowadzić rozmaitość w tożsamość, ciekawy jest zobaczyć jak ją przeprowadzi.

To, o czem mówiliśmy dotąd, stanowi najbardziej komiczną i najwyżej komiczną stronę pomysłu i wykonania. Obok tej głównej treści, zaś na prawo i na lewo, rozwijają się zabawne epizody, (najzabawniejszym z nich jest ten, kiedy zakatarzony Adolf szuka strumyka lub studni, żeby odnowić swój zimny okład a Zuzanna go nie puszcza, bo myśli, że on szuka wody, żeby się utopić z miłości) i zabawne figury. Adolf jest zabawny, Reginald ze swoją parafiańsko-Don-Juańską fanfaronadą jest zabawny, dentysta wracający z Ameryki, żyd z Rzeszowa, Tarnowa, Jarosławia czy Stryja, jest zabawny: a nadewszystko zabawna jest żywość akcyi, która idzie naprzód szybko i wesoło, i humor, który nie strzela może dowcipnemi słowami ale wszystko przenika i widza utrzymuje w ciągłem zajęciu i dobrem usposobieniu. Jednak pod względem akcyi musimy zrobić pewne zastrzeżenie. W trzech ostatnich aktach jest ona ożywioną i ciągłą: w dwóch pierwszych wlecze się cokolwiek pomału, tak że czasem nasuwa się widzowi pytanie, czy te dwa nie byłyby się dały ściągnąć w jeden? Zdaje nam się, że skoro już żony miały prostym dawnym sposobem podsłuchać spiskujących mężów, to mogły ich podsłuchać u siebie w domu tak dobrze, jak na spacerze w ruinach, i że ten cały spacer jest zbyteczny. Bo i dentysta nawet, jeżeli o niego chodziło, mógł całemu temu towarzystwu znanym być dawniej, albo wysiąść w tym samym domu. Takie zmiany miejsc i dekoracyj, takie dodatki jak spacery i bale nie ożywiają akcyi i nie urozmaicają jej, tylko kiedy do czegoś służą. A cóż na tym spacerze dzieje się takiego, coby nie mogło było stać się bez niego, albo do czego służy ten mazur, który wpada na scenę w zakończeniu aktu czwartego.

Niedoskonałości są, to pewna, i to takie, których łatwo można było się ustrzedz: nie lekceważyć ich jednak ani osłoniając, trzeba powiedzieć, że w talencie autora musi być jakiś przymiot ukryty, który choć ich nie znosi, ale za nie czyni poniekąd zadosyć. Kto inny napisałby może komedyą lepiej zbudowaną, mniej podlegającą zarzutom, w czytaniu wydałaby się wcale nie złą: a na scenie ta sztuka poprawna, przyzwoicie napisana, z małemi błędami i takiemiż zaletami, byłaby bardzo mierną i nudną. Tu przeciwnie: błędy znaczne i zarzuty tak widoczne, że zrobi je każdy odrazu, w czytaniu komedya może się wydać dość obojętną. Ale przedstawiona na scenie, nabiera wdzięku, wesołości, życia, sytuacye, które nie wyglądały komicznie, stają się zabawnemi i zajmującemi, figury na pozór nieznaczące oryginalnemi i charakterystycznemi, sztuka w graniu zyskuje ogromnie i pomimo wszystkich swoich błędów, utrzymuje się na scenie, zdobywa sobie stałe powodzenie, podoba się widocznie więcej nierównie niż czytelnikowi. Czegóż to dowodzi? czy tylko zasługi aktorów? Nie:

tym nic nie ujmujemy, grali Wielkie Bractwo żywo i dobrze; ale dowodzi to czegoś więcej jeszcze, oto, że autor ma ten wielki i rzadki przymiot sceniczności, która dziełom dramatycznym lekkim tak samo jak poważnym, wesołym jak smutnym, nadaje życie, i bez której one ani dobremi być ani trwałego powodzenia mieć nie mogą, choćby krytyka na regułach i teoryi oparta, prócz tego, nic zgoła im do zarzucenia nie znalazła.

St. Tarnowski.

KRONIKA.

Kraków, 31 Maja.

Nazwaćby można koniec miesiąca domowym aresztem ks. Bismarka; że zasłużył na nierównie surowszą karę, to nie ulega wątpliwości, surowszej jednak nie śmiała wymierzyć Europa, bo brak jej środków wykonawczych; jednak żelaznego kanclerza nerwy tak dokazywały w ostatnich czasach, do takich pchały go przedsięwzięć, że przecież nareszcie, zdobyto się przynajmniej jeżeli nie na ukarcenie i skaranie to przecież na powstrzymanie jego zapędów, naznaczając mu na jakiś czas to co nazywamy aresztem domowym, to jest, że zmuszono go na teraz przynajmniej, zaniechać wszelkich na zewnątrz wojennych zaczepek i ograniczono go do owej wściekłej wewnętrznej akcyi przeciw katolicyzmowi, która oczywiście w skutku poniesionej porażki na zewnątrz. wzmoże sie i posłuży do uspokojenia i zajęcia nerwów ks. Bismarka. Porażka była w każdym razie, zdaniem naszem, bardzo dotkliwa, tem dotkliwszą, iż nie jest odosobnioną, ale jest niejako częścią integralną seryj porażek, rozpoczętej sprawą hiszpańską, nieuznaniem przez Rosyę rządów marszałka Serrano, upadkiem tych rządów pomimo opieki niemieckiej, dalej oporem stawionym przez serdecznego sprzymierzeńca, przez Włochy w sprawie papieskiej, zjazdem weneckim, a zakończona nareszcie rozczulającemi do gorszkich nieco łez odwiedzinami w Berlinie cesarza Aleksandra i ks. Gorczakowa. Porażki te materyalnie i politycznie, dziś mało znaczące, nie są bez doniosłości moralnej i politycznej, a są prostem i loicznem następstwem tego co nazwaliśmy kiedyś szałem siły. Że postępowanie rządów ks. Bismarka, że jego bezwzględne mięszanie się we wszystkie sprawy, że jego nielogicznością samą brutalne zaczepki nie

mogły być nikomu, nawet nie dotkniętym miłemi, to jasne i zrozumiałe tem więcej, że rzeczywista potęga Niemiec do tego stopnia wzrosła, iż dla każdego w mniej lub więcej oddalonej przyszłości groźną się stała. Dziwnie ale może opatrznościowo, w drugiej połowie swojego świetnego zawodu ks. Bismark stracił poczucie miary, stracił takt polityczny, i umiejętność granic i jakby zapomniał on, który wszystko wie, rozumie i tak doskonale odgaduje, że są położenia, w których się uderza, lecz nie grozi. Słowem tylko namiętnemu, nierozważnemu, nerwowemu postępowaniu ks. kanclerza przypisać należy przesiąknięcie atmosfery politycznej europejskiej zachciankami koalicyjnemi. Już nie raz mówiliśmy, że koalicya jest w powietrzu, aczkolwiek brak jej siły, aby się stała ciałem. Koalicya ta coraz wyraźniej przecież odrysowuje się i może najlepiej stan jej dzisiejszy określemy, zapisując, że obecnie Niemcy nigdzie nie mają i nigdzie znaleść nie mogą sprzymierzeńca. Z położenia rzeczy, z natury swej owa koalicya jest wyłącznie bierną i odporną; ale jak dotąd ta bierność jest skuteczną a odpór stanowczy; to już bardzo wiele, to początek, który może łatwo ośmielić i dodać odwagi. Dla bystrego spostrzegacza nic może nie świadczyło o doniosłości porażki ks. Bismarka, jak mały, drobny zresztą szczegół, a to owo śmieszne a gorączkowe zrzucenie, zaraz po odwiedzinach berlińskiej całej winy za pogłoski wojenne na Polaków i ultramontanów. Kto nie mógł znaleść lepszej wymówki ani lepszego *soufre-douleur* ten oczywiście był zmięszanym, temu, że się tak wyrazimy, brakło już poprostu konceptu. I cóż tak dziwnego, i tak niemożliwego było w owych nie pogłoskach ale groźbach wojennych, a jeżeli pogłoski rozsiewali Polacy i ultramontanie, to przecież groźby rzucał Berlin, cóż powtarzamy było w tem nieprawpodobnego; nic a nic, bo była mądra, przezorna i śmiała polityka, a do tej świat przyzwyczaił ks. Bismark i ta tylko godną jest jego wielkiego i bystrego rozumu. Ks. Bismark chciał rozbroić Francyę, aby uniemożebnić koalicyą, której zbliżanie się czuje w kościach, a Europa na to zezwolić nie chciała, bo czuła, że była to ostatnia chwila i że rozbrojenie dziś Francyi nie było czem innem jak tylko rozbrojeniem na jutro Europy. Czyż potrzebujemy dodawać, że w tym politycznym dramacie główna rola przypadła Rosyi, jest to wiadome i widoczne, a już w ostatnim przeglądzie wskazywaliśmy, iż dalsze wypadki od niej są zależne. Ale dodać musimy, że tę rolę odegrała z wielkim talentem i jak na pierwszorzędnego przystoi artystę. Od razu w jednej chwili, bez reklam, bez szumu i hałasu zajęła ona w Europie przeważne i wielkiej doniosłości stanowisko, z którem potęga Niemiec nie tylko już rachować, ale któremu nawet ulegać musi. Korzyści, które Rosya odniosła w zamian za przychylną dla Prus neutralność podczas ich wzrostu niesłychanego, były zawsze zdaniem naszem za małe w stosunku do strat,

które poniosła, a szczególniej niebezpieczeństw, w przyszłości grozić jej mogą w skutek tego wzrostu. To też pomimo serdecznych stosunków, pomimo przyjaźni dwóch cesarzów, natura rzeczy, siła interesów a może i nieco miłość własna ks. Gorczakowa nakazują jej stawiać tamę i przeszkody dalszym czy to zaborczym czy awanturniczym planom polityki ks. Bismarka.

Z wielkim taktem Rosya umiała podzielić się zasługą zażegnania burzy z Anglią, a niewątpliwa interwencya królowej Wiktoryi w zajściach dni ostatnich, pozostanie jednym z najciekawszych i najniezwyklejszych epizodów chwili obecnej. Ale bo też ks. Bismark potrafił swojem postępowaniem oburzyć nawet zaspaną i zobojętniałą na zewnętrzne wypadki opinię publiczną w Anglii. Opinia ta staje się coraz czujniejszą, coraz podejrzliwszą względem polityki kanclerza i jego mniej lub więcej uczciwemu postępowaniu nawet z kuryerami *Foreign-Office*.

Słowem zamiast grożącej nam w połowie miesiąca wojny, mamy przy końcu miesiąca znowu na porządku dziennym przymierze trzech cesarzy. Przymierze to było jedynem możliwem w tej chwili schronieniem dla ks. Bismarka po poniesionej zjazdem berlińskim porażce; ono jedno było wyjściem z trudnego położenia stworzonego zbyt bezwględnem postępowaniem, ono najlepszym jest środkiem do czasu przynajmniej, utrzymania w bierności i bezczynności żywiołów owej koalicyi, która jest w powietrzu; to też chwycił się go skwapliwie przenikliwy twórca potęgi pruskiej. Dla Rosyi zaś Austryi a w ogóle dla Europy, potrójne przymierze jest najłagodniejszem szachowaniem ks. Bismarka i potęgi militarnej Niemiec, jest to raczej warta dwóch mocarstw, niepozwalająca zrobić kroku naprzód trzeciemu, jak potrójne przymierze. Tylko z tego podwójnego punktu widzenia, zrozumiałem jest potrójne przymierze dzisiaj, bo inaczej pytamy się przeciw komu i w jakim celu istniałoby ono? Jest to przymierze z jednej strony mające na celu uniemożebnienie koalicyj przeciw Niemcom, a z drugiej stawiające zaporę dalszym zaborczym i wojennym zachciankom Niemiec. Czy jednak ta dziwne i tak wyprężona sytuacya, może długo potrwać? Wątpimy, wątpimy szczególniej, aby taki człowiek jak ks. Bismark i takie państwo militarne jak dzisiejsze Niemcy zniosły długo najłagodniejsze nawet w formie zaszachowanie. Sama natura rzeczy i konieczność popchnie i człowieka i państwo do ostateczności i do dalszego działania, ktore stało się niezbędnem i jedynem zabezpieczeniem dzieła. Zapominać zaś nie trzeba, że państwo jest potężne i jeszcze bardzo silne, a człowiek, który mu przewodniczy, zdolny wszystkiego, gotów na wszystko i że rozporządza żywiołami i czynnikami, których siłę destrukcyjną niepodobna z góry obliczyć. Dla tego pomimo zwrotu pokojowego, pomimo wypogodzenia się chwilowego horyzontu politycznego nie należy ani zbyt dowierzać pierwszemu ani zbyt ufać drugiemu. Wielkie

zawikłania są w powietrzu, są w naturze rzeczy, są nieuniknione i każde społeczeństwo europejskie winno się urządzać w przewidywaniu, że nastąpią.

St. Koźmian.

O ubiegłej kadencyi sejmowej otrzymujemy następujący list ze Lwowa:

Lwów, *30 maja.*

Zanim z przebiegu obrad sejmowych obszerniejszą czytelnikom *Przeglądu* zdamy sprawę, niech nam wolno będzie w ym liście podnieść wybitniejsze momenta właśnie co zakończonej sesyi. Dotrzymała ona w ogóle więcej niż obiecywać się zdawała, a przypiszemy to w pierwszym rzędzie dłuższemu jej trawieniu, które nietylko umożebnia wypracowanie większych ustaw, ale wpływa dobroczynnie na utarcie się zdań i możność stanowczego postąpienia. W ciągu sześciu tygodni mają czas uspokoić się burze, utorować sobie drogę głębsze zdania; w trzechtygodniowym peryodzie, jaki zwyczajnie sejmowi użyczano, niema to wszystko miejsca, i najpożyteczniejsze często rzeczy padają ofiarą nienaturalnej gorączki, która chwyta zgromadzenie niemogące się prawie rozpatrzeć w tem, co ma przed sobą. Doświadczenie to powinno przekonać sfery wiedeńskie, że sejm galicyjski może być prawdziwie pożytecznym, byleby niebył traktowany porówno z sejmami Gorycyi, Gradyski i Tryestu.

Drugą myślą, którą świeżo odbyta sesya nasuwa jest skonstatowanie, że wielka polityka usunięta z obrad sejmowych nie bez boleści wielu, nieobecnością swoją zaczyna dobre wywierać skutki. O ile umysły dawniej, całe napięte ku politycznej dyskusyi w kole lub izbie, chłodniej brały się do spraw krajowych o tyle dzisiaj te same umysły rozwinęły czynność swoją na gruncie daleko płodniejszym i dawały często prawdziwie pouczające widowisko walki zdań w sprawach specyalnych, z wielką żywością i znajomością rzeczy prowadzonych. Ustało też to odraczanie spraw do skutku politycznej akcyi i pokazało się, że jest nad czem radzić i nad czem pracować, chociaż w szczuplejszych ramach zadań przekazanych sejmom.

Wszakże nieobeszło się i tego roku bez podźwięków starych przyzwyczajeń, żywionych szczególniej przez tych, którzy pragną sensacyjnych telegramów o swoich czynnościach w sejmie. Na początek przypadły dwa wypadki, zmiana Marszałka i zapowiedź przybycia NPana, a kto zna stosunki lwowskie, kto wie, jak tam

silnie, prawie wszechwładnie działa kwestya osób a zarazem dawne galicyjskie instynkta, zupełnie różne od tych uczuć z barwą narodową, jakie w naszych stronach obudza dynastya panująca w Austryi, ten badając pilnie fizyonomię sejmu, mógł bardzo charakterystyczne robić studya. Jeżeli też informacye moje mnie niemylą, sejmowe przedmieścia niespodzianek (obóz federalistów) gotowało adres, adres w którym oczywiście nie można było przemilczeć tego i owego, co przed dwowa laty, wskutek połączenia się niektórych posłów polskich z chłopami i Rusinami przemilczeć musiano. Jak to było politycznie i na czasie oceni każdy bezstronny, ależ konsekwencya przedewszystkiem! Posłowi Grocholskiemu należy się zasługa, że w trafnem ocenieniu sytuacyi wydobył Izbę z nowej cieśni kandyńskiej, w którą zwykle t. z. federaliści lubią ją osadzać. Adres do NPana z wynurzeniem uczuć radosnego oczekiwania i prośbą o przybycie NPani, adres jednomyślnie przyjęty postawił kraj i sejm na stanowisku, które zajmować był powinien wobec zamierzonej Cesarza podróży do Galicyi.

Ważne sprawy: drogowa, policyi polnej i propinacyi wypełniły prawie cały czas sejmowy. Nieszczęśliwy los ustawy o chowie bydła, przy której przepadły wnioski większości i mniejszości wróżył już naprzód niefortunnie ustawie drogowej. Niemniej złą dla niej konstellacyą było, że do komisyi dostał się wbrew uchwale koła p. Erazm Wolański, który nabył właśnie smutnej sławy jako pogromca Wydziału krajowego zapomocą omyłek arytmetycznych. P. Erazm Wolański, którego rzutkości niedopisuje niestety przygotowanie, jakiego się od posła domagać trzeba, z pożałowania godną wiernością zasady, że nie święci garnki lepią, wystąpił jak w roku zeszłym przeciw specyalistom komisyi z wnioskiem mniejszości, opierającym przyszłe drogi na dodatkach od podatku. Opłakaną była też rola referatu, opartego na fałszywych cyfrach i na zupełnem nieporozumieniu budżetu, tem smutniejszą, że większość, mająca w swem gronie i p. Grossa i p. Badeniego, wybornego sprawozdawcę p. Jaworskiego i wymownych obrońców jak p. Dunajewski, przynosiła rzecz opracowaną wybornie i na najlepszych opartą wzorach. Że ta rzecz dobra po trzydniówce mów i mówek nieprzeszła wielu przypisać należy okolicznościom. Najszczerzej podobno odsłonił przyłbicę p. Grocholski, odsuwający wniosek większości, jako jeden z tych, które teoretycznie mogą być dobre, w praktyce zaś wykonać się niedadzą — a to wobec naszych urządzeń gminnych! Jak gdyby p. Grocholski właśnie niebył największym obrońcą prowizoryum 1866 roku!

Dobrze przynajmniej, że z rokiem każdym wszelkie dąż- ku lepszym stosunkom zahacza się o gminę, że ci k- formy gminy niechcą, muszą konsekwentnie oświadczać ciw każdemu dążeniu wymagającemu tej reformy do

urzeczywistnienia. Podniósł to kilkakroć przy ustawie polowej p. J. Badeni, której także, pełna skuteczność dopiero wtedy da się uczuć, gdy reforma gminy nastąpi. Odbiła się też ta prawda w rażący sposób i przy ustawie przeciw pijaństwu, gdzie p. Grocholski obawiał się ingerencyi wójta do karczmy, gdy przecież tyle względów wyższych, przez niego samego doskonale pojmowanych za ustawą przemawiało.

Daremna to rzecz, na którą nie ma rachuby! Interesom większej własności grozić musi nadwerężenie w miarę, jak stracą inicyatywę w zaspokojeniu potrzeb powszechnych, jak trwożliwie zamykać się będą w terytoryum obronnem, jak niezejdą na wspólną drogę, na której większej tej własności zawsze jeszcze majątek, zacność i wykształcenie przodownictwo zapewnia. Negacyjne stanowisko utrzymać się nieda, a jeżeli p. Grocholski mówi, że sejm jest od obrony praw, nietylko od ich uchwalenia, to zaiste prawo którego się bronić zamierza wtedy tylko niestaje się zabójczem dla interesów, których się broni, jeżeli nie jest *pis-aller* spółecznem, jakiem niestety zawsze bywał obszar dworski. — Widzielibyśmy też szczęśliwy przełom tej polityki prohibicyjnej interesów warstwy historycznej, w ostatecznem załatwieniu sprawy propinacyjnej, gdyby nie okoliczność, że działał tu więcej nacisk i obawa, niż własnowolne rozporządzenie sobą. Przekonywające słowo namiestnika, dochodzące z Wiednia stanowcze życzenia sprowadziły nareszcie tę długo wlokącą się sprawę w kolej, która jej załatwienie ostateczne zapewniać się zdaje. Niemało przyczyniła się do tego wytrwała i podziwienia godna praca p. K. Krzeczunowicza i myśl szczęśliwa, która trudne a konieczne przejście ułatwiła. Jeden szynk, który wywołał protestacyę włościan i Rusinów, z pruskiej wzięty ustawy, wiem, iż niemiał łaski Przeglądu Polskiego: powiem też tylko w jego obronie, że był dla zjednoczenia głosów koniecznym. Ubita na posiedzeniach koła sprawa propinacyjna, przeszła wszakże jeszcze ciężką w izbie próbę, bo poprawka p. Waygarta, przeciw której z zagrożeniem odmowy sankcyi oświadczył się rząd, upadła tylko 42 głosami przeciw 38. Czy to był ostatni wybuch żalu za propinacyą, niewiemy, w każdym razie był dla rzeczy niebezpiecznym; ze stony zaś posłów miejskich, z wyjątkiem trzech, którzy zapewnili zwycięztwo przeciwnikom p. Waygarta, niełatwo zrozumieć posuniętej za daleko obawy o interesa, które każdy rząd daleko żywiej zwykł popierać, niż interesa większej własności. Budżet i sprawozdanie o Wydziale krajowym przez umyślną ku temu komisyę, przeszły na sesyi ostatniej w sposób świadczący o prawdziwym postępie. Wydział krajowy skorzystał z krytyki, na jaką w latach poprzednich bywał narażony, a działanie jego, wbrew czernidłu wiedeńskich dzienników, wystąpiło w poważnej postaci przed Izbą w pracy szczegółowych referentów, powołanych do tej sprawy. Budżet naukowy prócz nieuniknionych zwad z Rusinami

przeszedł z łatwością i bez zmiany, przy znanej pana Zyblikiewicza zręczności, drogowy, dzięki postanowieniom sejmów poprzednich niemiał tych epizpdów powiatowszczyzny, których dawniej stawał się przyczyną. Wyrobiona rutyna odznaczała w ogóle korzystnie chylące się ku nowym wyborom źgromadzenie sejmowe.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o żywym współudziale, jaki brał rząd przez komisarza p. O. Bartmańskiego w obradach sejmowych, tem bardziej, że ten współudział potępiła po swojemu *Freie Presse* a współcześnie *Dziennik polski.* Ciekawą jest obawa tego *„precedensu“* u *Dziennika polskiego,* „gdyby po p. Bartmańskim inny mniej przychylny reprezentant rządu nastąpił!“ Pamiętamy p. Bartmańskiego przy dyskusyi rezolucyjnej i mieliśmy go wówczas, gdy każdemu punktowi oponował i obecnie, gdy przemawiał żywo i przekonywująco za ustawą drogową, propinacyjną i polową za tłumacza myśli rządowej. Pożądanym też tylko być może ten żywy współudział władzy, która w Radzie państwa czynnie wkracza na pole walki parlamentarnej przez usta ministrów, a w sejmach tem skuteczniej działać będzie, im większy okaże interes dla przebiegu obrad i dla ich rezultatu. Jak niepojmujemy jako warunku samodzielności poselskiej hermetycznego zamknięcia się posłów przed czynnikiem rządu, tak z przyjemnością tylko widzimy, gdy ten rząd nie tylko poprzestaje na lakonicznem przeczeniu, ale pragnie się spotkać z ciałem prawodawczem na dodatniej drodze pragnienia zmian i ulepszeń.

Wśród burz wznieconych przez Rusinów zarzucono nowemu marszałkowi pewną dla nich pobłażliwość. Nie dzielimy tego zarzutu, owszem było w tem delikatne uczucie polskie, liczące na wyrozumienie swoich i miarkujące ich krewkość zwyczajnie występującą w tych wypadkach. W ogóle Marszałek nowy dobre po sobie zostawia wspomnienia a trudno mu odmówić zręcznej i spokojnej ręki.

J.

przeszedł z łatwością bez zmiany, przy zmarłej pana Zyblikiewicza zręczność drogowy; dzięki postanowieniom sejmów poprzednich nie miał tych epizodów pomarszałkowszczyzny, których dawniej stawał się przyczyną. Wyrobiona rutyna odznaczała w ogóle korzystnie chylące się ku nowym wyborom zgromadzenie sejmowe.

Nie odrzeczy będzie tu wspomnieć o żywym współudziale, jaki brał rząd przez komisarza p. O. Bartmańskiego w obradach sejmowych; tem bardziej, że ten współudział potępiła po swojemu *Freie Presse* a współcześnie *Dziennik polski*. Ciekawą jest obawa tego „prezydenta" u *Dziennika polskiego*, gdyby po p. Bartmańskim inny zimny przeciętny reprezentant rządu nastąpił! Pamiętamy p. Bartmańskiego przy dyskusyi rezolucyjnej i mieliśmy go wówczas, gdy każdemu posłowi odpowiadał i obecnie, gdy przedstawiał żywo i przekonywająco za ustawą drogową, propinacyjną i połową za tłumacza myśli rządowej. Pożądanym też tylko być może ten żywy współudział władzy, która w Radzie państwa czynnie wkracza na pole walki parlamentarnej przez usta ministrów, a w sejmach tem skuteczniej działać będzie, im większy okaże interes dla przebiegu obrad i dla ich rezultatu. Jak niepojmujemy jako warunku samodzielności poselskiej hermetycznego zamknięcia się posłów przed czynnikiem rządu, tak z przyjemnością tylko widzimy, gdy ten rząd nie tylko poprzestaje na lekceważeniu przeczenia, ale pragnie się spotkać z ciałem prawodawczem na dodatniej drodze pragnienia zmian i ulepszeń.

Wśród burz wzniecanych przez Rusinów zarzucono nowemu marszałkowi pewną dla nich pobłażliwość. Nie dzielimy tego zarzutu, owszem było w tem delikatne uczucie polskie, liczące na wyrozumienie swoich i miarkujące ich krewkość zwyczajnie występującą w tych wypadkach. W ogóle Marszałek nowy dobre po sobie zostawia wspomnienia a trudno mu odmówić zręcznej i spokojnej ręki.